

MARGIT SANDEMO

IRLANDZKI ROMANS

ROZDZIAŁ I

Bez słowa i bardzo szybko posuwali się przez wrzosowiska. Dwóch mężczyzn otulonych szczelnie ciepłymi opończami. Marzli w tym chłodnym kraju. Poprzez zasłony mgły dostrzegali wspaniałą grę stonowanych kolorów: purpury i złota, mieniących się na przemian z błękitem i szmaragdową zielenią. Na wrzosowiskach panowała dzwoniąca w uszach cisza. Gdzieś bardzo daleko szumiało morze. Morze, do którego nie byli w stanie się dostać. Dwaj zwiadowcy przedarli się przez spowity mgłą zagajnik i ponownie stanęli przed obliczem króla oraz resztkami jego niegdyś tak wspaniałej drużyny.

- Ani śladu statku z królewskim synem, Wasza Wysokość - oznajmił jeden z przybyłych. Wąty promyk nadziei w oczach króla Cadallana zgasł.

- Mój syn się spóźnia - mruknął.

Nikt nie odpowiedział. Cóż tu można było mówić? Przypominające porykiwanie dźwięki wykonanych z brązu trąbek dały się słyszeć w zaroślach na stromym zboczu góry. Natychmiast odpowiedziały im inne trąbki, rozlokowane na brzegu i wszędzie wokół. Surowe tony bez żadnego zabarwienia.

- Wszędzie ta dzicz! - szepnął król. - Nigdy nie powinniśmy byli wychodzić na ląd w tym kraju. Ale okolica wydawała się taka piękna i taka pusta...

- Gdy zapadną ciemności, spróbujemy przemknąć niepostrzeżenie na brzeg - rzekł jeden z królewskich ludzi.

- Gdy zapadną ciemności, nas już być może nie będzie na świecie. A poza tym dokąd mielibyśmy się udać? W tym kraju dzikusów, którzy zniszczyli nasze okręty. Te paskudne małe, brudne dzikusy, pozbawione jakichkolwiek ludzkich cech, krążące wokół bez celu i sensu, zabijające bez uprzedzenia po to tylko, żeby zabijać - mówił z goryczą król Cadallan. - Aed! - zawołał na jednego ze swoich doradców, kapłana, wieszczka i czarownika, czyli druida. Z wolna zaczął zdejmować z głowy skromną metalową koronę. - Aed! Musimy się przygotować. Mój to błąd, że zeszedliśmy na ląd właśnie tutaj. Teraz jednak muszę myśleć o moim ludzie. Korona... Znasz przepowiednię: Nasz lud nie może utracić królewskiej korony. Gdyby tak się stało, będzie to oznaczać koniec. Dla całego królestwa. Gdyby korona wpadła w ręce tych bestii, wtedy one mogłyby przejąć władzę nad naszym ludem. Królewska korona musi wrócić na wyspy, do domu, gdzie na nas czekają. Kiedy mój syn, Feornin, zjawi się tu, musi ją odnaleźć.

Druid w białym, szamerowanym srebrem płaszczu skinął głową.

- Rozumiem. Ale dzicy nie mogą wpaść na jej trop. Feornin wie, że mieliśmy zamiar zejść tutaj na ląd w drodze powrotnej, jego statek musi się wkrótce pokazać.

- Weź również mój miecz, mój królewski miecz - rzekł król ze smutkiem i odpiął pas.
- Wiele lat już minęło, odkąd byłem w stanie po raz ostatni unieść go w górę, dlaczego więc teraz miałbym go zachować przy sobie? Czyż nie lepiej, by powrócił do domu? Feornin zawiezie go swemu najstarszemu bratu. Kładę na twoje barki obowiązek ukrycia korony i miecza tak dobrze, by wróg nigdy nawet się nie domyślił, gdzie się znajdują. Feornin jednak musi wiedzieć natychmiast!

Ciemne oczy druida wpatrywały się w dal. W jego białej brodzie perlity się krople wilgoci. - Oni, ci tutaj kryjący się po krzakach, nie rozumieją znaków ogamicznych - szepnął.

- Własnego języka pewnie też nie mają - rzekł ze złością król Cadallan. - Spokojnie możesz zostawić wiadomość zapisaną za pomocą znaków ogamicznych. Pisz, co chcesz!

- Tajemnicze runy - rzekł jego wieszcz w zadumie. - Młody Feornin jest najmądrzejszym z twoich synów, królu. Kiedy był dzieckiem, siadywał często u moich stóp i słuchał. Nauczyłem go bardzo wielu rzeczy, także rycia znaków ogamicznych. Książę potrafi rozróżniać określone formy tajemniczych run! Kiedy był jeszcze chłopcem, wspólnie wymyśliliśmy nawet pewien znak, o kształcie trójkąta, co dało nam wiele radości. Bądź spokojny, królu, korona będzie spoczywać bezpiecznie, dopóki królewicz Feornin nie przybędzie.

- Ale trzeba się pospieszyć. Nasz czas dobiega końca. Czy myślisz, że może jeszcze jedna ofiara...

Druid potrząsnął głową.

- Na złożenie ofiary potrzeba czasu, a poza tym nie odbywa się to ani bezgłośnie, ani w ukryciu. Nie mamy na to warunków.

- Trudno. Weź zatem wszystkich mężów, których będziesz potrzebował, Aed!

Wysoki, białowłosy kapłan zastanawiał się.

- Kamień w tym kraju jest taki miękki, że prawie można w nim ryc, więc powinniśmy sprawić się szybko. Ale byłoby jeszcze szybciej, gdybyśmy wiadomość zapisali na drewnie...

- Spoglądasz na oparcie mojej lektyki? To by było odpowiednie drewno? Weź, oczywiście. Nie będę jej już przecież potrzebował.

Dwóch ludzi zaczęło natychmiast łamać starą i zużytą królewską lektykę.

- Ale co będzie, jeśli dzicy znajdą drewno wcześniej niż Feornin? - zapytał król Cadallan.

- Ukryję je tak, by tylko niewielka część wystawała z ziemi - uspokoił go kapłan. - I nie drewno będzie pierwszą rzeczą, którą królewicz dostrzeże. Tam dalej widziałem taki smukły, wysoki kamień... Bądź spokojny, panie. Twój syn odnajdzie wszystko! Sam przecież powiedziałeś, że on się nigdy nie poddaje, i to jest prawda.

Król z wysiłkiem wywołał na wargi smutny uśmiech.

- Tak jest. Feornin nigdy się nie poddaje! Nigdy, w żadnych okolicznościach! Zrób, jak powiedziałeś, ale spiesz się! Czas ucieka!

Oblicze Cadallana było zmienione z bólu i niepokoju, o przyszłość jego ludu. Nie spuszczał wzroku z druida, który wziął obu swoich uczniów oraz kilku mężów z drużyny i poprowadził ich ku wysokiej skale wznoszącej się na wrzosowisku. Ponownie spoza mgły doszły ich dźwięki rogów i trąbek. Ludzie Cadallana usiedli i w milczeniu czekali na osaczającą ich zewsząd śmierć. Mgła zrzęda, zwarta dotąd przesłona rozpadła się na postrzępione, mieniące się obłoki, które z wolna przepływały nad wrzosowiskiem. Panował spokój, zakłócany tylko od czasu do czasu ostrym krzykiem kruka na ukrytych we mgle stromych skałach.

Stulecia przetoczyły się nad ziemią. Ów piękny, dziki kraj został zaludniony. Domostwa zapadały się w ziemię, na ich miejscu wznoszono nowe i lepsze, z metali wyrabiano narzędzia i broń, którą potem porzucano lub gubiono, by następne cywilizacje mogły ją odnaleźć jako świadectwo przeszłości. Porośnięty wrzosami cypel wychodzący daleko w morze bywał celem żeglarzy noszących na głowach hełmy z rogami; zdobywali go, ale potem znowu porzucali jako wietrzny i nieprzyjazny. Kraj został ochrzczony, na wrzosowiskach powstały rybackie osiedla, które czarna zaraza uczyniła ponownie wymarłymi. Nowe pokolenia próbowały znaleźć tu swoje miejsce do życia, jałową ziemię orano, zebrane kamienie układano w stosy, wznoszono z nich długie mury. Sztormy i głód wyganiały ludzi w życzniejsze okolice. Tylko owce pasły się nad morzem w deszczowe lata. Przedostawały się tutaj, na te brunatne wrzosowiska, przez góry i trzeba je było stąd wywozić na łodziach do zatok po drugiej stronie wzniesień.

Kraj stawał się coraz bogatszy. Zbudowano muzea, w których gromadzono prahistoryczne znaleziska. Dano ludziom szkoły, technika poczyniła oszałamiające postępy, miasta rosły wciąż większe i większe, wsie natomiast się wyludniały. Teraz ludzie na bardzo szybkich łodziach motorowych oglądali cypel od strony morza i myśleli, jak mało żyzna i niegościnna, a mimo to jaka piękna jest ich ojczysta ziemia. Samoloty zaczęły przelatywać nad samotnym przylądkiem, a czynią to tak szybko, że piloci nie są w stanie go zauważyć. Na

przyładku stoi kilka budynków. Poszarzały ze starości, nikt nie mieszka w nich od wielu lat. Szkoda, żeby się to wszystko rozpadło, powiadają ludzie w szybkich łodziach, ale ani na moment nie przyjdzie im ochota, żeby zamieszkać na wrzosowiskach. Zimowe sztormy tłuką wściekle o skały, ciskają na brzeg nieprzebrane masy wody, szarpią budynki, które trzeszczą w spojeniach. Kruki i mewy żeglują ponad sterczącymi wysoko stromymi szczytami.

ROZDZIAŁ II

Kilku młodych mężczyzn siedziało w studenckim klubie nad wielkimi kuflami piwa.

- Wybierasz się na jutrzejszą prywatkę, Martin? - zapytał jeden z nich.

Martin Øyen skrzywił się. Jego oczy - ciemne niczym głębokie studnie, w których niejedna dziewczyna już się utopiła - wyrażały brak entuzjazmu.

- Obiecałem koledze, Jørgenowi, wiesz, on się umówił z Tone Mo i oboje wymyślili, że jutro wieczorem poznają mnie z młodszą siostrą Tone. Uważają, że powinienem się z nią spotkać, bo oboje studiujemy na tym samym wydziale.

- Co? - zachichotał któryś złośliwie. - Z Anniką Mo? Wiesz, jak o niej mówią? Zakonnica! Panna Nikt! Milkliwa, ledwo czasem piśnie jakieś słowo. Daleko z nią nie zajdziesz.

- Na oczy jej nie widziałem. - Martin wzruszył obojętnie ramionami. Poczł się naprawdę głupio na myśl o tym, że będzie musiał spędzić wieczór z kimś takim. - Oni jednak uważają za skandal fakt, że się nie znamy, choć oboje studiujemy na uniwersytecie coś tak egzotycznego jak język celtycki Cholera, co to w ogóle ma do rzeczy? Ja przecież już prawie kończę, a ona dopiero co zaczęła! Czego oni się spodziewają? Że będę jej udzielał korepetycji?

- No, prywatne lekcje, to mogłoby być interesujące - zachichotał jeden z obecnych wymownie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Martin Øyen pochylił się nad kuflem, ale przedtem zdążył rzucić pospieszne spojrzenie w stronę wiszącego na ścianie lustra. Przez moment widział odbicie swojej twarzy, co jak zawsze sprawiło mu przyjemność. Jego kolega, który znał dziewczynę, powiedział ze złośliwym uśmieszkiem:

- Annika Mo doznała, mówiąc uczenie, społecznego urazu. A przyczyną była jej własna matka, wdowa po profesorze Mo. Prawdziwy potwór! Trzeba stwierdzić, że wychowała obie swoje córki dosyć dziwnie. Co prawda Tone wyłamała się i po prostu uciekła. Wyprowadziła się z domu i zamieszkała sama. Tylko że wtedy pani profesorowa jeszcze bardziej stanowczo zabrała się za Annikę, traktowała ją jako zabezpieczenie przed starością, nie pozwalała jej nawet ukradkiem spoglądać na chłopaków, bo bała się, że zostanie sama. Niedawno mamusia umarła i Annika przeprowadziła się do Tone. Ale jest już za późno. Boi się nawet spojrzeć na jakiegokolwiek faceta. Wiele z nią nie zwojujesz, Martin!

Martin prychnął wyniośle.

- Wprost przeciwnie! Takie dziewczyny tracą rozum od jednego spojrzenia albo od kilku pięknych słówek.

- Nie Annika. Ona jest naprawdę niebrzydka, ale piekielna samotnica. Zagadasz do niej, to uśmiecha się tylko niepewnie, bąka coś pod nosem i patrzy w bok. Tona twierdzi, że dziewczyna ma wyrzuty sumienia z powodu matki. Bo stara wciąż jej powtarzała: „Jeśli umrę, to będzie to twoja wina!” Miała pretensje, że Annika myśli tylko o chłopakach, a starą, bezradną matkę zostawia w domu. Choć przecież ta biedaczka nie miała odwagi nawet za drzwi wyjść! Nie, Martin, to sprawa od początku przegrana!

- Gdybym chciał, to bym ją poderwał zaraz pierwszego wieczora - odparł Martin z przechwałką. - I to bez żadnego wysiłku. Ale nie chcę.

- Nigdy w życiu by ci się coś takiego nie udało - skrzywił się tamten.

Martin nie dostrzegł prowokacji, zirytowało go, że koledzy mogą choćby przez sekundę wątpić w jego uwodzicielskie możliwości, poczerwieniał na twarzy. Piwo czyniło go nieostrożnym.

- Założymy się?

- Okay! - zawołali wszyscy. - Pierwszego wieczora!

- O, nie, nie! - zaprotestował Martin. - Mam swoje zasady. Nigdy pierwszego wieczora, nie jestem draniem! Ani kuchennym Casanową. Ale na drugi wieczór mogę się zgodzić, w porządku!

- Jak się dowiemy, że nie kłamiesz?

Martin spojrzał na kolegę z politowaniem.

- Czy ja kiedykolwiek potrzebowałem kłamać?

Tamten spuścił wzrok.

- Poza tym mam też taką zasadę, że jeśli dziewczyna ulega mi przy drugim spotkaniu, to z nią kończę. I jeszcze, gdyby się okazała mało pociągająca, to jej nie chcę. Wtedy zakład jest nieważny.

- Nie - powiedział znajomy Anniki przeciągle. - Dziewczyna jest all right, trochę tylko za bardzo płochliwa. I za dużo w niej rezerwy. Myślę, że potrzeba jej jakiejś dodającej odwagi przygody, a wtedy zobaczycie, jak rozkwitnie!

Tylko co się z nią stanie potem, pomyślał inny członek tego towarzystwa, Knut. On także znał Annikę, chociaż nigdy z nią nie rozmawiał. A potem? Kiedy Martin uzna już swoją kolejną przygodę za zakończoną? Wtedy kwiat powinien po prostu zwiędnąć i niech się z nim dzieje co chce?

Ale piwo uciszyło i jego skrupuły.

Martin spoglądał na kolegów agresywnie. Co oni sobie myślą? Ze nie poderwie jakiejś pierwszoroczniczki?

Rausz sprawił, że koledzy mieli wielki gest, stawiali na zakład spore sumy. Jedni za, inni przeciw.

Następnego dnia jednak, kiedy po wczorajszym piwie został tylko ból głowy, Martin pożałował gorzko. Co mu przyjdzie z tego, że poderwie Annikę Mo? Przypnie sobie pióro do kapelusza czy jak? I co to w ogóle za sukces? No ale, niestety, zakład jest zakładem.

Z niechęcią czekał nadejścia wieczoru.

Annika i Tone Mo szły pospiesznie pustą ulicą. Wybierały się na prywatkę, ale Tone musiała Annikę niemal siłą wyciągnąć z domu.

- Głowa do góry, siostrzyczko! On nie gryzie! Przecież chyba chcesz poznać Martina Øyena?

- Chętnie bym z nim porozmawiała - bąknęła Annika niepewnie. - Ale jaką on będzie miał przyjemność z rozmowy ze mną?

- Uff, zapomnij nareszcie o wszystkim, co mama przez tyle lat wbijała ci do głowy. Wmawiać sobie, że inni nie będą chcieli z tobą rozmawiać, to już nie jest nieśmiałość, to zarozumiałstwo!

- Aha, no to w takim razie jestem zarozumiała!

- Nie, oczywiście, nie jesteś! Masz takie cholernie negatywne nastawienie do siebie samej. To wina matki, tego jej nieustannego zawodzenia: „Och, Anniko, nie przejmuj się mną, mnie jest dobrze w tej mojej samotności, a w końcu i tak wszyscy kiedyś umrzemy! Ale chyba rozumiesz, moje dziecko, że chłopcy się tobą nie interesują, chłopcy chcą tylko jednej rzeczy, moje dziecko, ale od ciebie jej przecież nie dostaną, bo jesteś porządną dziewczyną...” Czy ty tego nie rozumiesz? Tego jej zawołowanego egoizmu, jej lęku, że ją opuścisz i zostanie sama. Uśmierciła twoją odwagę, twoją wolę i osobowość dlatego, że była taką silną i dominującą kobietą, a poza tym zbyt starą na takie młode córki. Pamiętaj, że matka miała ponad czterdzieści pięć lat, kiedy cię urodziła!

- Tone, ale przecież ona była chora!

- Owszem, i bez najmniejszych skrupułów wykorzystywała swój stan do wywierania nacisku na ciebie. Kiedy miała na coś ochotę, to wcale nie była taka chora. Dobrze wiesz, że kiedy w mieście działo się coś interesującego, to zawsze akurat na ten czas zdrowiała do tego stopnia, że mogła wyjść z domu i pozostać tak długo, dopóki było ciekawie. A nie pamiętasz,

co się działo za każdym razem, kiedy ciebie ktoś zapraszał? Natychmiast dostawała strasznego ataku duszności, bólu serca i Bóg wie czego jeszcze, więc musiałaś zostać w domu. A jakiemu praniu mózgu byłaś nieustannie poddawana! Teraz panicznie się boisz chłopców. Myślisz, że mają cię za najbardziej beznadziejną dziewczynę na świecie. Otóż to wcale nieprawda!

Annika szła przez jakiś czas w milczeniu.

- Jaki on jest?

- Martin Øyen? Czarujący! Niebezpiecznie czarujący! - westchnęła Tone.

- Ja nie dlatego chcę go spotkać.

- Wiem. Ale zrobi na tobie wrażenie, możesz być pewna.

- Skąd wiesz? Czy na tobie też, jak mówisz, zrobił wrażenie?

Tone westchnęła po raz drugi.

- O, to była bardzo krótka historia. Okazałam się na tyle głupia, żeby się w nim zakochać natychmiast, jak tylko przyszłam na uniwersytet. Wszystkie dziewczyny tak robią. On mnie co prawda zaprosił do kina, zresztą nawet dwa razy, ale zaraz potem wszystko się skończyło.

- Skończyło? Dlaczego?

- Bo ja byłam głupia! - ucięła Tone.

Annika dziwiła się, ale o nic więcej nie pytała.

- A jak ci się układa z Jørgenem? - zaczęła po chwili z innej beczki - Wy... chodzisz z nim?

- Och, żebym to ja wiedziała! Jestem jak wróbel, który zjada okruchy z pańskiego stołu. Wiesz, Jørgen widzi tylko Lisbeth. A skoro nie może jej mieć, to ja jestem jakby w rezerwie. Czuję się okropnie jako ktoś drugiego gatunku. On mi się zwierza, opowiada mi w szczegółach o swojej nieszczęśliwej miłości do Lisbeth. Jestem dla niego jak siostra miłosierdzia i chyba niewiele więcej. Ale on mnie potrzebuje i na razie musi mi to wystarczyć.

Przez chwilę szły w milczeniu, dwie siostry, obie z trudem poszukujące jakiegoś oparcia w życiu.

- O, popatrz, chłopcy czekają! - zawołała Tone. - Nie, nie zatrzymuj się, to naprawdę nic groźnego!

Annika tak długo była przez matkę pozbawiana pewności siebie, że teraz miała wrażenie, iż chłopcy widzą w niej jedynie szarą mysz. Zdawała sobie sprawę, że Tone bardzo dba o swoją powierzchowność i wygląda znakomicie. Tone znalazła własny styl i była -

przynajmniej na zewnątrz - osobą pewną siebie, zachowującą się swobodnie. Miała licznych przyjaciół. Annika natomiast nie wiedziała, że ona sama przypomina delikatne, rozmarzone kobiety z obrazów Botticellego, że jest jak renesansowy obraz, który odstawiono do kąta i którego kolory zmatowiały w wyniku zaniedbania. Rysy miała takie sobie, ani piękne, ani brzydkie, to wyraz twarzy sprawiał, że Annika była ładna i pociągająca. Popielatoblond włosy nosiła krótko ostrzyżone i podkrecone na końcach jak u pazia. Prosto i praktycznie, myślała Annika, nie zdając sobie sprawy, że ta właśnie fryzura jest dla niej najodpowiedniejsza. Figurę miała niezłą, wprawdzie nie taką, żeby się za nią oglądano, ale niezłą. Gdyby starczyło jej odwagi, by ubierać się tak, jak lubi, byłby to z pewnością styl pensjonarski.

Och, żebym tak mogła jakoś uniknąć tego spotkania! myślała. Chcę wrócić do domu, usadowić się w wielkim fotelu Tone i schować przed całym światem!

ROZDZIAŁ III

Pierwsze, co Martin Øyen zobaczył przy spotkaniu z Annika Mo, to pełen skrępowania uśmiech i maleńki nos pod za dużą włóczkową czapką. Dziewczyna była niewysoka, musiała spoglądać na niego pod górę, co w tej czapce sprawiało jej pewne trudności.

- Cześć - przywitał się Martin. - Sporo o tobie słyszałem.

Annika chciała odpowiedzieć coś zabawnego, ale język odmówił jej posłuszeństwa. Martin Øyen był wprost bezwstydnie przystojny, z tymi roziskrzonymi, ciemnoniebieskimi oczyma, z rozwiewanymi leciutko przez wiatr włosami blond i zmysłowymi, skorymi do śmiechu ustami.

- No, nareszcie - powiedziała Tone. - W końcu zostaliście sobie przedstawieni jak należy. Dwoje przyszłych celtologów.

- Chociaż on skończył studia dokładnie w chwili, kiedy ja zaczęłam - powiedziała Annika, wściekła na siebie za to mało uprzejme „on”, które rzuciła jakby w powietrze, zamiast zwrócić się wprost do Martina. Na to jednak zabrakło jej odwagi.

- Chodźmy już - ponaglała starsza siostra, Tone. - Tamci na nas czekają, spóźniamy się. I postarajcie się być trochę bardziej towarzyscy. Nie dyskutujcie przez cały wieczór o swoich studiach. Przypominam, że idziemy na prywatkę!

Wszyscy czworo ruszyli przed siebie. Porywisty wiatr szarpał drzewami i Tone podniosła kołnierz płaszcza. Annika ocierała łzy, które zimno wyciskało jej z oczu.

I to niby jest wiosenny wieczór! Niewiarygodne!

Jørgena Annika spotkała już dawniej. Był to bardzo wysoki, zwalisty młodzian, na jego widok miało się ochotę powiedzieć: „Misio”. Sympatyczny, cierpliwy, trochę kanciasty w ruchach i sposobie bycia, a poza tym beznadziejnie zakochany w urodziwej Lisbeth. Oficjalnie ona także studiowała na uniwersytecie, ale bez wątplenia znacznie bardziej interesowało ją bywanie na przyjęciach i towarzyskich spotkaniach. Dawniej miała w kręgach studenckich dosyć mało interesujące przezwisko, ale udało jej się w końcu odzyskać dobre imię. Jørgen właśnie kończył etnografię i archeologię, a Tone studiowała medycynę.

W studenckim mieszkaniu panował już gwar licznych głosów, gdy świeżo przybyła czwórka zdejmowała w przedpokoju okrycia i próbowała trochę ogrzać wysmagane wiatrem twarze. Annika starała się opanować podniecenie pomieszane z lękiem, że nie podoła wszystkiemu, co ją tego wieczoru czeka. Szczerze mówiąc, była to jej pierwsza prawdziwa

prywatka, wiedziała bardzo dobrze, że Tone wyprosiła, by pozwolono jej przyprowadzić siostrę, a to wcale sytuacji nie ułatwiało.

Sztywna i skrępowana wkroczyła do pokoju pełnego przeważnie nieznanym chłopców i dziewcząt...

Oczywiście odbyło się podczas tego przyjęcia wiele naukowych dyskusji, choć ona nie bardzo w nich uczestniczyła. Mieszkanie było niewielkie, Annika siedziała na podłodze w kącie razem z Tone, Jørgenem, Martinem i jeszcze jednym chłopcem, który miał na imię Knut i którego znała przedtem z widzenia. Ona sama próbowała rozluźnić się na tyle, na ile to możliwe, ale ta odrobina pewności siebie, jaką miała wychodząc z domu, teraz rozwiała się zupełnie. I dla kogoś, kto nie chce uczestniczyć w towarzyskich rozmowach, tak jest najlepiej.

Dyskutowano o malowidłach naskalnych i Annika, która niczego interesującego w tej sprawie powiedzieć nie mogła, ukradkiem obserwowała swego „kolegę” Martina. Był spokojny i pewny siebie, miał autorytet i wydawał się niesłychanie uzdolniony. Zauważyła, że Knut przygląda im się w napięciu, jakby się czegoś bał.

Nagle uświadomiła sobie, że Martin zwraca się do niej.

- Jak to się stało, że wybrałaś właśnie język celtycki?

Annika roześmiała się skrępowana. Och, tylko się nie czerwień! błagała sama siebie w duchu. Naprawdę nie ma potrzeby się rumienić tylko dlatego, że jakiś chłopak do ciebie zagadał! Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale uznała, że najlepiej potraktować pytanie serio.

- Czytałam stare sagi celtyckie, o Conchobarze, Columcille i o Cathasachu, i zakochałam się w bohaterach, a potem także w ich języku. Chciałabym całą tę wspaniałą literaturę czytać w oryginale.

No, coś takiego! Można przecież rozmawiać! Zwłaszcza jeśli się skupić na temacie rozmowy, a nie na osobie, do której się mówi. No tak, ale z pewnością zabrzmiało to beznadziejnie, to całe jej wyjaśnienie...

Tone, która słyszała rozmowę, wtrąciła zatroskana:

- Annika nie miała wielu okazji zakochać się w żywym mężczyźnie. Dlatego zawsze pograżała się w marzeniach.

- Współcześni mężczyźni łatwo mogą rozczarować - uśmiechnęła się Annika niepewnie. - Na bohaterach sag natomiast można polegać. Można mieć ich na własność.

- No, wiesz - roześmiał się Martin. - Współcześni mężczyźni też miewają swoje zalety.

Powiedział to bardzo dwuznacznym tonem, co go samego całkiem nieoczekiwanie rozdrażniło. Oczy tej dziewczyny, takie czyste, nie ujawniające żadnych skrytych myśli...

Teraz ona zwróciła się do Martina, niemal błagając o wybaczenie, że sobie na to pozwala:

- A ty? Dlaczego... ty wybrałeś celtycki?

- Ja? Och, ja spędziłem kiedyś lato w Szkocji. Byłem na Hebrydach i na Orkadach. Zostałem urzeczony. Można powiedzieć: zaczarowany!

Annika była bliska szoku z wrażenia, że Martin odpowiada jej w sposób tak naturalny.

- Rozumiem - powiedziała ciepło. - Ja też tam kiedyś pojadę.

- Powinniśmy pojechać razem! - zawołał Martin.

- No więc jedźmy! - roześmiała się Annika zarumieniona i oboje wiedzieli, że żadne nie mówiło poważnie. A zatem tak łatwo jest rozmawiać. Jeśli człowiek raz skoczy na głęboką wodę! Ów Martin Øyen sprawia takie sympatyczne wrażenie. I taki jest interesujący!

Jørgen pogrążony był we własnych myślach. Tęsknym wzrokiem obserwował drugi kraniec pokoju, gdzie jego nieosiągalna Lisbeth stanowiła centrum zainteresowania sporego towarzystwa. Był bardzo naiwny wierząc, że coś może być między nimi, a tymczasem Lisbeth, dosłownie pod jego boki, zaręczyła się z Parkinsonem, wykładowcą Martina i Anniki, młodym, ambitnym naukowcem, którego ojciec pochodził z angielskiej rodziny. Karierowicz, myślał o nim Jørgen. Parkinson pracował na wydziale zaledwie kilka miesięcy, zastępując nieobecnego asystenta, po czym nieoczekiwanie zrobił błyskotliwą karierę i otworzyły mu się niezłe widoki na stanowisko profesora, przynajmniej na którymś z mniejszych uniwersytetów; chociaż miał konkurenta, również bardzo zdolnego. Szanse obu oceniano jednakowo, co Parkinsona w ostatnim czasie bardzo stresowało. Jørgen go nie znosił, lecz to, biorąc pod uwagę wybór Lisbeth, nikogo nie dziwiło.

Teraz ocknął się z zadumy i słuchał, o co pyta Tone.

- Co ty powiedziałaś? - zdziwił się już całkiem przytomnie. - Nie, naskalne ryty z epoki brązu nigdy nie miały żadnych inskrypcji. Dopiero wraz z pojawieniem się run uzyskujemy pisane informacje z minionych czasów.

Knut słuchał ich z wielkim zainteresowaniem.

- To mi coś przypomina - powiedział - Kiedy byłem dzieckiem, moja ciotka miała coś bardzo dziwnego w swoim przedpokoju. Jakiś niezwykły drewniany przedmiot. Podobno gdzieś to znalazła, a potem zrobiła z niego wieszak na ubrania, ale ja wyobrażałem sobie, że to jest jakieś prahistoryczne znalezisko, kłóciłem się z nią do tego stopnia, że któregoś dnia nie dostałem za karę kolacji.

- Ale jak to wyglądało? - zapytał Jørgen. - Pamiętasz dokładniej?

- Był to starannie obrobiony, podłużny kawałek drewna, o, taki. - Knut rozciągnął ręce niemal na całą długość. - Drewno dębowe, jestem tego pewien. Zresztą w przeciwnym razie nie zachowałyby się tak długo i w tak dobrym stanie. Wyglądało naprawdę na bardzo stare. Poczerniałe i zniszczone. Może nawet z szesnastego wieku?

- Z szesnastego wieku to nie żadne prahistoryczne znalezisko - powiedział Jørgen. - Po prostu starość, nic więcej. Ale mów dalej. Gdzie twoja ciotka to znalazła?

- Ona to tylko na strychu. Ale opowiadała mi, że odkrył to jej dziadek, kiedy przebudowywano oborę. Ten drążek, czy jak to nazwać, tkwił głęboko w glinie, całkiem pionowo.

- W glinie, powiadasz?

Reszta towarzystwa słuchała z zainteresowaniem.

- Jak to wyglądało? - pytała Tone. Knut wyjaśniał z zapalem:

- Ciotka, niestety, wbiła w niego paskudne gwoździe i haki do wieszania, ale drążek był naprawdę bardzo kształtny, lekko wygięty i na końcu miał czworokątny otwór, jakby kiedyś był z czymś połączony, jakby był częścią jakiejś całości. Zresztą, moim zdaniem, był złamany. A w kilku miejscach zostały ślady ornamentów.

- Mógłbyś opisać, jak ten ornament wyglądał? - pytał archeolog Jørgen.

- Dajcie no jakąś kartkę i ołówek!

Annika podała mu swój notatnik, a Martin pospieszył z długopisem.

Powoli, przekreślając raz po raz już gotowy rysunek, Knut odtwarzał fragmenty dekoracji, a Jørgen patrzył i coraz bardziej marszczył brwi.

- To nie jest żaden szesnasty wiek - powiedział. - I to w ogóle nie jest nordyckie!

- Myślisz, że to pochodzi z bliższych nam czasów? - zapytał Knut rozczarowany. - To znaczy, że to tylko takie współczesne zygzaki? Aż trudno uwierzyć, bo wyglądało naprawdę staro...

- Z bliższych czasów? Nie! Niech Bóg broni! Wprost przeciwnie! To wygląda bardzo interesująco, Knut. Czy to wszystko, co się zachowało?

Knut w wielkim podnieceniu czochrał swoje złotoblond włosy.

- Tak, ale na obrzeżu było jeszcze coś bardzo dziwnego. Pamiętam, bo studiowałem to długo i dokładnie. Ciotka twierdziła, że ktoś musiał używać tego drążka do zaznaczania jakichś liczb. Może rachował w ten sposób bydło albo dni, albo nie wiadomo co, ale moim zdaniem te znaki przypominały raczej jakieś litery. Chociaż nigdy przedtem nie widziałem takiego tajemniczego pisma.

- Pamiętasz te znaki? - zapytał Jørgen.

- Niedokładnie, oczywiście. Ale mogę spróbować je odtworzyć.

Narysował długą kreskę, która miała oznaczać krawędź wydłużonego kawałka drewna. Od tej linii, na obie strony, prostopadle lub skośnie, rozchodziły się niewielkie kreski. Było ich dużo.

- Nie pamiętam, w jakiej to było kolejności, ale całość wyglądała mniej więcej tak. - Pokazał im rysunek.

Spojrzenia Martina i Anniki spotkały się. Wzrok obojga wyrażał głębokie powątpiewanie.

- Jesteś tego pewien, Knut? - zapytał Martin ochryplym głosem.

- Oczywiście!

Pozostała trójka ze zdumieniem obserwowała reakcję Martina i Anniki.

- Czy te znaki sprawiały wrażenie wrytych później niż ornament? - pytał Martin wstrzymując oddech.

- Nie. Z pewnością nie. I jedno, i drugie było tak samo zniszczone.

- Ogamiczne pismo? - szepnęła Annika z niedowierzaniem.

- Tutaj, w Norwegii? - odpowiedział jej pytaniem Martin. - I na drewnie?

- To niemożliwe - orzekła Annika. - Jakim sposobem mogłoby to przetrwać tak długo? Oczy Martina lśniły przed nią tak, że niemal ją oślepiły.

- Tak całkiem niewiarygodne to chyba nie jest - zastanawiał się chłopak. - Tłusta glina może zakonserwować drewno na wieki. Ale oczywiście możemy tu mieć do czynienia z jakimś późniejszym naśladownictwem, nie wiadomo w jakim celu.

- Co to jest ogam? - zapytał Knut.

- To prastary celtycki alfabet - tłumaczył Martin. - Składa się ze znaków, kótek i kresek, umieszczonych wzdłuż linii stanowiącej oś, łączącą litery w słowa. Jeśli chcesz wiedzieć, to ty na tej kartce napisałeś: ONGBQGATMSU. Nic to, niestety, nie znaczy, ale pewnie dlatego, że nie zapamiętałeś kolejności liter. Ogam powstał i był używany w Irlandii, Szkocji i Walii w początkach epoki żelaza.

- To by się zgadzało! - zawołał Jørgen zaskoczony. - Ornamentyka też, moim zdaniem, jest celtycka i pochodzi z epoki brązu lub wczesnej epoki żelaza. Na podstawie twoich rysunków nie potrafię tego dokładniej datować, ale z całą pewnością to ornament celtycki!

- Jezu! - jęknął Knut.

Martin z przejęcia nie był w stanie usiedzieć na miejscu.

- Knut, gdzie...? Gdzie można teraz obejrzeć ten wieszak?

- Ja nie wiem, czy on w ogóle jeszcze istnieje.

- Ależ musi istnieć! - prawie ryknął Jørgen. - Czy ty nie rozumiesz, jaka to może być sensacja?

- Niebывała sensacja! - potwierdził Martin. - Jeśli to naprawdę jest inskrypcja ogamiczna! Irlandzcy uczeni uważają, że napisy ogamiczne były ryte również w drewnie, tylko że nic takiego się nie zachowało, nie znamy takich zabytków.

- No, a teraz u nas, w Norwegii! - powiedziała Annika.

- Czy to by było pierwsze w naszym kraju znalezisko ze znakami ogamicznymi? - pytał uszczęśliwiony Knut.

- Nie. Tutaj, w naszym muzeum historycznym, jest kamień z inskrypcją - wyjaśnił Martin. - Ryty są słabo widoczne, ale autentyczność nie ulega wątpliwości Knut, gdzie ty widziałeś to drewno?

Knut zmartwił się.

- To cholernie daleko stąd. W domu mojej ciotki na zachodnim wybrzeżu. I pojęcia nie mam, czy w ogóle cokolwiek jeszcze zostało z obejścia, bo rodzina wyprowadziła się stamtąd wiele lat temu. Ich zagroda leżała na cyplu nad samym morzem i była prawie zupełnie niedostępna. To jest w okolicy Lekna.

- Czy to w dystrykcie Sogn i Fjordane? - zapytał Martin.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Nie, tak się tylko zastanawiam. Bo kamień w muzeum też pochodzi z okręgu Sogn i Fjordane, ale znaleziono go tak dawno temu, że teraz nikt już nie jest pewien, gdzie dokładnie się znajdował.

- Musimy tam jechać! - zawołała Tone.

- Jasne! - potwierdził Jørgen. - Zajęcia kończymy w przyszłym tygodniu i możemy jechać zaraz potem.

- Mógłbyś nas tam zawieźć, Knut? - prosił Martin.

Uszczęśliwiony ich zainteresowaniem Knut robił pospieszne plany.

- Oczywiście, że jedziemy. Zapytam ciotkę, jak się teraz mają sprawy tam na miejscu. Ale myślę, że nikt w obejściu nie mieszka. Rodzina ciotki się wyprowadziła, bo tam było bardzo niespokojnie, tak mówili.

- Niespokojnie? Co to znaczy?

Knut wzruszył ramionami.

- Nie bardzo wiem, ale zdaje się chodziło o to, że wiatr szarpał niemiłosiernie starym domostwem. Obrazy spadały ze ścian. A kiedy nadchodził sztorm, pośród skał rozlegały się

jęki i zawroty głowy, jakby jakieś skargi z zamierzchłych czasów. Czasami słyszało się coś niby chrzęst broni w zacieklej walce.

- Twoja ciocia miała, zdaje się, bujną wyobraźnię - uśmiechnęła się Tone.

- Och, chyba nie tylko ona. Te upiorne hałasy wystraszyły wiele pokoleń ludzi, którzy osiedlali się na cyplu.

- No, brzmi to zachęcająco!

Annika siedziała skulona. Co za niewiarygodna historia! Nie chciała pytać, ale... A w końcu, to naprawdę zabawne!

- Żeby tylko profesor był w domu - zaniepokoił się Martin. - Ale Parkinsonowi niczego, oczywiście, nie powiemy.

- Dlaczego nie? - oponował Jørgen, który zdążył już nabrać nadziei, że razem z Parkinsonem może i Lisbeth pojechałaby na zachodnie wybrzeże.

- O, nie! On wprawdzie wie dużo o języku celtyckim, o piśmie ogamicznym i tak dalej, ale ja go znam! Byłem już na studiach, kiedy on tworzył swój słynny doktorat, i bardzo wielu ludzi podejrzewało wtedy, teraz pewnie też, że nie wszystko z tym doktoratem było tak, jak powinno.

- Myślisz, że oszukiwał?

- Nie mógłbym przysiąc, ale Parkinson miał przyjaciela, prawdziwego geniusza, jeśli chodzi o językoznawstwo, który jednak, niestety, zapisał się na śmierć. Ja myślę, że Parkinson wykorzystał, że tak powiem, papiery, które tamten zostawił. Bo praca Parkinsona powstała dziwnie szybko i była taka dobra, że on właściwie nigdy do niej nie dorósł. Taki jeden błysk, a potem nic?

Jørgen spojrział na drugi koniec pokoju i westchnął. Marzenie o wspólnym wyjeździe rozprysło się jak bańka mydlana.

Knut poparł Martina.

- Ja też nie przepadam za tym Parkinsonem. Taki zarozumiały pedant! Nie podobałoby mi się, żeby ktoś taki pogardliwie wyrażał się o Steinheia, miejscu mojego dzieciństwa.

Annika nie mówiła nic. Jej również nie przypadł do gustu pomysł, że Parkinson mógłby się wcisnąć do ich grupy, ale uważała, że nie ma prawa się wypowiadać.

A Tone? W niej wszystko burzyło się na myśl, że Lisbeth mogłaby z nimi pojechać.

Martin mówił dalej:

- Parkinson to karierowicz i prawdopodobnie wykorzystałby taką okazję bez żadnych skrupułów. Inskrypcja ogamiczna, to dopiero gratka! Więc skreślamy go na samym początku! Pierwsze, co powinniśmy zrobić, to pójść do muzeum, obejrzeć tamten kamień, żeby Knut

mógł się przekonać, czy tu naprawdę chodzi o pismo ogamiczne. To przecież mogą być całkiem po prostu rysy na drewnie czy jakieś inne pęknięcia albo, jak powiedziałem, czyjś wygłup. Ty, Knut, powinieneś zaraz napisać do ciotki!

- Mogę zadzwonić. Ona się przeprowadziła do Alesund.

- To pewnie zabrała tam też ze sobą ten wieszak? - zaniepokoił się Jørgen.

- Myślę, że nie. Taki wieszak nie pasuje do miejskiego mieszkania. Zbyt prymitywny!

- Wieszak na palta! Cóż za wandalizm! - burczał Martin. - To co, jedziemy zaraz w stronę? - zapytał całą grupę.

- Najszybciej jak to możliwe! - zawołał Jørgen. - I zostaniemy kilka dni, żeby dokładniej zbadać okolicę. Kto się wybiera?

- Ja się zapisuję! - oświadczyła Tone, która naturalnie nie mogła przepuścić okazji wyjazdu z Jørgenem.

- I ja, z największą radością - powiedział Knut. - Ale długo zostać nie mogę. Obiecałem mojej dziewczynie, że tego lata „zaliczymy Europę”.

- Ja chyba nie będę mogła - bąknęła Annika nieśmiało.

- Ale ty musisz jechać! - zaprotestował Martin. - Będzie mi potrzebna pomoc eksperta.

Och, jak to miło z jego strony. Z radości Annika omal się nie rozplakała. I ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że nie może oczu oderwać od Martina Øyena. Chyba też nie przypadkiem serce zaczęło bić jakoś mocniej.

Martin skrzywił się ledwo dostrzegalnie, ale ze złością. Taki łatwy podbój wcale nie jest zabawny, pomyślał. Gdybym chciał, mógłbym ją mieć już dzisiaj wieczora. Ale to niezgodne z moimi zasadami.

- Najpierw jednak kamień! - powiedział Jørgen. - Martin, czy ty pamiętasz, co jest na nim napisane?

- O ile wiem, to nikomu nie udało się tego odczytać.

- Cudownie! A zatem spotykamy się jutro przed muzeum, powiedzmy o... trzeciej po południu?

Od strony kuchni zawołano, że zaraz będą zakąski, i wszyscy poszli coś zjeść.

ROZDZIAŁ IV

Martin był bardzo miły i okazywał Annice wiele uwagi przez resztę wieczoru, więc dziewczyna w końcu się rozluźniła. No, przynajmniej dopóki rozmawiali na temat języka celtyckiego. On bardzo szybko się zorientował, że to właśnie poprzez takie tematy najłatwiej do niej dotrzeć, koncentrował się więc na sprawach studiów.

Wiele razy jednak Annika stwierdzała, że Martin rzuca jej ukradkowe spojrzenia, że ją obserwuje, ale nie wiedziała dlaczego. Sprawiał wrażenie zdziwionego, a nawet zaskoczonego. Trwało to chwilę, po czym on znowu wracał do rozmowy, mówił tym swoim miłym, niewymuszonym tonem, który powodował, że wszyscy czuli się w jego towarzystwie dobrze.

Annika nie umiałaaby powiedzieć, jak to się stało, ale kiedy znalazła się w drodze do domu, to odprowadzał ją właśnie Martin. Martin Øyen! Ledwo miała odwagę oddychać ze strachu, że on się w którejś chwili po prostu rozplynie w powietrzu.

Teraz to ja chyba śnię, myślała. Dla innych dziewcząt to pewnie chleb powszedni, natomiast ja jeszcze nigdy, ale to nigdy nie zostałam odprowadzona do domu przez żadnego chłopca. A tu nagle Martin Øyen! Czy można znaleźć wspanialszego chłopaka niż on? Taki radosny i życzliwy, taki troskliwy, inteligentny, obdarzony poczuciem humoru i wprost niemożliwie przystojny!

Annika przelękała się w głębi swojej samotnej duszy. Wszystko się w niej prężyło w chęci ucieczki od tego niebezpiecznie pociągającego mężczyzny, a zarazem wszystko chciało tu zostać.

Była to naprawdę zbyt łatwa rozgrywka, myślał Martin z niechęcią. Dziewczyny są do siebie podobne, wszystkie jak jedna. Pozwalają się zagadać, oczarować jednym pospiesznym uśmiechem i jakim takim zainteresowaniem. Chociaż jeśli o tę tutaj chodzi, to szkoda, bo sprawiała wrażenie, że ma trochę więcej w głowie. No i, nie można powiedzieć, brzydka nie jest. No to jesteśmy na miejscu, oto drzwi jej domu. Mógłbym teraz pocałować tę głupią laleczkę, ale tego nie zrobię. Powinna być trochę niepewna, to łatwiej ulegnie następnym razem. Dobranoc, dobranoc, a teraz moje specjalne pożegnalne spojrzenie, no i już biegnę sam w dół ulicy, a ona spogląda za mną tęsknym wzrokiem.

Uff, jakie to wszystko banalne!

W tym samym czasie Jørgen błędził po innych terenach łowieckich.

Odprowadził Tone do domu. Trochę za bardzo się spieszył, bo zauważył, że Lisbeth zbiera się do wyjścia z prywatki, a tego wieczora była sama, bez Parkinsona. Pożegnawszy Tone, pobiegł tam, gdzie, jak sądził, powinien spotkać Lisbeth.

Miał szczęście. Zobaczył ją w chwili, gdy już wyjęła klucz i zamierzała otworzyć drzwi swojego domu. Uległa jednak prośbom wielbiciela i poszli na spacer do pobliskiego parku, a potem przez jakiś czas siedzieli na ławce i rozmawiali. Jørgen mówił i mówił, gorączkowo, bo chciał zatrzymać ją jak najdłużej. Nigdy by się nie odważył przekroczyć granicy przyzwoitości, była przecież zaręczona z Parkinsonem! Za wszelką cenę chciał jednak wzbudzić jej zainteresowanie i chyba powiedział trochę za dużo... W każdym razie coś, czego nie powinien był mówić.

Następnego dnia przed południem, a była to niedziela, całkiem nieoczekiwanie do Anniki zadzwonił Knut. Poprosił, by zeszła do pobliskiej cukierni, bo chce z nią porozmawiać.

Od razu dostrzegła, że chłopak jakoś nietęgo się czuje. Jakby miał trudny problem. Zastanawiała się, o co może mu chodzić. Może chce jej powiedzieć, że nie powinna jechać na zachodnie wybrzeże?

Rozmawiali przez jakiś czas o tym i owym, było oczywiste, że Knutowi niełatwo jest wyjawić, z czym przyszedł. W końcu jednak zebrał się na odwagę, głęboko wciągnął powietrze...

- Annika, trudno mi to powiedzieć, ale bardzo bym nie chciał, żebyś została zraniona.

- Co masz na myśli? - spytała, a serce podskoczyło jej do gardła.

- Właściwie to Martin jest fajnym chłopakiem...

- O, tak! - zawołała Annika. - Bardzo go polubiłam!

Knut złamał słomkę, przez którą pił lemoniadę, a potem, jakby nie zauważając, co robi, wepchnął ją do butelki.

- Musisz jednak zrozumieć... On jest trochę rozpieszczony przez dziewczyny.

- O, można się domyślać...

- Annika... nie, ech, to obrzydliwe!

- Powiedz w końcu - poprosiła drżącym głosem. Zaczęła się teraz bać.

- Czy ty... umówiłaś się z nim na następne spotkanie?

- Nie - odparła ze zdziwieniem. - Poza tym, że mamy się wszyscy spotkać po południu w muzeum.

Knut skrzywił się.

- Powinnaś zrozumieć, Martin był trochę podpity... przedwczoraj wieczorem... I założył się o... Ale został sprowokowany!

- Do czego?

- Do zakładu.

- O co? Zdaje mi się, że ten dialog staje się idiotyczny.

- O to, że... - Knut eksplodował. - O to, że już na drugiej randce będzie cię miał w łóżku!

Szklanka i cała zastawa na stoliku wydała się nagle dziwnie odległa, Annika bez słowa wpatrywała się w szklany blat, próbowała się jakoś opanować.

- On uważa, że to wulgarnie ciągnąć dziewczynę do łóżka na pierwszej randce - powiedział Knut w wątpliwej próbie obrony kolegi.

- Wcale nie zamierzałam się w nim zakochać - powiedziała Annika z przekonaniem.

- Ja go po prostu bardzo lubię. Uważam, że jest naprawdę fantastyczny. Uważam, że wie bardzo dużo, że kiedyś daleko zajdzie. Ja...ja...

- Nie sądz, że to przyjemne opowiadać takie rzeczy o własnym koledze - rzekł Knut z niechęcią do samego siebie. - Ale po prostu jestem zdania, że to niesprawiedliwe wobec ciebie. Już i tak nie miałaś łatwego życia, Jørgen nam opowiadał. Gdybyś się zakochała w takim facecie jak Martin, a potem dostała takiego szturchańca!

Annika siedziała z pochyloną głową.

- Dziękuję, że powiedziałeś mi o tym teraz - szepnęła. - Bo to bardzo prawdopodobne, że któregoś dnia jednak bym się w nim zakochała; on jest przecież taki przystojny... i miły, a nie ma chyba łatwiejszej zdobyczy niż ja. Na razie jednak jestem jeszcze tylko zainteresowana nim jako kolegą, jeszcze ta informacja nie sprawia mi bólu...

Knut bardzo dobrze wiedział, że coś takiego mimo wszystko może dopieć do żywego, nawet jeśli jej serce jeszcze nie zostało w sprawę zamieszane. Upokorzenie... Położył rękę na dłoni dziewczyny.

- Nie myśl o nim zbyt źle. Wypił wtedy za dużo piwa.

Annika zmusiła się do uśmiechu.

- Nie musisz się bać, Knut. Ani mu tego nie cisnę w twarz, ani nie będę odgrywać dramatu. Będę go po prostu traktować jak kolegę ze studiów. I będę się mieć na baczności.

- Cieszę się, że tak to przyjęłaś - powiedział Knut z lekkim drzeniem w głosie. - Bardzo bym chciał, żebyście się z Martinem zaprzyjaźnili. Może trochę niezdarnie przedstawiłem tę sprawę, powinienem był pewnie najpierw porozmawiać z Martinem, ale są

jeszcze tamci, którzy się z nim założyli. Bałem się, że któryś mógłby powiedzieć ci coś przykrego, a to by było jeszcze gorsze.

Annika bez słowa skinęła głową. Nie bardzo dowierzała swemu głosowi. Po chwili jeszcze raz podziękowała, po czym wyszli z kawiarni, kierując się każde w swoją stronę. I tak oto skończyła się miłosna historia, zanim jeszcze zdążyła się rozpocząć, myślała Annika. A cóż ja sobie właściwie wyobrażałam?

ROZDZIAŁ V

Trzej chłopcy czekali już przed muzeum, gdy, punktualnie o trzeciej, zjawiły się Tone i Annika. Blady promień wiosennego słońca przebijał się przez chmury, ale nie miał żadnej władzy nad lodowato zimnym wiatrem.

Annika rzuciła pospieszne spojrzenie w stronę Martina, który stał i patrzył na nią ciepłymi, promiennymi oczyma. Ku swej wielkiej radości stwierdziła, że nie robi to na niej żadnego wrażenia. Ale gdyby nie wiedziała...?

- Cześć! - powitał je Jørgen. - Knut ma dobre wiadomości!

- Co takiego? - zapytała Tone.

- Możemy wynająć dom! On jeszcze stoi, całe obejście zresztą też, ciotka wynajmuje to każdego lata pewnemu Szkotowi, ale on spędza tam tylko lipiec i sierpień. Teraz dom stoi pusty i jesteśmy zaproszeni na jak długo chcemy. Szkot zresztą zajmuje tylko część domu. W pozostałych pokojach możemy mieszkać przez całe lato. Ciotka nie pamięta, czy wieszak tam jeszcze wisi, ale nie przypomina sobie, żeby go spaliła.

- Świetnie! - ucieszyła się Tone. - Czy możemy już wejść? Trochę tu chłodno!

Dozorca w hallu pocierał brodę.

- Taki kamień? No pewnie, gdzieś tu mamy coś takiego... Chociaż... prawdę powiedziawszy, nieczęsto ludzie o takie rzeczy pytają. Doktor Parkinson przychodził, oczywiście... Parę lat temu. Ale mrucał coś, że to wszystko niejasne, nie idzie zrozumieć, powiedział, próbował i od przodu, i od tyłu, co drugi znak, i co trzeci, zamieniał jedne runy na drugie, ale jakoś nic! - oświadczył dozorca i czekał, że studenci wyrażą podziw dla jego kompetencji. - No, dobra, to chodźcie za mną. Chyba znajdziemy ten wasz kamień.

Szli przez większe i mniejsze sale. Martin musiał raz po raz poszturchiwać Jørgena, który przystawał i uważnie studiował jakieś interesujące go eksponaty.

Dozorca zatrzymał się w rozległym pomieszczeniu, gdzie odgłos ich kroków odbijał się echem od ścian. Podczas wędrowki spotkali tylko jedną zwiedzającą osobę, zdaje się prahistoria niespecjalnie interesuje mieszkańców tego miasta.

O ile Annika zdążyła się zorientować, w tej sali zgromadzono zabytki obcego pochodzenia znalezione na terenach norweskich. Znajdował się tam jakiś wóz *po* mistrzowsku wykonany z drewna, ale, niestety, niekompletny. W gablotach na ścianach umieszczono wspaniały zbiór mieczy, grotów strzał i metalowych narzędzi. Dozorca przeniósł kilka różnego rodzaju przedmiotów z miejsca na miejsce.

- Tutaj mamy tego olbrzyma - powiedział wskazując na znacznych rozmiarów kamień.
- Mam nadzieję, że nie będziecie tu palić papierosów ani w żaden sposób nie uszkodzicie zabytków. Mamy tu piękne stare rzeczy! Niezastąpione!

Pomyśleć, że nawet dozorca takie sprawy rozumie!

Kiedy sobie poszedł, zaczęli uważnie oglądać zabytek. Miał co najmniej trzy czwarte metra wysokości i był dość wąski. U dołu znajdowała się chropowata powierzchnia, jakby część kamienia została odłupana.

- Nie widzę tu żadnych run - powiedziała Tone.

- A ja tak! - zawołał Knut. - Są dokładnie takiego samego rodzaju jak tamte!
Naprawdę!

Zwartym kołem otaczali teraz eksponat, ustawiony na specjalnym postumencie.

Wzdłuż bocznej krawędzi, od lewej ku prawej, układały się grupy starannie wrytych kresek, które z pewnością nigdy nie były dużo głębsze, choć deszcze i wichry musiały w ciągu wieków poważnie zniszczyć kamień. Kreski wyglądały na dość powierzchowne, jakby ryto je czy też wycinano w pośpiechu.

Ktoś, kto to pisał, nie miał zbyt wiele czasu. Teraz żłobiny zabarwione były na biało, więc litery widziało się wyraźnie. Wystarczyło tylko podejść dostatecznie blisko.

- Knut, czy myślisz, że ta inskrypcja jest dokładnie taka sama jak na twoim wieszaku?
- zapytał Martin.

- Nie wiem. Nie pamiętam przecież kolejności kresek, a w ogóle nie mam pojęcia o tym piśmie.

Annika mozolnie sylabizując próbowała cokolwiek odczytać.

- Ile ty potrafisz! - zawołał Martin z podziwem w głosie. - Zdawało mi się, że dopiero niedawno rozpoczęłaś studia nad językiem celtyckim.

Poczuła, że się czerwieni.

- Pismo ogamiczne interesowało mnie od dawna, więc bardzo szybko nauczyłam się alfabetu. A poza tym wcale nie jestem taka początkująca, mam za sobą prawie cały pierwszy rok.

- No i co teraz wyczytałaś?

- Geggamoja! - odparła szczerze. - Ale to przecież nic nie znaczy!

- Po celtycku też nic? - zapytał Jørgen.

- O ile wiem, to w żadnym języku - roześmiał się Martin. - Gdyby jednak teraz wszyscy zechcieli tekst zapisać, to później będziemy mogli się nad tym pogłowić.

I Martin zaczął głośno odczytywać poszczególne litery:

- UN C SMAAS - SMN ONS BGNO - IALVTC OQM O - IOE. Oddzielałem litery w miejscach, gdzie znajdują się te dziwne kropki i kreseczki. Nie bardzo to rozumiem, nigdy przedtem nie widziałem podobnego zapisu.

Jørgen przyglądał się swojej kartce.

- No, no - powiedział ze złośliwym uśmiechem. - Już widzę, jaki Parkinson będzie wściekły! Żadnej sławy dzięki naszemu odkryciu raczej nie zdobędzie!

- Tu się z tobą zgadzam - powiedział Knut.

- Czy to nie wspaniałe, że Parkinson szuka dosłownie ze świecą czegoś, co pomogłoby mu zdobyć tytuł profesorski, a tymczasem to my trafiamy na ślad czegoś całkiem nieznanego? Taki sukces badawczy, to by dopiero było coś dla niego! Odczytać tekst, na którym wszyscy łamali sobie zęby!

- Włączam także trójkąt - oświadczyła Annika, która sumiennie trudziła się nad całością.

- Jaki trójkąt? - zapytał Jørgen.

- Ten! - Annika podeszła bliżej i pokazała.

Martin podeszedł także. Przez chwilę wodził palcem po kamieniu.

- No, rzeczywiście! Masz dobre oczy! - pochwalił. - Ci, którzy pomalowali kamień na biało, z pewnością nie widzieli trójkąta. A może się nim po prostu nie przejmowali.

Teraz również inni widzieli wyraźny trój kącik, skierowany jednym wierzchołkiem w stronę półkola utworzonego z liter.

- Co to może znaczyć? - zastanawiał się Knut.

- Mnie o to nie pytaj - odparł Martin. - Poza tym wcale nie jest pewne, czy został wyryty celowo.

- Oczywiście, że celowo! - oświadczył Jørgen. - To z pewnością jakiś symbol. Powinniśmy nanieść go na papier.

Martin cofnął się o kilka kroków. W rękach trzymał aparat fotograficzny.

- Odsuńcie się na chwilkę, chciałbym sfotografować kamień!

- Czy nie jesteśmy dość urodziwi, by także znaleźć się na zdjęciu? - zastanawiał się Jørgen.

- Tacy urodziwi jak kamień na pewno nie!

- A jesteś pewien, że tutaj wolno fotografować? - szepnęła Tone.

- Mam to w nosie. No, zrobione! - rzekł Martin zadowolony. Reszta towarzystwa przecierała oczy, oślepią blaskiem flesza. Od strony wejścia biegł ku nim rozzłoszczony

dozorca, a więc cała piątka, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, pospiesznie opuściła muzeum.

Lisbeth rozmawiała przez telefon ze swoim narzeczonym.

- Ależ mój drogi, wcale mnie nie interesuje ten niezdarny olbrzym, Jørgen! Cóż mogę na to poradzić, że spotkaliśmy się na ulicy? Nie, nie było jeszcze późno. Ale, ale... Czy to prawda, że fani znaleźli jakiś przedmiot z tym, no, jak to się nazywa? No, te jakimiś napisami runicznymi czy alfabetem celtyckim?

- Ogamicznym? Chcesz powiedzieć, że ktoś znalazł inskrypcję ogamiczną? - zapytał Parkinson z niedowierzaniem.

- Tak. Właśnie tak. Jørgen coś gadał, że mają zamiar jechać na zachodnie wybrzeże i tam szukać napisów.

Parkinson zmarszczył brwi i przyglądał się swemu odbiciu w lustrze.

- Chwileczkę, co ty mówisz? Że ktoś znalazł na zachodnim wybrzeżu kamień z napisem ogamicznym?

- Nie, to nie kamień. O ile dobrze zrozumiałam, to runy zostały wyryte w drewnie.

- W drewnie?

- Tak. Chociaż niewiele z tego wszystkiego pojęłam. Oni dzisiaj mają iść do muzeum. No, chyba nawet już tam są. Chcieli popatrzeć na kamień, który tam stoi. Oni uważają, że oba napisy pochodzą z tego samego miejsca, gdzieś w Sogn czy we Fjordane albo Bóg wie gdzie. Nic ci nie powiedzieli?

- Nie. A poza tym to jacy „oni”?

- Studenci. Niektórzy z twojej grupy, pięć czy sześć osób.

Parkinson myślał pospiesznie. Zaciskał wargi aż do bólu.

- Wiesz, zadzwonię do ciebie później - powiedział niemal niegrzecznie i odłożył słuchawkę.

O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego on o niczym nie wie? Inskrypcja ogamiczną na drewnie? Być może w tym samym miejscu, gdzie kiedyś znaleziono kamień? Nie, to niemożliwe! To by dopiero była sensacja! Muzeum...? Parkinson pospiesznie włożył płaszcz. Spotkał studentów na dziedzińcu, gdy już się zaczynali żegnać. Udał zaskoczonego.

- Aha! - zawołał wesoło. - Nie wiedziałem, że spędzacie wolny czas w muzeum!

- Owszem, uznaliśmy, że należy trochę poćwiczyć inteligencję - odparł Jørgen.

- Interesuje was coś szczególnego?

Martin wahał się. Szczerze mówiąc jako student Parkinsona powinien był go poinformować o sprawie. Tylko że reszta kolegów nie lubiła tego wykładowcy, a i sam

Martin też nie był nim wcale zachwycony. Parkinson jednak miał sporą wiedzę; sumienie mówiło, że nie powinni tych rewelacyjnych wiadomości utrzymywać w tajemnicy. Zanim jednak Martin zdążył coś postanowić, Jørgen odpowiedział:

- Nie, tak po prostu wstąpiliśmy, bo zmarzliśmy na spacerze.

Parkinson miał dziwnie zacięty wyraz twarzy.

- Rozumiem. Nie chciałem was dłużej zatrzymywać. Kiedy studenci zniknęli za rogiem, wszedłem do muzeum. Tak, oczywiście, pięcioro młodych ludzi pytało o ten wielki kamień, informował bardzo chętnie woźny. Ale, niestety, zachowywali się nie najlepiej. Fotografowali w sali wystawowej! Chociaż dobrze wiedzą, że nie wolno! Światło flesza może uszkodzić stare malowidła, no po prostu nie wolno i już!

Parkinson już nie słuchał, popatrzył uważnie na kamień, jeszcze raz obejrzał starannie inskrypcję, choć niewiele mu to pomogło i, nadal niczego nie rozumiejąc, wyszedł z gmachu. Poszedł wprost do narzeczonej.

Lisbeth umyła właśnie włosy i nakręciła je na wałki, nie bardzo miała ochotę pokazywać się w tym stanie swemu wspaniałemu narzeczonemu. Chcąc nie chcąc pospiesznie ogarnęła się trochę i humor jej się poprawił.

Parkinson, który pragnienie kariery miał niemal wypisane na twarzy, ten zawsze nienagannie ubrany Parkinson o zaciśniętych, jakby zachłannych ustach, przystąpił bez ogródek do rzeczy.

- Lisbeth, ja muszę dostać tę ogamiczną inskrypcję, którą znaleźli twoi koledzy.

Dziewczyna była prawdziwą pięknoscią, właściwie nie potrzebowała poprawiać swej urody. Zresztą kładła nacisk na to, by wyglądać możliwie jak najnaturalniej i dlatego tak ją zdenerwował fakt, że narzeczony widzi ją w papilotach. Całe szczęście, że nie wie, iż kolor jej włosów, który tak podziwia, nie całkiem jest jej własny. Że ów złocisty blond jest rezultatem starannego farbowania.

- Musisz wytłumaczyć mi to wszystko dokładniej, kochanie.

Narzeczony skrzywił się nieznacznie. Nie bardzo lubił, gdy zwracała się do niego per kochanie. To nie pasuje do wizerunku zdolnego młodego naukowca, który lada moment zostanie profesorem. Parkinson w głębi duszy lubił myśleć o sobie jako o najmłodszym profesorze w kraju.

- Niech tamci się męczą ile tylko chcą z napisami na kamieniu muzealnym, bylebym tylko ja dostał tę inskrypcję na drewnie. Moje szczęście będzie wówczas pełne. Rozumiesz to?

Lisbeth spoglądała na swoje nie pomalowane, lecz starannie wypolerowane paznokcie.

- Masz zamiar im to ukraść? - wyszeptała bezbarwnie.

- Ukraść? Oszalałaś? Nie, ja chcę jechać z nimi na zachodnie wybrzeże i odczytać tekst pod nosem tym dzieciuchom. To dla mnie drobnostka, ale dzięki temu cała sława przypadnie mnie. A wtedy droga do profesury stanie otworem.

Uśmiechnęła się do niego szeroko. Och, jak lubiła takie słowa! Bo wtedy ona zostanie panią profesorową... A jego pensja też będzie godna...

- Co mam zrobić?

- Ten niezguła Jørgen jest przecież twoim wielbicielem. Bądź dla niego specjalnie miła! Oczywiście tylko trochę, nikt się niczego nie powinien domyślać. Ale też nie chciałbym wyjść na rogakza! Dowiedz się wszystkiego o tym znalezisku. Czy to prawda, czy też tylko takie dziecinne mrzonki. I spróbuj tak pokierować sprawami, żebyśmy oboje mogli z nimi pojechać! Dowiedz się przy okazji, kim jest ten cały Knut, bo może moglibyśmy pojechać tam sami, tylko ja i ty, zanim zwali się cała reszta.

- Knut? Ja wiem, kim on jest. Był wczoraj na prywatce razem z Jørgenem, twoim studentem Martinem i tymi dwoma idiotkami, Tone i jej siostrą. Jørgen pociesza się ze starszą, skoro mnie nie może mieć. A młodsza jest chyba także waszą studentką?

- Tak, tak, spotkałem ich dzisiaj 'wszystkich przed muzeum. Jak się ten Knut nazywa?

- Będę musiała dowiedzieć się od Jørgena. Ale on mówi jakoś tak, jakby ze śladami dialektu z zachodniego wybrzeża, więc mogłoby się zgadzać...

- Wspaniale, Lisbeth! - powiedział Parkinson i poklepał ją łaskawie po ramieniu. Rzadko posuwał się dalej w swoich czułościach, ale Lisbeth była zadowolona. Ona także nie należała do osób przesadnie uczuciowych; dużo bardziej interesujący wydawał jej się status społeczny przyszłego małżonka. Studia nad językiem celtyckim nie były wynikiem jakichś specjalnych zainteresowań Parkinsona. Posiadał jednak bystrą inteligencję, w dzieciństwie zetknął się z ludźmi mówiącymi językiem galijskim, a nade wszystko chciał wybrać dziedzinę studiów, w której konkurencja jest możliwie jak najmniejsza. Bo wtedy znacznie łatwiej piąć się w górę. Zdążył już wspiąć się dość wysoko, a teraz dostrzegał szansę wykonania decydującego skoku.

ROZDZIAŁ VI

Bładoniebieska cortina Jørgena pełzła pod górę, pokonując ostre zakręty.

- Nie mogę patrzeć w dół - szeptała pobladła Annika, która znalazła się właśnie po stronie, skąd rozciągał się widok w dolinę.

- Ale teraz powinnaś spojrzeć - roześmiał się Jørgen. - Tutaj jest fantastycznie!

W tym momencie minęli wążutki niczym włos zakręt i rozpoczęli dalszą mozolną wspinaczkę pod górę, ale Annika znalazła się tym razem po bezpiecznej stronie, przez okno widziała tylko stromą górską ścianę i odetchnęła głośno z ulgą.

- I pomyśleć, że nawet w takich miejscach ludzie mieszkają! - zawołała Tone, patrząc w stronę fiordu, który mienił się w dole wiele metrów pod nimi. - Tutaj codziennie prowadzą samochody. Nawet w zimie, po oblodzonej, śliskiej nawierzchni!

Knut, który siedział obok Jørgena, żeby pokazywać drogę, powiedział spokojnie:

- To kwestia przyzwyczajenia. Wiesz, Martin, to naprawdę wielka szkoda, że nie będziesz miał okazji spotkać Rona...

- Kto to jest Ron? - zdziwił się Martin, jadący na tylnym siedzeniu między siostrami.

- To ten Szkot, o którym opowiadałem. Moja ciotka mówi, że on jest takim szkockim patriotą, iż w ogóle nie chce rozmawiać po angielsku. Udaje, że nie rozumie ani słowa.

- Och! - zawołał Martin zachwycony. - To znaczy, że mówi po galijsku?

- Pytanie! Oczywiście, że mówi! Tylko że nikt go nie rozumie.

- To w jaki sposób porozumiewa się z twoją ciotką?

- Przez te wszystkie lata nauczył się sporo po norwesku.

- Popatrz, popatrz, to po norwesku można się z nim dogadać?

- Owszem. On uważa, że w naszym języku jest coś pierwotnego.

- No, na wsiach, gdzie używają dialektów, może to i prawda... - powiedziała Tone. - Ale w mieście jest tyle samo obcych naleciałości, co w innych językach.

Knut rzekł w zamyśleniu:

- Ciotka mówiła, że ten Ron to bardzo nieszczęśliwy człowiek.

- A to dlaczego?

- Dość dawno temu zatruł się jakimś środkiem chemicznym, czy czymś, niezbyt dokładnie zrozumiałem, o co to chodziło, w każdym razie całkiem stracił odporność i jest teraz taki wrażliwy, że byle jaka infekcja może się dla niego skończyć śmiercią. Wiecie, śmiejemy się czasami z ludzi, którzy boją się bakcyli, ale w przypadku Rona

niebezpieczeństwo jest naprawdę śmiertelne. Jego stan jest katastrofalny, wszystkie wewnętrzne organy zostały uszkodzone. Dlatego bardzo unika ludzi. Sam chodzi po okolicy w zapiętej pod szyję kurtce, najchętniej w kapturze na głowie i w rękawiczkach, żeby niczego nie dotykać. Ale tam, nad naszym morzem, czuje się bardzo dobrze.

- A jak trafił do Steinheia?

- Jeden z moich krewnych leżał kiedyś razem z nim w szpitalu. Ron przyjeżdżał do Norwegii na jakieś specjalne kuracje. Potem ten mój krewny przywiózł go ze sobą do nas, a Ron tak polubił samotność na wrzosowiskach i czyste powietrze, że od tamtej pory co roku przyjeżdża na wakacje. Za każdym razem jednak wygląda gorzej. Spotkałem go kilka razy. To wspaniały facet!

- Biedak! - westchnął Martin. - Jeszcze jedna ofiara naszego postępu technicznego!

Annika była wdzięczna losowi, że nie muszą spotykać tego Szkota. Nie byłaby w stanie teraz znieść tego nacisku psychicznego, jaki oznacza pielęgnacja czy w ogóle kontakt ze śmiertelnie chorymi ludźmi.

Od takich spraw chciała się na razie trzymać z daleka. Teraz jechała na spotkanie wielkiej przygody, która w dodatku dopełni się pośród rozjaśnionej wiosennym blaskiem przyrody, z zieleniejącymi młodymi listkami brzoź i z obsypanymi kwieciami owocowymi drzewami w osadach nad fiordem.

- O Boże, jak tu pięknie, jak pięknie! - zachwycała się Tone. - Naprawdę to za wiele dla mojej ciasnej, mieszczkańskiej duszy!

Za każdym razem, gdy mijali jakiś niebezpieczny zakręt lub skalny nawis, Tone chwytiała się kurczowo oparcia. Po drugiej stronie fiordu wznosiła się także bardzo wysoka i stroma góra, której wierzchołek pokrywała czapa oślepiająco białego śniegu.

Porywisty wiatr szarpał samochodem. Tone piszcziała przestraszona.

Martin siedział bardzo blisko Anniki. W mieście miał pewne problemy ze swymi kolegami, którzy stanowczo domagali się informacji w sprawie zakładu.

On i Annika spotkali się dwa dni temu, przypadkiem, gdy dziewczyna wracała do domu. Odprowadził ją, kiedy jednak zamierzał ją pocałować, nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem. Zapytał dlaczego, ale ona odparła obojętnie:

- Nic takiego, po prostu nasza mnie taka dziwaczna wizja.

- Jaka to wizja?

- Nagle wyobraziłam sobie, jak to będzie w przyszłości. Teraz jesteś młody i masz taką gładką skórę, a ja wyobraziłam sobie ciebie w otoczeniu całej gromady wnuków, które cię pielęgnują, karmią i cierpliwie znoszą sklerotyczne gadanie dziadka.

On także się roześmiał, ale dosyć sztucznie, potem pospiesznie się pożegnał i poszedł w swoją stronę, rezygnując z pocałunku.

Przed kolegami tłumaczył się nadmiarem pracy, mówił też, że akurat ta dziewczyna nie bardzo go interesuje. Ale wszystko się dokona podczas podróży nad morze, dla niego to bagatelka, nie ma wątpliwości, że wygra ten zakład, zapewniał. Koledzy chichotali złośliwie i to go denerwowało. Przyglądał się Annice z boku. Zaskoczyło go, że jest taka... uparta, że ma taką osobowość. Kilkakrotnie dostrzegł też wyraźnie bardzo subtelne poczucie humoru, a wtedy zastanawiał się cokolwiek spłoszony, co ona sobie właściwie myśli. Mimo że sprawiała wrażenie niezwykle łagodnej, lękającej się własnego cienia, było w niej sporo stanowczości i dumy. A oczy wyrażały głęboką samotność.

Martin przeklinał w duchu swoją lekkomyślność.

Serpentynowa droga nareszcie się skończyła. Byli wysoko na górze, jechali przez hale pokryte zieloną trawą, miękką niczym pierzynka.

- W ostatnich dniach miałem bardzo wytrwałą wielbicielekę - powiedział nagle Knut.

- Kogóż to? - zainteresował się Jørgen.

- Lisbeth!

- Ty też? Myślałem, że tylko ja zaprzątam jej myśli. Była dla mnie słodka jak miód.

- W stosunku do ciebie także przeprowadzała dyskretny wywiad? - zapytał Knut.

Jørgen zastanawiał się przez chwilę.

- Dopiero teraz, kiedy zapytałeś, zdałem sobie sprawę, że tak! Najpierw mi to oczywiście pochlebiało. Ale, niestety, nie miałem czasu pielęgnować tej zażyłości.

Tone skuliła się na swoim miejscu, jakby zmaląła. Annika współczuła jej serdecznie.

- Owszem, wypytywała mnie o wiele spraw - mówił dalej Jørgen. - O co pytała ciebie?

- Kim jestem i skąd pochodzę. Czy mam jakichś krewnych na zachodnim wybrzeżu i tym podobnie - odparł Knut. - A ciebie?

- Ech, takie tam... Wiecie co, kiedy tak teraz o tym myślę, to zaczynam rozumieć, że ona się wyraźnie wpraszała, żeby z nami tutaj jechać. To znaczy, żebyśmy zaprosili ich oboje, i ją, i tego jej Parkinsona. Chociaż jego towarzystwo to już mnie naprawdę nie interesuje - prychnął na koniec Jørgen.

- A ja myślałem, że ty chodzisz z Tone - uciął Martin i Jørgen uświadomił sobie, że nagle w samochodzie zapanował chłód. Żeby skierować myśli przyjaciół w nieco inną stronę, dodał pospiesznie: - Jej aluzje były jednak tak niejasne, że ich po prostu nie pojąłem.

Martin spytał ostro:

- Powiedzieliście jej coś o znalezisku?

- Nie - odparli obaj jednocześnie, chociaż w głosie Jørgena zabrzmiała nutka wahania, która nie uszła uwagi Martina.

- Ja jednak wygadałem się, że pochodzę z Lekna - dodał Knut. - To była pierwsza sprawa, o którą zapytała, zanim jeszcze nabrałem podejrzeń.

- A, więc to tu jest sowa pogrzebana - rzekła Tone.

- Pies, chciałaś chyba powiedzieć?

- Pies nazwiskiem Parkinson - mruknął Martin. - On starał się coś wyjaśnić. Kto się wygadał?

- On coś wiedział już wtedy przed muzeum, mogłabym przysiąc - powiedziała Tone. - Tylko jakim sposobem...?

- Jørgen, ty wyglądasz jak pastor dręczony wyrzutami sumienia - zaatakował Martin bez krzyku miłosierdzia. - Coś ty jej powiedział?

- Ja? - wykrzyknął Jørgen gwałtownie. - Ja przecież nic nikomu nie mówiłem! - Po czym skulił się. - All right, trochę się wygłupiłem. Lisbeth była taka miła dla mnie. Jeszcze zanim poszliśmy do muzeum. Zaraz po prywatce. Chciałem jej sprawić przyjemność, wydać się interesujący, sam nie wiem. Więc opowiedziałem jej trochę. Ale tutaj jej nie zapraszałem - zakończył stanowczo.

- Trochę? Co to znaczy? Ile naprawdę jej opowiedziałeś?

- Boję się, że wszystko.

Martin westchnął.

- Och, ty naiwna sieroto! No trudno, co się stało, to się nie odstanie. Miejmy tylko nadzieję, że nie przyjadą tu za nami. Annika, kochanie, czy masz jeszcze te pyszne jabłka?

Zwracał się do niej w taki szczególny sposób, że poruszał w niej najgłębsze struny. Wprawiał ją w drżenie. A był niebezpieczny! Śmiertelnie niebezpieczny! Annika odczuwała szczerą wdzięczność dla Knuta. Gdyby nie on, mogłaby tu przeżyć największą porażkę swego życia. Bo teraz nie miała już wątpliwości, że zakochać się w Martinie Øyenie to najprostsza rzecz pod słońcem.

ROZDZIAŁ VII

Późnym wieczorem dotarli do małego osiedla w głębi zatoki i tam kończyła się szosa. Odtąd jazda samochodem była niemożliwa. Dalej trzeba było popłynąć łodzią lub przeprowić się przez góry wąską i krętą ścieżyną. Ponieważ Knut nie chciał o tak późnej porze szukać przewoźnika, wybrali drogę przez góry.

Podczas tej podróży cała piątka stała się sobie bliższa. Po ciasnocie w samochodzie przyjemnie było rozprostować kości i poruszać się swobodnie. Wszyscy rozpoczęli wspinaczkę w góry chętnie i z zapałem, ale po kilku kilometrach coraz bardziej krętymi ścieżkami milkli jedno po drugim, w końcu szli oddychając ciężko, wpatrzeni pod nogi, szukając miejsca, gdzie można pewnie postawić stopę. Robiło się coraz ciemniej, choć w tej części kraju pod koniec maja noc zapada późno i powoli. Wciąż jeszcze widzieli dość dobrze drogę przed sobą, ale krajobraz tonął w mroku, szary, jakby noc pozbawiła go barw. Na tle wieczornego nieba odbijały się górskie brzozy, wysokie dęby i inne drzewa, których nazw nie znali.

Kiedy nieoczekiwanie otworzyła się przed nimi pusta górską dolina i od pokrytych wiecznym śniegiem szczytów powiał lodowaty wiatr, młodzi wędrowcy dosłownie padli na ziemię, by chwilę odpocząć. Nie mieli zbyt wiele bagażu, ale w drodze pod górę wszystko, co nieśli, zdawało się bardzo ciężkie. Zamierzali zostać w Steinheia jakieś cztery, pięć dni, żeby mieć dość czasu na zbadanie okolicy, a także by trochę odpocząć i nacieszyć się urodą gór. Po ciężkiej i pracowitej zimie należało im się to.

Wszyscy odpoczywali zajęci własnymi sprawami. Knut myślał o swojej dziewczynie, która czekała na niego, gotowa do podróży na południe. Martin zastanawiał się, jak najłatwiej i bez większych starań poderwać Annikę, ona zaś obmyślała, jak mu w tym przeszkodzić. Tone myślała o Jørgenie, a on marzył o Lisbeth...

- Ależ tu wieje - jęknęła Tone. - Przenika do szpiku kości.

- Na dole, w Steinheia, wieje prawie bezustannie - powiedział Knut.

Annika zmęczona leżała na plecach i wpatrywała się w ciemną chmurę, sunącą za księżycem, który wkrótce znajdzie się w pełni. Czuła się jakoś dziwnie. Tu, na tym pustkowiu, pod zimnym, pokrytym ciemnymi chmurami niebem panował nastrój sądnego dnia i Annika nieoczekiwanie zadrżała. Ogarnęła ją jakaś niezrozumiała, gwałtowna chęć, żeby zawrócić i uciec stąd. Zagroda Steinheia, której nigdy przedtem nie widziała, wydawała się wyjątkowo obrzydliwym miejscem. Inaczej nie umiałaby określić swoich uczuć.

Trwało to niedługo, potem znowu wszystko wróciło do normy.

W chwilę później stanęli na krawędzi ostrego uskoku. Daleko w dole widzieli czarne morze i szary pas lądu wrzynający się w wodę.

- Czy my musimy zejść aż tam? - zapytała Annika z desperacją.

- Droga jest mniej stroma, niż ci się wydaje - uspokajał ją Knut. - Chodźmy, teraz to już nie potrwa długo.

- Nie mogę powiedzieć, że się zupełnie nie boję - mruknął Martin i Annika na moment spotkała jego wzrok. Uśmiechnęli się do siebie w nieoczekiwanym porozumieniu i poczuli ulgę.

No, tu ją mam, pomyślał Martin z triumfem. Teraz jest gotowa!

Jak cudownie mogłoby nam być razem, pomyślała Annika. Gdyby on przez cały czas nie musiał się utwierdzać w przekonaniu, że jest wspaniały.

Podczas schodzenia w dół nie opuszczał jej jakiś osobliwy, nie znany przedtem nastrój. Może to wpływ tego niedawnego, nieokreślonego lęku, ale spostrzegła, że jej towarzysze czują się chyba dość podobnie. Widziała w półmroku skupioną i pełną napięcia twarz Martina, jego przymknięte oczy, widziała Jørgena, poruszającego się sztywno i ostrożnie, jakby się znalazł na całkiem obcej ziemi. Zresztą tak w pewnym sensie było, nikt poza Knutem nigdy nie był w tej odległej, wysuniętej w morze części kraju. Wiedziała też, że Tone odczuwa to samo co ona, siostry często reagowały podobnie, choć poza tym różniły się między sobą pod wieloma względami.

Przed nimi huczało morze, tym głośniejsze, im niżej schodzili. Od czasu do czasu wyraźnie widzieli cypel, czy może należałoby powiedzieć przylądek, i nawet w tym półmroku mogli stwierdzić, jak naga jest to ziemia, pokryta jedynie ubogą, płożącą roślinnością, zasypana białymi kamieniami. Dalej u podnóża gór grunt nosił ślady uprawy, chyba z dawniejszych czasów, ale widzieli tam zarośla, a nawet niewielkie drzewa. A kiedy zeszli jeszcze niżej, na jakiś skalny grzbiet czy półkę, zobaczyli domostwo. Wtedy przystanęli w milczeniu.

- Czuję zimny dreszcz na plecach - szepnęła Tone do Anniki.

- A myślisz, że ja nie? Gdyby to nie był taki wstyd, zawróciłabym w tej chwili i uciekła!

Szara i samotna zagroda Steinheia leżała tuż przy górskiej ścianie. Nic bardziej samotnego nie mogło chyba istnieć na świecie. Morze grmiało teraz prawie ogłuszająco. Wiatr gwizdał pomiędzy kamieniami, szarpał nadmorską trawą, drzewa w zaroślach koło domu niemal kładły się na ziemi, smagane wiecznym wiatrem. Kiedy na moment księżyc

skrył się za chmurami, widzieli wokół siebie jedynie tu i tam mroczną szarość, a poza tym wszystko spowijała smolista czern.

- Jak się czujesz, Knut? Pierwszy raz po wielu latach? - spytała Annika.

- Dziwnie. Rzeczywiście byłem tu po raz ostatni dawno temu. Nawet bardzo dawno.

Martin stał z boku, wsparty o kamień, który przypominał ogromną ludzką głowę.

- Wspaniale! - mruknął, patrząc na morze, na którym najmniejsze nawet wyspy czy skały nie przesłaniały horyzontu. - Jeśli jakieś statki przychodziły stąd od zachodu, musiały przybijać do brzegu właśnie na cyplu. Bo poza tym brzeg stanowią jedynie pionowe skały.

- Stąd nie można widzieć przytulnych zatok - powiedziała Tone.

- Ale w jakim celu zostawiali tu inskrypcje ogamiczne? - zastanawiał się Martin półgłosem.

- Może po to, by zawiadomić, że tutaj byli - wyraziła przypuszczenie Annika. - Takie kamienie z inskrypcjami zawierają przeważnie jakieś imiona, prawda? Na ogół w drugim przypadku.

- Owszem. Z wyjątkiem tego w muzeum. Ten jest niezwykły.

W kilka minut później znaleźli się na dole. W zielonkawym świetle księżyca przyglądali się wznoszącemu się przed nimi domowi. Leżał na tym pustkowiu szary, zniszczony, z poczerniałymi deskami, przygięty do ziemi przez wichury i martwy. Dom był większy, niż się spodziewali, dwupoziomowy o skromnej fasadzie, pośrodku frontowej ściany drzwi bez ganku, mnóstwo wysokich okien na obu poziomach. Inne zabudowania w obejściu zostały niemal całkowicie zrujnowane przez jesienne sztormy. Annika dostrzegła przechyloną szopę z również przekrzywioną wygódką, która nie wyglądała szczególnie zachęcająco. Małe, karłowate kwiatki chwiały się w trawie przed domem, wszystkie ścieżki na dziedzińcu pozarastały już dawno temu.

Knut głęboko wciągnął powietrze i wsunął ogromny żelazny klucz w zamek. Drzwi skrzyknęły przejmująco i niechętnie, jakby nie chciały wpuścić obcych do środka.

Wewnątrz pachniało nie zamieszkanym pomieszczeniem, stęchlizną, opuszczeniem. Pokój, do którego weszli, miał kilka niezbędnych mebli - kulawy długi stół i drewniane stołki.

Nikt z całej piątki nie powiedział ani słowa, kiedy szli, jedno za drugim, przez kolejne izby. Wszyscy zdążyli zauważyć, że dziwnego wieszaka nie ma w przedpokoju, widzieli jednak otwory po gwoździach i jaśniejszą plamę na ścianie, gdzie z pewnością wisiał.

Mocna halogenowa latarka Knuta oświetlała po kolei wszystkie pomieszczenia, trzy duże pokoje w amfiladzie. Na koniec weszli do pomalowanej na niebiesko kuchni.

- No, dobrze - powiedział Jørgen. - Zatem jesteśmy na miejscu. A gdzie będziemy spać? Myślę, że wszyscy marzą głównie o tym, żeby się położyć.

Knut ponownie wyprowadził ich do hallu i pokazał niewielkie drzwi.

- W tej części domu jest małe mieszkanie naszego Szkota. Takie samo wejście znajduje się też na piętrze - dodał, kiedy wchodzili na górę.

Knut otwierał im inne drzwi.

- Jørgen, chcesz zamieszkać tutaj? A Martin tam? Tone i Annika, chcecie razem, czy każda w swoim pokoju?

- Dziękujemy, chętnie osobno, jeśli hotel na to stać.

Knut roześmiał się.

- Akurat pokoi to mamy pod dostatkiem. Myślę, że możecie zamieszkać tutaj naprzeciwko siebie. Czy są jakieś skargi?

- Owszem - szepnęła Tone. - Czy mógłbyś poprosić ten wiatr, żeby nie wzdychał tak ciężko? Dom chwieje się i jęczy, jakby dźwigał nie wiadomo jaką ponurą tajemnicę.

- Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić. Dom się nie zawali, to mogą ci obiecać. Ja sam prześlę się na dole. Jutro powinienem wyruszyć jak najwcześniej. Bardzo żałuję, bo chętnie zostałbym tutaj kilka dni.

Postanowili, że poszukiwania wieszaka odłożą do jutra, wszyscy byli zmęczeni, podróż dała im się porządnie we znaki, szumiało im w głowach, a podłoga zdawała się kołysać pod stopami. A poza tym ani świece, ani lampy naftowe nie dawały dostatecznie dużo światła.

Pospiesznie zjedli w kuchni kolację, potem Jørgen rozpałił gazową kuchenkę i Tone zrobiła herbaty. Prawie nie rozmawiali, zmęczenie i ów dziwny nastrój nocy w domu na pustkowiu sprawiał, że najchętniej milczeli. Niezwykłe, przynajmniej w odniesieniu do Jørgena i Martina.

Nagle wszyscy unieśli głowy i spojrzeli po sobie nawzajem. Serce Anniki zaczęło bić szybko jak szalone.

Na piętrze rozległo się głucho trzaśnięcie.

- Co to było? - spytała Tone martwym głosem.

- Wiatr - odparł Knut lekko. - To się często zdarza. Mówiłem wam przecież.

- Bardzo energiczny wiatr, trzeba przyznać - mruknął Martin.

Raz po raz łapali się na tym, że siedzą i wsłuchują się w te szepczące, głucho, skrzypiące i trzeszczące odgłosy starego domu. Od strony morza dochodził nieustanny przenikliwy szum, jakby muzyka jakichś ogromnych organów, w której powtarzało się kilka

wciąż tych samych akordów. Księżyc pojawiał się i znikał za gnany wicherem po niebie chmurami.

Kiedy pół godziny później wstali od stołu, usłyszeli gdzieś na zewnątrz coś jakby rytmiczne kłapanie. Nawet spokojny Jørgen słuchał tego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tego dźwięku nie znam - pospiesznie wyjaśniał Knut. - Musiała się obluzować jakaś rynna.

Tone roześmiała się niepewnie.

- To wszystko zaczyna być zabawne.

- Trzeba posłuchać, co się tutaj dzieje przy południowym wietrze! - postraszył ją Knut.

- Wtedy na dach lecą kamienie i kawałki skał. Dopiero można mówić o duchach i upiorach!

- Umiesz dodawać człowiekowi otuchy - bąknęła Annika i pożałowała, że jednak nie wzięły z Tone wspólnego pokoju.

Martin posłał jej ponure spojrzenie. Nie jest źle, pomyślał. Duchy mogą sprawić, że histeryczne panienki same przybiegną do jego pokoju. Może więc przestać się wysilać, wystarczy poczekać. A tego mu potrzeba, by wygrać ten idiotyczny zakład i móc się nareszcie skoncentrować na celtyckiej inskrypcji!

Gwałtowny poryw wichru szarpnął domem. Zagrzecotał po dachu, jakby cały oddział kościotrupów przeleciał po nim w wielkim pędzie.

- Ktoś jednak powinien jutro zreperować dach - powiedziała Tone ponuro. - W przeciwnym razie będę musiała poprosić o obniżenie komornego.

Na korytarzu pierwszego piętra Martin na moment stanął przed Anniką. Jego twarz w półmroku wydawała się jeszcze bardziej pociągająca niż zwykle i Annika walczyła rozpaczliwie sama z sobą, żeby nie poddać się fantastycznemu, mistycznemu nastrojowi tej nocy. Żebyż on chociaż nie był taki sympatyczny! Ale trudno, on nie może wygrać! Po prostu nie może!

- Annika... - powiedział głębokim ze wzruszenia głosem.

Och, nie! pomyślała przestraszona. Na razie jestem jeszcze w stanie ci się oprzeć! Popatrzyła mu z powagą w oczy.

- Słucham, Martin.

Jej spokojny wzrok wprowadził go w zakłopotanie.

- Annika, chciałbym cię o coś zapytać.

- Tak, Martin o co chodzi?

- Czy wiesz, że jesteś bardzo ładna?

- Nie, Martin. Nie wiem.

- Chyba nie musisz jeszcze iść spać?

- Muszę, Martin. Taka jestem zmęczona.

- Och, przestań się wygłupiać! - warknął ze złością. Nastrój został zniszczony, Martin odwrócił się zirytowany i odszedł.

Annika, ze świecznikiem w ręku, weszła do swego pokoju. Właściwie nie potrzebowała świecy, bo przez niewielkie okno wpadał do izdebki blask księżyca. Płomień świecy dawał jej jednak poczucie bezpieczeństwa, był jedynym ciepłym i znajomym punktem w tym obcym, zimnym świecie. W pokoju znajdowało się tylko łóżko, krzesło, nieduży stół i kilka prastarych fotografii w owalnych ramkach. Sztywni i uroczyści spoglądali na nią z tych fotografii czyiś przodkowie w wysokich kołnierzykach, z gładko zaczesanymi włosami.

Annika rozłożyła śpiwór na przymocowanym do ściany łóżku bez materaca. Nagie deski wyglądały niezbyt zachęcająco, a poduszki w ogóle nie było, więc Annika zwinęła swój gruby sweter i podłożyła pod głowę. Potem zdmuchnęła świecę i próbowała zasnąć.

Ponuro, wprost upiornie szumiało morze. Dziewczyna naciągnęła śpiwór, żeby tego nie słyszeć.

ROZDZIAŁ VIII

Annika miała niespokojne sny. Tu, na piętrze, porywy wichru zdawały się jeszcze gwałtowniejsze, wywoływały niesamowite, przerażające hałasy, które wdzierały się w jej senne marzenia. A kiedy jakiś wyjątkowo gwałtowny łoskot od strony starej obory odbił się echem od skał, Annika, mimo zmęczenia, obudziła się. Próbowała odwrócić się na drugi bok, ale ponieważ robiła to już wcześniej, miała teraz śpiwór owinięty wokół ciała jak spiralę.

Wstała zła, że hałasy przerywają jej sen, którego tak bardzo potrzebuje. Światło księżycy nadal jasną smugą zalewało pokój, musiało być jeszcze dosyć wcześnie. Dziewczyna podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Stała tak, opierając ręce o futrynę, mała, krucha istota w obliczu wymarłego krajobrazu, z wyrazem rozmarzenia w smutnych oczach, i czuła, że gwałtowne siły natury na zewnątrz zaczynają zdobywać nad nią władzę, że ją otaczają, starają się ją pochłonąć. Oto stoję naprzeciw wieczności, pomyślała przerażona i zacisnęła powieki, by otrząsnąć się z wrażenia i odzyskać równowagę. Gdy ponownie otworzyła oczy, mogła bardziej trzeźwo przyjrzeć się krajobrazowi.

Na wprost widziała rozległe wrzosowiska pełne kamieni i ogromnych głazów, a w dali wzburzone morze. Dokładnie naprzeciwko jej okna niczym dziwny monument stał wysoki, smukły kamień z nierównym odłamany czubkiem. Na lewo od domu majaczyły resztki jakiegoś fundamentu, które porosły już trawą i mchem, widoczne były jedynie kontury.

Po prawej stronie znajdował się szarpany wiatrem zagajnik, a obok, tuż pod skalną ścianą, stara obora i szopa na siano. Teraz Annika uświadomiła sobie, co tak hałasuje. Wieczorem Jørgen i Knut wyjęli spory palik z wiązki, która stała oparta o ścianę obory. Teraz wiatr przewrócił pozostałe kolki i rozrzucił po ziemi. Przy każdym silniejszym podmuchu toczyły się z łoskotem.

A zatem to tak niewiele trzeba! Przez lata kolki podpierały ścianę, aż ktoś naruszył ten porządek, co wiatr natychmiast wykorzystał.

Annika zmarszczyła brwi. Zdawało jej się, że dostrzega jakiś ruch.

Czy to cień przemknął pod ścianą?

Nie, to nie cień, to żywa istota! Z mroku pod lasem wyłoniła się jakaś postać. Weszła w oświetloną sferą światła księżycy część podwórza powolnym krokiem, lekko kulejąc. Annika wytrzeszczała oczy, żeby lepiej widzieć. Któż to po nocy kręci się w obejściu?

To jakiś mężczyzna, co do tego nie miała wątpliwości. Ale nie Martin ani nie Jørgen, oni są wyżsi. To już raczej Knut.

Tak, to z pewnością Knut, nie może zasnąć i postanowił obejrzeć zagrodę, w której spędził dzieciństwo.

W pewnym momencie mężczyzna podszedł bliżej i spojrzął w górę, ku domowi. W bladej księżycowej poświacie nie można było zobaczyć jego twarzy, Annika widziała przed sobą jedynie ciemną sylwetkę, lecz była pewna, że ten ktoś patrzy prosto w jej okno. Cofnęła się mimo woli.

Mężczyzna przed domem ubrany był w coś ciemnego z połyskliwej tkaniny, Annika nigdy czegoś podobnego nie widziała. I nie bardzo przypominał Knuta. Może raczej Parkinsona, przyszło jej do głowy, bo Parkinson też poruszał się z taką jakąś godnością, przesadnie wyprostowany. Parkinson również był niewysoki i szczupły, i wyjątkowo szeroki w ramionach. Dokładnie tak jak ten na dole.

Ale to przecież śmieszne! Skąd by się tu miał wziąć Parkinson?

Zagadkowa postać znalazła się w cieniu domu i Annika nic już więcej nie mogła zobaczyć.

Stała jeszcze dość długo i nasłuchiwała, czy nieznajomy nie wejdzie do środka, ale wiatr tak tłukł o ściany, a morze grzmiało z takim łoskotem, że niczego nie była w stanie usłyszeć.

Kompletnie zbита z tropu wróciła do łóżka. Mimo wszystko to musiał być Knut. Światło księżycy bardzo zmienia proporcje, to jasne!

Parkinson? Dlaczego miałby się tu pojawić w środku nocy? To przecież bzdura!

Od okna wiało. Za każdym razem, gdy wiatr szarpał domem, Annika czuła zimny strumień powietrza na głowie. Otuliła się szczelniej śpiworem i w końcu jednak udało jej się ponownie zasnąć.

Następnego ranka Martina wprost rozpierała energia. Niecierpliwie wyczekiwał końca śniadania. Jørgen zaspany zszedł na dół ostatni i teraz musiał się bardzo spieszyć z jedzeniem.

W końcu jednak mogli rozpocząć poszukiwania.

Starannie przeczesywali mieszkalną część domu, ale poza tym, że Martin znalazł jakąś tajemniczą rzecz, w której Jørgen rozpoznał tak zwany rosyjski korzeń, środek leczniczy na rozmaite dolegliwości, poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Po godzinie zebrali się w kuchni, czyli w punkcie wyjścia.

- Zastanów się, Knut - nalegał Martin. - Przecież znasz swoją ciotkę. Postaw się w jej sytuacji Zdejmujesz wieszak ze ściany, co byś z nim zrobił? Gdybyś był ciotką.

- Spaliłbym go na podwórzu razem z innymi niepotrzebnymi rzeczami. Ale ciotka powiedziała, że tego nie zrobiła.

- Nie, bogowie mieli nas w swojej opiece! - rzekł Martin. - No, więc co byś zrobił?

- Skoro ciotka nie spaliła wieszaka... - zastanawiał się Knut, siedząc na kuchennej ławce. - To była spora deska, ponad metr długości, może nawet półtora metra... Czegoś takiego raczej nie wyniosła na strych.

- Mam nadzieję, że nie wyrzuciła go po prostu na śmietnik - westchnął Jørgen. - Bo w takim razie pewnie nie byłoby czego zbierać.

- Czy jest tu jakaś piwnica? - zapytała Tone.

- Powinna być... oczywiście, że jest. Zdaje mi się, że wejście jest z kuchni. O, tutaj, zamykany otwór w podłodze.

Jørgen natychmiast podskoczył do piwnicy i otworzył klapę, Uderzył w nich zapach zatęchłej ziemi.

- Knut, twoja latareczka!

- Latareczka! - prychnął Knut i podał mu swoją wspaniałą halogenową latarnię. - Latareczka - mamrotał dalej urażony. - Ona oświetla co najmniej na tysiąc metrów! Zapamiętaj to sobie!

- Na tysiąc metrów? Znakomicie. Właśnie czegoś takiego potrzeba mi w piwnicy! - zawołał wesoło Jørgen i skoczył. - Gdybym nie wyszedł po godzinie, to szukajcie mnie przy jakichś łapkach na szczury! - zawołał. - Tfu! Ale pajęczyny! - Jego głos oddalał się. - Czy wiecie, jakie długie pędy mogą mieć ziemniaki? Bo ja już wiem.

Głos znowu się przybliżył i po chwili w otworze ukazała się głowa Jørgena, omotana szarą pajęczyną.

- Nie, tam niczego nie ma - powiedział. - Oczekuję innych świątłych pomysłów. Ale może wskazujecie jakieś czystsze miejsca, jeśli łaska, dobrze?

- A budynki gospodarskie? - zapytała Tone.

- Tak - zgodził się Knut. - To nie jest niemożliwe. Tylko nie wiem, jak wejść do obory. Podłoga już dawniej była spróchniała, a teraz to się pewnie przy każdym kroku będzie zapadać.

Nie musieli jednak ryzykować życia w oborze, bo najpierw przeszukali stajnię i tam, pośród części starej uprzęży, dziewczyny znalazły jakiś tajemniczy przedmiot.

- Hej, hej! - wołała Tone. - Chodźcie tu!

Chłopcy przybiegli w pośpiechu.

- Czy tego szukamy, Knut?

Spod stosu śmieci wystawał ledwie widoczny kawałek deski. Knut pochylił się i próbował wyciągnąć.

- Zdaje mi się... - powiedział zdławionym głosem. - Zdaje mi się, że to rzeczywiście... Tak, to chyba jest to!

Martin i Jørgen niecierpliwie odrzucali wszystko, co przykrywało deskę, czy jak to nazwać, i po chwili Knut z triumfującym uśmiechem wyniósł ją na podwórze.

- Ech, ty! - szeptał Jørgen uroczyście jak w kościele, wpatrując się w trzymane w ręce drewno. - Widzieliście kiedy coś podobnego?

Tone, która nigdy przedtem nie miała do czynienia z zabytkami, nie była specjalnie zachwycona. Poczerniały nieforemny kawałek drewna, drążek czy gruba deska, nadgryziona na brzegach zębem czasu. Naprawdę nic takiego, co mogłoby wprawić człowieka w osłupienie!

- Jørgen, ty jesteś ekspertem - powiedział Knut z wymuszoną obojętnością. - Na jaki okres byś to datował?

Martin i Annika domagali się rozpaczliwie, żeby pozwolono im popatrzeć na runy, ale Jørgen nie chciał wypuścić skarbu z rąk.

- Przede wszystkim trzeba usunąć te idiotyczne haki - mamrotał przejęty. - Ale poza tym, poza tym... - Głaskał czule i z miłością chropowatą powierzchnię drewna. - Stare, to naprawdę jest stare - cmokał. - I bez wątpienia celtyckie, spójrzcie tylko na ten ornament! Knut, to dopiero jest znalezisko!

- Ale jak stare? - upierał się Knut.

- Och, te twoje niewczesne pytania! - jęknął Jørgen. - No więc tak, żebyśmy potem nie przeżyli rozczarowania, nie dostali żadnego ciosu w plecy, to możemy górną granicę wyznaczyć gdzieś na epokę wikińską.

Martin nie był w stanie czekać dłużej. Wyrwał Jørgenowi drewno z ręki i zaczął mu się uważnie przyglądać, obracając na wszystkie strony.

- Annika, Annika, spójrz! - zawołał i przyciągnął ją do siebie. - Popatrz na to! Ogam! - To ostatnie słowo przypominało raczej przeciągłe wycie niż normalną ludzką mowę. - Okres wikiński? - zapytał wzburzony. - Chyba ci się w głowie pomieszało!

- Powiedziałem: górną granicę! Sam wiem, że to dużo starsze.

Z głową tuż przy głowie Martina Annika przyglądała się uważnie kilku niedużym, delikatnym nacięciom na drewnie.

- Czy nikt tu nie potrzebuje eksperta w dziedzinie medycyny? - zapytała Tone pokornie.

- Owszem, ja! - zawołał uszczęśliwiony Jørgen i pocałował ją w policzek. Tone rozbłysła niczym słońeczko.

- No co, Martin? - pytał Knut z przejęciem.

Martin, wspierany przez Annikę, mozolnie odczytywał litery.

- Duże fragmenty inskrypcji zostały całkowicie zniszczone - skarżył się. - Ale co nieco można mimo wszystko odczytać. O, na przykład...

Odczytał kilka liter z długiego szeregu ogamicznych run:

- MTTAEASDIAAONRNL...

Głębokie westchnienie.

- Kompletny bełkot! Żadnego systemu, ani jednego słowa!

- Wygląda na to, jakby jakiś początkujący pisarz ćwiczył się w ogamicznym alfabecie. Rył sobie, co mu przyszło do głowy - powiedziała Annika.

- To by była katastrofa! - jęknął Martin. - Ale, oczywiście, mogło się i tak zdarzyć. Nic, ani tu, ani w muzeum, nie przypomina typowej inskrypcji ogamicznej. Spójrzcie na ten nie dokończony rząd znaków. Niczego takiego nie ma w żadnych inskrypcjach znalezionych w Anglii. Tamte wszystkie są bardzo krótkie, przeważnie ograniczają się do imienia.

Po chwili milczenia Tone powiedziała:

- Wyjdźmy z tym na światło!

Dzień był słoneczny i dopiero teraz, kiedy zniknęły cienie nocy, wszyscy uświadomili sobie, jak piękna jest ta okolica. Ogarnęło ich uczucie nieskończonej wolności, wiatr od morza przynosił świeży powiew, patrzyli na cypel skąpany w słonecznym świetle i zdawało im się, że stoją u progu Kosmosu. Wszystko było takie czyste, takie świeże i nie tknięte przez nikogo - trawa, po której szli, biały gład na wrzosowisku, przesycone solą powietrze i wilgotny wiatr. Ponad głowami ludzi krążyły morskie ptaki. To z pewnością mewy, pomyślała Annika. Chociaż... te czarne to pewnie kruki.

- Jak myślisz, do czego to mogło służyć? - zapytał Knut Jørgena. - Bo przecież chyba nie do ozdoby?

- Nie - odparł Jørgen i gładził dłonią chropowatą powierzchnię drewna. - Nie, to chyba w ogóle nie była ozdoba, to jakiś praktyczny przedmiot. Został obłamany na końcu, więc nie wiemy, jak wyglądał. Och, te okropne kołki do wieszania odzieży, serce mi się kraje, kiedy na to patrzę! Tutaj jest ten czworokątny otwór, o którym wspominałeś. Myślę, że w ten sposób był połączony z czymś innym...

- I ten piękny łuk tutaj... - powiedział Martin. - To mi przypomina rękojeść czy jakiś inny uchwyt. Najpierw myślałem, że to część orczyka, ale chyba nie_. orczyki nie mają przecież uchwytów.

- W każdym razie to musiało czemuś służyć. Ale dajmy temu na razie spokój, najpierw trzeba się zająć inskrypcją!

Po chwili siedzieli wszyscy przy stole w pokoju, który kiedyś musiał być najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniem w całym domu. Przed nimi leżał ten dziwny drewniany przedmiot, który zajmował prawie całą długość stołu. Wszyscy mieli przy sobie notatniki i ołówki. Martin dyktował, a reszta zapisywała poszczególne litery. Po norwesku, rzecz jasna. Odczytanie inskrypcji zabrało sporo czasu, drewno bowiem było bardzo zniszczone; wszyscy odczuwali wdzięczność dla twórców zapisu, że wryli znaki tak głęboko, iż w ogóle cokolwiek pozostało.

Martin był niebywale podniecony znaleziskiem, wykrzykiwał coś i śmiał się niczym dziecko, co przepełniało serce Anniki jakimś niezrozumiałym smutkiem.

Jakiż ten Martin miły! Jaki spontaniczny! Nie wyobrażała sobie, by ona, takie nic, mogła mieć u niego jakiegokolwiek szanse, ale przecież tęskniła za przyjaźnią kogoś takiego. Zawsze. Niekiedy przeklinała Knuta, że opowiedział jej o tym upokarzającym zakładzie, choć przecież zdawała sobie sprawę, że to dla jej dobra. Gdyby o niczym nie wiedziała, poleciałaby za Martinem jak ćma do światła! Wiele razy tego przedpołudnia Martin przesyłał jej obiecujące spojrzenia, dzisiaj już definitywnie rozpoczął swoją ofensywę, domyślała się tego. I domyślała się też, iż liczył, że jeszcze przed wieczorem Annika padnie mu w ramiona.

Myśl, że wszystko zostało na zimno wykalkulowane, sprawiała jej ból. Cyniczne wyrachowanie, bez cienia uczucia. Może nawet budziła w nim obrzydzenie? Musiał to być zakład o dużą sumę, bo Martin najwyraźniej dążył do uwiedzenia jej.

Serce Anniki krwawiło z bólu.

Na koniec zdawało się, że odczytali już wszystkie litery w inskrypcji - z wyjątkiem dwóch, całkowicie zatartych. Jednak od tego, co widzieli na kartkach przed sobą, wcale mądrzejsi nie byli.

SCIERSONALLEVUTACBLENSAIN_EOSGEINSUIAC -
SUOEOMDIIMSUOVR CEUOMTTAEASDIAAONRN - LEUASQASNNRV

Wszyscy niemal jednocześnie wydali z siebie przeciągłe westchnienie.

Nagle drgnęli. Spoglądali na siebie w osłupieniu.

- Kroki? - spytała Annika. - Na górze?

- Ależ skąd? - odparł Knut. - Jeszcze nie pojęłaś, jakie dziwne niespodzianki może nam tutaj sprawiać wiatr? Posłuchaj, teraz znowu jest zupełnie cicho!

- Ja też myślałem... - zaczął Jørgen, ale zamilkł. Zobaczył, że dziewczyny są wstrząśnięte.

- Pójdę na górę i rozejrzę się - oświadczył Martin stanowczo. - Do stu tysięcy diabłów, mamy przecież jasny dzień!

Wielokrotnie w ciągu przedpołudnia Annika miała zamiar zapytać Knuta, czy to on chodził w nocy po dziedzińcu, ale coś ją przed tym powstrzymywało. Jakby się bała. A co będzie, jeśli Knut zaprzeczy? Nie, to oczywiście był Knut, nie ma potrzeby zadawać żadnych głupich pytań.

Martin wrócił na dół.

- Nigdzie żywej duszy!

- Pewnie, a czegoś ty się spodziewał? - warknął Knut ze złością.

Nagle uświadomili sobie, że minęło południe.

- Och, jak ten czas leci - powiedział Jørgen.

- A my jeszcze do niczego nie doszliśmy - westchnął Martin.

- Jak to do niczego? Mamy przecież to drewno - powiedział Knut. - Tylko że ja muszę chyba jechać.

- Najpierw jednak powinieneś coś zjeść - wtrąciła Annika, a Knut uznał, że to bardzo dobry pomysł.

Tone, która stała pochylona nad inskrypcją i wpatrywała się w runy, jakby chciała je zaczarować, powiedziała nagle cicho i przeciągle:

- Martin, chodź no tu! Chodźcie tu wszyscy! Czy widzicie to samo, co ja?

Przez chwilę wpatrywali się uważnie, po czym zgodnym chórem odparli: - Nie!

- Ja coś odkryłam - oświadczyła Tone uroczyście. - Ja, nieważna istota, która studiuje zaledwie tę nudną medycynę, coś znalazłam! Ja też się na coś przydałam!

- No to powiedz nareszcie, co to takiego! - zniecierpliwiła się Annika. - Nie stój tu i nie gdacz jak ta kura!

- Niech ktoś wyjmie ten hak! - nakazała Tone.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - jęknął Jørgen. - Można uszkodzić drewno.

- Czy nie da się go jakoś ostrożnie wyjąć? Nożem albo czymś takim.

- Tone, ja też widzę to samo co ty! - oświadczył Martin triumfalnie. - Wyjmijcie ten hak, ale już!

Po długich zmaganiach i cierpliwie ponawianych próbach gwoździe przytrzymujące hak ustąpiły.

- Oj! - jęknęła Annika. - Oj, to nie było zbyt rozsądne! Na powierzchni drewna, w miejscu gdzie przedtem tkwił hak, widzieli wyraźny trójkąt.

ROZDZIAŁ IX

- Taki sam jak na kamieniu - szepnął Jørgen przejęty.

- Co oznacza, że również kamień pochodzi stąd, ze Steinheia - rzekł Knut. - Och, ja nie chcę wyjeżdżać! Ale ona na mnie czeka i już jest spakowana, więc chyba najlepiej, żebym wyruszył jak najprędzej.

Westchnął ciężko. Naprawdę trudna to sprawa wybierać pomiędzy dwiema tak wspaniałymi przygodami.

Zjedli obiad, po czym zmartwiony Knut zaczął się żegnać. Reszta towarzystwa zamierzała poszukać w okolicy miejsca, gdzie mógł stać kamień, który teraz znajduje się w muzeum.

Wkrótce jednak uświadomili sobie, że to tak jakby szukać igły w stogu siana.

Kiedy wyszli na dwór, poczuli, jak bardzo potrzebują świeżego powietrza. Całe przedpołudnie spędzili w domu, a na dworze, mimo że wciąż okropnie wiało, było bardzo ładnie. Młoda wiosenna trawa porastała podwórze, drzewa pokrywały jasnozielone, niemal przezroczyste listki, morze było szafirowe, jakby odbijała się w nim barwa nieba. Jørgen i Tone zniknęli gdzieś na tyłach zabudowań, Annika i Martin zostali sami.

Całe szczęście, że mieli ogamiczną inskrypcję, która zaprzętała ich uwagę.

Powoli wędrowali przez wrzosowisko w kierunku morza.

- Ja tego nie rozumiem - zastanawiał się Martin. - Co tutaj robili Celtowie? W tym czasie?

- W jakim mianowicie? - spytała Annika.

- No właśnie, w jakim - roześmiał się. - Logicznie biorąc... Nigdzie, na żadnym z napisów nie ma znaków wyrażających dyftongi. A wiesz przecież, że dyftongi są zjawiskiem stosunkowo nowym.

- Więc... ty myślisz?

Stanęli nad samym morzem w miejscu, gdzie fale tłukły o kamienny brzeg i wyrzucały w górę bryzgi piany. Martin podał Annice rękę, by pomóc jej zejść na dół i, jakby mimo woli, przytrzymał ją dłużej, niż to było niezbędne. Już na dole, kiedy szli wzdłuż kamienistego brzegu, Annika ostrożnie wyswobodziła dłoń.

Nieco zdumiony, że dziewczyna zrezygnowała z takiej szansy, odpowiadał na jej pytanie:

- Tak, epoka wikińska to nie jest w żadnym razie. Ta inskrypcja musi być starsza, i to znacznie! Najpierw jednak powinienem wiedzieć dużo więcej o tekście. W tym wszystkim jest coś magicznego, może czary. Zastanawiam się, czy nie maczał w tym palców jakiś druid.

Annika przystanęła jak wryta, przeniknął ją dreszcz.

- Martin, zostawmy to! Wyjedźmy stąd jak najszybciej i zapomnijmy o wszelkich ogamicznych inskrypcjach!

- Co? Zwariowałaś?

- Nie! Naprawdę tak myślę! Już nie chcę więcej się tym zajmować! Ja się boję! Przez cały czas się bałam. Myślę, że nie powinniśmy odczytywać tego tekstu. I, Martin... - Podeszła do niego. - Mam takie wrażenie, że ktoś nas śledzi! Nawet teraz, w tym momencie!

Martin roześmiał się odrobinę speszony, nie wiedział, jak się zachować, co powiedzieć. Dziewczyna najwyraźniej mówiła serio!

- Annika, kochanie - powiedział, ale głos, który miał brzmieć uspokajająco, przeszedł w falset. - To oczywiste, że czujesz się tu dziwnie. Bo przecież całe to miejsce nie jest normalne, ta niesamowita atmosfera musi wywierać właśnie taki wpływ na wrażliwe miejskie dziecko, przyzwyczajone do tłumu ludzi i mnóstwa domów wokół. Ale przecież ja jestem przy tobie, czy to ci ani trochę nie pomaga? A poza tym spróbuj patrzeć na to wszystko jak na wspaniałą przygodę.

Usta Anniki drżały, gdy mówiła przeproszająco:

- Oczywiście, masz rację, jestem głupia. Druid, powiadasz? W takim razie inskrypcja musi być okropnie stara!

- I tak chyba jest - powiedział Martin, jakby mu brakowało tchu. - Ale to tylko przypuszczenia. Dla wszelkiej pewności przyjmijmy, że pochodzi gdzieś z piątego, może szóstego stulecia naszej ery.

- Też nieźle - powiedziała Annika.

Morze robiło taki łoskot, że musieli do siebie nawzajem krzyczeć. Annika zaczynała marznąć, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Znaleźli się koło porośniętej trawą skalnej półki, jakby stworzonej do tego, by na niej siedzieć, więc nie zastanawiając się, zajęli miejsca.

- Opowiedz mi trochę o sobie, Anniko! - poprosił najbardziej przymilnym ze swoich głosów.

Miej się na baczności! upomniała sama siebie. Nie bała się go oczywiście. Martin Øyen nigdy by się nie zniżył do czegoś takiego jak gwałt, ale to jednak było przeżycie, tak siedzieć obok niego, podczas gdy on rozwija wszystkie swoje uwodzicielskie talenty.

- O mnie? To bardzo krótka opowieść - odparła. - Znajomi uważają, że ja w ogóle niczego nie przeżyłam. W moim przekonaniu jednak każdy dzień przynosi mnóstwo niezwykle interesujących i podniecających spraw.

- Dlatego, że masz fantazję?

Spojrzała na niego spłoszona. Och, jakież on jest zabójczo przystojny!

- Skąd ty o tym wiesz?

Bardzo delikatnie ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Poznają to po twoich oczach. Zawsze są jakby nieobecne, pogrążone w smutnych marzeniach.

- Pewnie o moich prahistorycznych bohaterach - roześmiała się skrępowana.

- Czy oni naprawdę muszą pochodzić aż z tak odległych czasów?

Ona jest bardzo ładna, pomyślał zaskoczony. Cerę ma czystą jak kwiat brzoskwini, i tę samą czystość w spojrzeniu. A wargi kolorem przypominają polne róże. Zanim zdążył sobie uświadomić, co robi, pochylił się i pocałował ją, delikatnie, z czułością. W ten sam sposób całował już w swoim życiu mnóstwo dziewczyn, więc co tam, zwyczajna rzecz, zrobiłby to w każdych okolicznościach, nawet gdyby się nie założył.

Annika odwróciła głowę, ale on i tak zdążył dostrzec w jej wzroku rozczarowanie. Zaskoczyło go to, przywykł bowiem, że dziewczyny rozpromieniały się w podobnych okolicznościach.

Ręce Anniki drżały. To był pierwszy pocałunek w jej życiu, ale on nigdy nie powinien się o tym dowiedzieć! Ani o tym, jakie struny w jej duszy to poruszyło.

- Martin... - rzekła cicho. - Nawet jeśli wygląda na to, że Tone i Jørgen chcą być sami, to to jeszcze nie oznacza, że ty musisz się czuć zobowiązany do jakiejś rutynowej przygody. To głupie, że ludzie wysilają się w takich sprawach, bo wydaje im się, że dzięki temu są nowocześni.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Mocne słowa - mruknął po chwili urażony.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru cię dotknąć - powiedziała niepewnie, rozkładając ręce. - Musisz wiedzieć, że bardzo cię lubię i nie chciałabym, żeby to uczucie zostało narażone na szwank.

- Ale gdybym ja...

- Nonsens, Martin! - przerwała mu ostro. - Nie interesujesz się mną bardziej niż tym kamieniem tutaj!

Martin padł na kolana i podniósł z ziemi jakiś kamyk.

- Wyjątkowo piękny i interesujący kamień! - powiedział żartobliwie.

Annika wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Dziękuję ci, Martinie, bardzo ładnie to określiłeś. Ale czy nie powinniśmy już wracać? Przewiało mnie do szpiku kości!

Bez pośpiechu ruszyła przez wrzosowisko. Martin poszedł za nią.

Dała mi odprawę, myślał niemal wstrząśnięty. Niech to diabli! Mógłbym przysiąc, że nikt przedtem jej nie całował, a mimo to wcale nie zrobiłem na niej wrażenia!

Zaczął się śmiać sam do siebie. Miał z pewnością sporo wad ten nasz wspaniały Martin, miał wady i mniejsze, i większe, ale autoironii mu nie brakowało.

Dostał kosza! Od tej Panny Nikt. Należało mi się to, pomyślał. Zasłużyłem sobie.

Po chwili jednak spowaźniał. Zakład! Koledzy postawili mnóstwo pieniędzy... On także! A poza tym sprawa prestiżu! Nie może przecież spotkać się z nimi i powiedzieć tak po prostu, że mu się nie udało. Nie on, to w ogóle niemożliwe!

Przeklęta afera!

No nic, zostało jeszcze kilka dni. Poczekaj no, ty małe nic, jeszcze przyjdiesz do mnie na kolanach! Już nie będę próbował się do ciebie zbliżyć! Będę cię całkowicie ignorował, dopóki nie zmięknie. A wtedy, zapamiętaj to sobie, wtedy to ja tobie dam kosza! Żadna dziewczyna przedtem nie wzgardziła Martinem Øyemem, żadna też nie odważyła się mu odmówić. O, oczywiście zdarzało się, że zadzierały nosa i próbowały się cenić, ale to była tylko gra, natomiast Annika Mo naprawdę mu odmawia! Poznawał to po jej oczach, widział w nich niesmak i rozczarowanie, które na dłuższy czas odebrało mu zdolność pojmowania, co się dzieje.

Powinna się jednak dowiedzieć, że z nim nie ma żartów. Jeśli tylko zechce, każdą dziewczynę doprowadzi do rozpacz. Stanie się taki atrakcyjny, będzie ją przyciągał niczym magnes, a w następnej sekundzie zmrozi niczym lód.

Och, zobaczysz, jak cię to zaboli!

Annika przystanąła.

- Martin, spójrz!

- Co takiego? - zapytał szorstko.

- Nie widzisz? Dwoje ludzi zbliża się do domu!

- Teraz widzę. Co to za jedni? E, to chyba Tone i Jørgen.

- Chyba nie! Ci ludzie idą przecież od południa, znad brzegu. I patrz! Tam jest lód! Martin stanął jak wryty.

- Masz rację! Ale to pewnie jacyś turyści.

- O tej porze roku? Martin, wiesz co? Oni przypominają...

- To Parkinson! - wykrzyknął Martin. - Parkinson i Lisbeth! Co, u licha, oni tu robią?

Oczy Anniki pociemniały.

- On był tutaj już w nocy, mogłabym przysiąc, że to on!

- W nocy? Co masz na myśli?

Opowiedziała mu teraz, co widziała ze swego okna.

- Naprawdę wydawał mi się podobny do Parkinsona, ale sam rozumiesz, uznałam, że to niemożliwe. Wmawiałam sobie, że to Knut, chociaż szczerze mówiąc, ani przez chwilę w to nie wierzyłam. No i widzisz, to on tutaj był!

- Ale czego on może chcieć?

- Jak to czego? Ogamicznej inskrypcji, to jasne! Tak przecież oboje węszyli, wypytywali się!

Martin chwycił ją za ramię.

- Inskrypcja leży na stole! I nasze notatki, i wszystko!

Bez słowa ruszyli pędem w stronę domu, lecz dwoje obcych już dawno zniknęło za drzwiami wejściowymi.

Nagle Martin zatrzymał się.

- Po co my tak lecimy? Czy oni w ogóle będą w stanie cokolwiek z tego zrozumieć?

Annika miała jednak inne zdanie.

- Fakt, że oboje jednocześnie zaczęliśmy biec w wyniku najzupełniej instynktownej reakcji, mówi sam za siebie. W tym Parkinsonie jest coś odpychającego, coś podejrzanego.

- Zgadzam się z tobą, ale to przecież mimo wszystko nasz wykładowcą.

- Wiem. Zresztą my niczego nie próbujemy utrzymywać w tajemnicy. Gdyby profesor był w kraju, pobieglibyśmy do niego natychmiast, gdy tylko Knut się zająknął na temat deski z inskrypcją, prawda?

- Oczywiście. A jeśli chodzi o Parkinsona, to wszyscy mają wątpliwości. Dziwne, nie uważasz?

Tymczasem zbliżyli się do domu i Martin otworzył drzwi przed Annika. Była tak przejęta tym w końcu dość powszednim gestem, że aż straciła na chwilę dech. Nigdy jeszcze nikt nie traktował jej jak kobiety. Dopiero Martin... I niewiarygodnie często stwierdzała, jak wiele oni oboje mają ze sobą wspólnego, jak świetnie się nawzajem rozumieją.

Westchnęła ciężko.

Z dużego pokoju słyszeli głosy, więc nie zwlekając weszli do środka.

- Martin! - zaświergotała Lisbeth i - jako dziecię natury, którym nieustannie starała się być - uznała, że powinna rzucić mu się na szyję i pocałować w policzek. Z niebywałym wdziękiem i wystudiowaną spontanicznością.

Annika zastanawiała się, czy również z Lisbeth Martin miał romans. Prawdopodobnie, była bowiem zbyt ładna, by mogła przejść obok niego nie zauważona.

Jørgen i Tone także już wrócili. On spoglądał ponuro na gwałtowną scenę powitania. A z twarzy swojej siostry Annika mogła wyczytać, iż Tone też nie jest specjalnie zachwycona nie - oczekiwaną wizytą.

Parkinson siedział przy stole, ciemnowłosy, przystojny, z pogardliwym uśmieszkiem na wydatnych wargach.

Annika i Martin jeszcze w progu spojrzeli na stół.

Niczego tam nie było. Pusto! Dzięki ci, Jørgen, pomyślała Annika, mając nadzieję, że Martin będzie trzymał język za zębami.

O mało nie zapytała: „Czego tu szukacie?”, ale opamiętała się i zamieniła pytanie na nieco łagodniejsze:

- Co was sprowadza w te okolice?

Lisbeth wyjaśniła, że zrobili sobie małą wycieczkę morską wzdłuż zachodniego wybrzeża i właśnie płyną na północ. Zamierzają wracać za kilka dni i wtedy chętnie by znowu się tu zatrzymali, jeśli...

- Oczywiście! Wstąpcie koniecznie! - powiedział Martin pospiesznie. - Wstąpcie, zapraszamy!

- No właśnie, bo słyszeliśmy od Knuta, że macie zamiar zostać tu jakiś czas, to postanowiliśmy do was zajrzeć - szczebiotała Lisbeth. - My, celtomani, powinniśmy się trzymać razem, no nie?

Ty się chyba nigdy specjalnie Celtami nie przejmowałaś, pomyślał Martin ze złością.

Goście zwlekali, niby to zamierzali zaraz wyruszyć, ale jakoś się nie składało, kręcili się niczym koty koło mleka, zadawali jakieś pytania, na które dostawali wymijające odpowiedzi, i nie zbliżali się do najważniejszego tematu. Żadne z czworga studentów nawet się nie zająknęło, że może goście coś by zjedli albo wypili. W końcu nie pozostawało im nic innego, jak zacząć się żegnać. Wszyscy chętnie odprowadzili ich na brzeg i pomogli przy łodzi. Tone pracowała z prawdziwym zapalem.

- No, to do zobaczenia w drodze powrotnej! - zawołał na pożegnanie Parkinson.

- Do zobaczenia! - odpowiedział Martin i nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać: - A wtedy pewnie będziemy mieć ważne nowiny!

Parkinson popatrzył na niego, udając zdziwienie:

- Jakie nowiny?

Sprawiał wrażenie, jakby chciał ponownie wyjść na brzeg, ale wtedy cała czwórka pomachała im na pożegnanie, odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Zobaczycie później! - krzyknął jeszcze Jørgen. - Do widzenia!

Silnik łodzi zapalił gwałtownie.

- Całe szczęście, że schowaliście inskrypcję i notatki - powiedział Martin do Jørgena i Tone.

- My? - zdziwił się Jørgen. - A ja myślałem, że to wy je schowaliście!

Martin i Annika stanęli przerażeni.

- My nie! Kiedy wychodziliśmy, wszystko leżało na stole!

Zaległa złowieszcza cisza. Od strony morza dolatywał krzyk mew i coraz słabszy warkot oddalającej się motorówki.

- Co ty mówisz? - jęknął Jørgen pełen jak najgorszych przeczuć.

Tone chwyciła go za ramię.

- Kiedy wróciliśmy do domu, poszliśmy od razu na górę. Zeszliśmy dopiero, kiedy oni się zjawili. Myślicie, że Parkinson i Lisbeth ukradli...?

- Notatki mogliby wziąć, ale deskę? - prychnął Martin. - Gdzie mieliby ją schować? Do kieszeni? Gdyby Parkinson schował to drewno do kieszeni spodni, to musiałyby się poruszać bardzo nienaturalnie, ha, ha!

- Takie nieszczęście! - zawodziła Tone. - Ale kto mógł się spodziewać, że oni tu wyrosną jak spod ziemi?

Martin zagryzał wargi.

- Inskrypcji nie mogli zabrać, to fizycznie niemożliwe! Mogli ją jednak gdzieś ukryć.

- W domu - powiedziała Annika. - Jeśli ukryli, to musieli to zrobić tutaj. Chodźcie, trzeba poszukać!

Zaczęli zaglądać we wszystkie zakamarki.

- Cholera! - syknął Martin przez zęby. - Tak oto Parkinson dostał wszystko, i to podane na srebrnej tacy!

- Owszem - zgodziła się Annika. - Tylko będzie teraz musiał pomęczyć się trochę nad pismem ogamicznym.

- No, to jedyna pociecha. Ale już sam fakt, że przedstawi takie znalezisko, bardzo mu pomoże w karierze. A ja sobie tego nie życzę, bo coś mi mówi, że ten facet nie bardzo wie, co to honor i uczciwość.

Tone chodziła z kąta w kąt i jęczała:

- Takie nieszczęście! Takie nieszczęście!

Jørgen otworzył drzwi do saloniku i zanim ktokolwiek zdążył przekroczyć próg, stanęli wszyscy jak wryci.

Na stole leżało drewno z inskrypcją i notatki.

ROZDZIAŁ X

Nadszedł wieczór. Wiatr, którym w ciągu dnia specjalnie się nie przejmowali, zdawał się teraz wiać ze zdwojoną siłą i poważnie dawał im się we znaki. Gwizdało w szparach drewnianych ścian, skrzypiało i łoskotało od piwnic po dach. Daleko od domu fale tłukły o kamienisty brzeg cypla, w powietrze wzbijały się tysiące drobnych kropel.

Nikt nie chciał się już dłużej zastanawiać nad rozwiązaniem zagadki, jakim sposobem wszystko znalazło się na stole w saloniku. Postanowili kontynuować rozpoczęte badania i nie dręczyć mózgu beznadziejnymi dociekaniem. Oczywiście, niezwykle starannie przeszukali dom, ale nie znaleźli odpowiedzi na swoje wątpliwości. Ostatecznie wszyscy zgodzili się, że najprawdopodobniej Lisbeth i Parkinson podłożyli z powrotem rzeczy, zanim wyszli do łodzi. To było jedyne rozsądne wytłumaczenie.

Martin i Annika pochylali się nad rozpostartymi na stole papierami. Ich głowy prawie się stykały, ale żadne o tym nie myślało. Odkryli właśnie jakiś ślad, który mógł ich poprowadzić dalej, i starali się ten wątek rozwinąć. Pozostałą dwójkę bardziej interesował sam kawałek drewna, jego wiek i pierwotne przeznaczenie.

- Nie - powiedziała Annika przejęta. - Nie, to był fałszywy trop, to prowadzi donikąd. Co ty tam znalazłeś, Martin? - zapytała, widząc, że chłopak niemal zeszywniał i w napięciu przygląda się literom.

- Annika - szepnął zdławionym grosem. - Annika... wprost nie mogę uwierzyć... że mam rację.

- Ale co? Co znalazłeś?

Teraz wszyscy patrzyli z zaciekawieniem na Martina.

- W każdym razie... - powiedział z wymuszonym spokojem. - W każdym razie... Nie, to głupie! To po prostu niemożliwe!

- No, ale powiedz coś nareszcie! - jęknęła Annika.

Palec, którym Martin wskazywał inskrypcję, wyraźnie drżał.

- Popatrz na to. Jeśli wszystko przeczytasz wspaniale. Wiesz przecież, że napisy ogamiczne czyta się często od prawej do lewej.

- Wiem! - wykrzyknęła. - Ale w takim razie znaki też powinny być pisane odwrotnie. Kreski w takich przypadkach skierowane były odwrotnie i to, co miało być na górze, było na dole. A tutaj jest inaczej. Poza tym nawet tak odczytywany napis pozbawiony jest wszelkiego sensu. No, posłuchaj: VRNNSAQ - SAUELN...

- Nie, czytaj dalej, nie przerywaj! Za wcześnie skończyłaś! I nie zwracaj uwagi na to, w którą stronę zwrócone są litery!

Annika czytała dalej: E... ELECATUVELLANOSREICS...

Długo się wahała. Martin wpatrywał się w nią oczyma rozjaśnionymi nadzieją, ledwie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu.

- Rzeczywiście, to ostatnie chyba przypomina jakieś słowo. Ale pojęcia nie mam, co by to mogło znaczyć.

- REICS - zaczął Martin. - Nic ci to nie mówi?

- Nnie. Wiesz, ja niezbyt długo uczę się galijskiego.

Oczy Martina płonęły, jakby miał do przekazania niewiarygodną sensację.

- A czy słowo RI mówi ci coś więcej?

- RI? Ri znaczy król.

- Otóż to. A jeśli ci teraz powiem, że to są te same słowa, to co ty na to?

Annika zwróciła się wolno ku niemu.

- Martin - szepnęła. - Czy chcesz powiedzieć, że to nie jest galijski napis?

Martin miał niebywale tajemniczą minę.

- Spróbuj odczytać poprzednie słowo, to z pewnością zrozumiesz! To długie słowo, zaczyna się od C.

Zaczęła czytać.

- CATUVELLANOS? To brzmi jak jakieś imię. CATUVELLANOS REICIS. - Złapała Martina za ramię. - Martin, to brzmi dokładnie tak jak...

- No właśnie - potwierdził. - To niezrozumiały, prawie nie znany język, który istniał przed starogalijskim. Jest tak okropnie stary, że niewiele nam mówi!

Jørgen gwizdnął przeciągle z podziwu.

- Ale skoro mamy imię króla - powiedziała Tone - to czy nie powinniśmy poszukać go w jakichś historycznych książkach i tą drogą dojść do znaczenia inskrypcji?

Martin przyjął propozycję bez entuzjazmu.

- Catuvellanos? Nigdy nie słyszałem o królu noszącym podobne imię. Trzeba jednak napis przetłumaczyć na starogalijski, a ściślej biorąc - staroiryjski, to wtedy wszystko się rozjaśni Catuvellanos... Kto to mógł być, Annika, jak myślisz?

Zarumieniła się uszczęśliwiona, że zwraca się do niej w ten sposób.

- No, wiesz, najpierw powinniśmy chyba odrzucić końcówkę - zaczęła niepewnie.

Martin potwierdził skinieniem głowy.

- Oczywiście. W starej formie języka słowa są takie okropnie długie, mnóstwo liter... a poza tym wyraźne wpływy łaciny. Catallain, co byś na to powiedziała?

- Brzmi niezłe, ale znasz jakiegoś króla o takim imieniu?

- Nie - odparł. - Tylko że przecież musimy to jeszcze raz przetłumaczyć, tym razem na nowoirlandzki.

Jørgen jęknął:

- A na zwyczajny norweski nie można?

- W odniesieniu do imienia nie jest to chyba niezbędne - roześmiał się Martin. - Ale pamiętam, że w siódmym wieku panował w Walii pewien król imieniem Cadwallon. To jednak nie musi być on, zwłaszcza że język inskrypcji jest moim zdaniem dużo starszy. Poza tym zdaje mi się, że istniał jakiś celtycki król imieniem Cadallan około narodzenia Chrystusa, ale głowy bym za to nie dał. Jeśli mogę zgadywać, to pochodzenie inskrypcji odniósłbym gdzieś do czwartego wieku. Chociaż, oczywiście, może być starsza. Język i wyraźny wpływ druidyzmu mówią mi, że młodsza chyba nie jest.

- Nazwijmy go zatem Cadallan - powiedziała Tone. - To ładne i łatwe do wymówienia imię. Założmy też, że nasz król żył w czasach Chrystusa.

- Założmy, skoro tak sobie życzysz - roześmiał się Martin. - Chociaż nie sądzę, by był aż taki stary.

- Król Cadallan - powiedziała Annika ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. - Martin, zdaje mi się, że jesteśmy na tropie. Chciałam powiedzieć, jeśli chodzi o odczytanie inskrypcji.

- Oj, chyba nie bardzo! Właściwie wszystko jeszcze pozostało do odczytania.

Ale poczuli już pierwszy smak sukcesu. Wszyscy ponownie pochylili się nad notatkami.

Mamrotali coś, szeptali, zapisywali i skreślali, klęli paskudnie. Co chwila ktoś wykrzykiwał: „Mam! Teraz już mam! Nie... Błąd!”

- Dlaczego tylko te dwa słowa udało się odczytać? - narzekał Jørgen. - Dlaczego cała reszta to ciemna masa?

- Cicho! - syknęła Tone.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać.

- Och, to znowu te jakieś przekłete kroki na piętrze - rzekł Martin. - Przestańcie się tym przejmować, to pewnie któraś deska na strychu się oblużowała.

Dom zatrzęsł się, przez chwilę mieli wrażenie, że stół usuwa im się spod rąk.

- Cud, że ta ruina jeszcze stoi - westchnął Jørgen.

Pół godziny później Annika zawołała:

- Martin! Martin, jesteś geniuszem!

- To jasne, ale z jakiego powodu teraz?

- Z powodu tego Cadallana. To znaczy Catuvellanos. Spójrz tutaj! No, spójrz! Udało mi się złożyć razem ryty ogamiczne z kamienia i z drewna. To są tajne runy! I przemieszane, potrzebny jest system, żeby je odczytać.

Martin poczerwieniał z podniecenia.

- Kamień z muzeum? O Boże, całkiem o nim zapomniałem! Połączyłaś to? W jaki sposób?

- Popatrz tutaj, w bok od tekstu! Przyłóż jeden tekst poniżej drugiego i leciutko wskos, o tak, i teraz odczytuj co drugą literę. No i, rzecz jasna, wspaniale! Co widzisz? C - A - T - U - V - E - L - L - A - N - I!

Martin próbował powiedzieć: „Tak”, ale głos go zawiódł. Po prostu w ogóle odmówił mu posłuszeństwa.

- Annika, to ty jesteś geniuszem - oświadczył w końcu. Wszyscy starali się powtórzyć zabieg Anniki. I oto jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tekst sam z siebie zaczął się układać. Martin oddzielał słowa kropkami i kreskami, tak jak to było na kamieniu w muzeum.

VRNNS AQS AUELN - RNOAA IDS AEEOIO MQO CTVLAI ONGB SNO NMS

ATTMO U EC

SAAMS C NU

Następnie ułożyli pozostałe runy z drewna: RVOUSMI... i tak dalej, w jeden długi wiersz, który nie miał odpowiednika w inskrypcji na kamieniu.

- VERONINOS MAQQOS CATUVELLANI - RON - NOGABA SINDOS NAMES - ASTATAMMOS UCENCU - sylabizował Martin wstrzymując oddech. - I to chyba ma jakiś sens. Musimy skoncentrować się na tym. Reszta niech na razie czeka.

- Musimy? - zapytał Jørgen cierpko. - My z Tone stoimy tu i podziwiamy wasze wysiłki. Annika zresztą też nie bardzo za tobą nadąża. Może udostępnisz nam choć trochę twojej wiedzy, Martin, niezależnie od tego, jak jest cenna.

- Jest rzeczywiście dosyć cenna, panie profesorze - oświadczył Martin bez żenady. - I pewnie dlatego Parkinson nigdy mnie nie lubił, ale jego to ja... No dobrze, popatrzmy! Annika, pomóż mi!

Annika zmarszczyła czoło i starała się robić inteligentną minę.

- MAQQOS - powiedziała przeciągle. - To chyba musi znaczyć tyle co Mac, czyli syn tego a tego... Ale VERONINOS? To pewnie także imię? Veronin?

- Chyba nie - odparł Martin. - Jakby to mogło być w staroirlandzkim? Ja bym głosował za czymś w rodzaju Feornin. To pewnie też nie jest całkiem poprawne, ale jedyne co przychodzi mi do głowy. Założmy więc, że ma on na imię Feornin, i tymczasem będziemy z nim mieli spokój.

- Feornin, syn Cadallana - szeptała Annika wzruszona. - Cóż za wspaniałe nazwisko: Feornin Mac Cadallan. Królewski syn, prawda?

- Oj, oj - mruknęła Tone. - Mam nadzieję, że nie zakochasz się także w nim.

- Nie zakocham? - roześmiała się Annika. - Ja już jestem zakochana! No, ale czytamy dalej!

- RONNOGABA SINDOS NAMES... RONNOGAJBA? Nie rozumiem tego słowa.

Annika odważyła się zgłosić nieśmiałą propozycję:

- *Ro - n - gab?* To może znaczyć „wziął”...

Martin strzelił palcami.

- Oczywiście! Cóż za głupiec ze mnie! *Ro - n - gab in namae*, rzecz jasna! Dziękuję ci, Annika!

- Ale my wcale mądrzejsi od tego nie jesteśmy - wtrącił Jørgen.

- *Wróg nas pojmał* - wyjaśnił Martin.

- Zaczyna się ciekawie! - zawołała Tone.

- Czy to coś w rodzaju zawiadomienia? - zapytał Jørgen. - Ojciec pisze do syna?

- Tak! - potwierdził Martin. - I to wyjaśnia wszystko. Dlaczego znajdujemy to tutaj, w Norwegii, i dlaczego są te tajemne runy. Napisy ogamiczne przeważnie ograniczają się tylko do imion. Ale tutaj... tutaj sytuacja musiała być tragiczna. Ta inskrypcja to wołanie o pomoc!

- Prośba ojca, kierowana do syna - rzekła Annika smutnym głosem. - Odkryliśmy echo wydarzeń, które miały miejsce bardzo dawno temu...

Martin zawołał podniecony:

- Tutaj przetłumaczyłem wszystko na staroiryjski. Brzmi to jak następuje: *Feornin mace Catallain. Ro - n - gab in namae. Attaam oc ec.* Annika, uważasz, że to brzmi dobrze?

Annika po prostu oniemiała z podziwu dla umiejętności Martina, próbowała nadążyć za jego rozumowaniem.

- *Attaam oc ec...* - Co to znaczy? My... ale co dalej?

- *Umieramy* - przetłumaczył Martin.

Tone powtórzyła całość:

- *Feornin, syn Cadallana. Wróg nas pojmał. Umieramy.* Potem mnóstwo niezrozumiałych znaków, a na końcu podpis: *Cadallan, król.* Wspaniale! A teraz pozostaje tylko odczytać te wszystkie niezrozumiałe słowa.

- Czy laik także mógłby się wypowiedzieć? - zapytał Jørgen.

- Jasne! - Martin, któremu powiodło się tak znakomicie, miał teraz szeroki gest. - Proszę, mów.

- Myślę, że w tym miejscu powinien być trójkąt.

- Trójkąt? Ach, oczywiście, ten trójkąt. Mów dalej!

- Czy widzicie, że tym sposobem odczytaliśmy cały tekst z muzealnego kamienia?

- Tak jest! Ale zaledwie początek inskrypcji na drewnie. Pozostało jeszcze mnóstwo słów do odczytania!

- Rozumiem - szepnęła Tone. - W takim razie powinna istnieć trzecia inskrypcja.

- Jeszcze jedna? - krzyknął Martin. - Zwariowałaś?

- Ona ma rację - powiedziała Annika. - Drewno z napisami zostało znalezione pod fundamentami obory. I to jest jeden wierzchołek trójkąta. Kamień muzealny musiał być drugim. Jeśli odnajdziemy miejsce, w którym stał, to trzeci punkt dostaniemy gratis.

- To niegłupie - rzekł Martin. - A zresztą nie! To wcale nie wydaje mi się rozsądne. Czy myślicie, że ten Feornin miał biegać od kamienia do kamienia i odczytywać po jednej literze? Nie, to bez sensu!

- Teraz to ty mówisz bez sensu! - oburzył się Jørgen. - Książkowa wiedza i praktyczne myślenie rzadko idą w parze, czego ty jesteś najlepszym przykładem, Martinie. Jak myślisz, po co im było to drewno? Użyli drewna, bo to łatwo przenieść. Inskrypcja na drewnie jest kluczem do odczytania wszystkiego. I w takim razie możemy przyjąć, że trzecia inskrypcja także została wyryta w kamieniu.

Martin kiwał głową z podziwem. Bardzo cenił bystrość umysłu.

- Jutro rano wyruszamy na poszukiwania. Nie oczekujcie tylko, że ten trzeci tekst będzie równie dobrze zachowany jak dwa pierw...

Zamilkł. Wszyscy czworo spoglądali na siebie.

Z pietra doszedł do nich odgłos zamykanych drzwi.

- Nie, teraz to już...! - zaczęła Tone pobać.

- Nie przejmuj się drobiazgami - uspokajał ją Jørgen i położył jej rękę na ramieniu. - Po prostu przeciąg zatrzasnął drzwi. W tym domu to nic nadzwyczajnego!

Tone uspokoiła się nieco. Z wyrazu jej twarzy Annika poznała, że Jørgen nieczęsto pozwalał sobie na takie pełne czułości gesty. Bardzo chciała, żeby nie był taki zapatrzony w Lisbeth. Jej siostra nie zasłużyła sobie na taką udrękę.

Martin siedział i jak urzeczony wpatrywał się w swoje papiery.

- Jakie szczęście, że to wszystko nie wpadło w łapy Parkinsona! On by natychmiast ogłosił całemu światu, że to jego znalezisko!

Nagle dostrzegł, że twarz Anniki zmartwiała z przerażenia. Dziewczyna wolno podnosiła się z miejsca ze wzrokiem utkwionym w drzwi.

Wszyscy inni poszli za jej przykładem.

W hallu, na schodach wiodących na piętro, stał jakiś mężczyzna. Jedną ręką trzymał się poręczy.

ROZDZIAŁ XI

Był młody. Liczył sobie dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat, od góry do dołu ubrany był na czarno. Miał na sobie wiatrówkę z jakiejś jedwabistej tkaniny, wysokie buty i rękawiczki. Włosy koloru ciemnej, polerowanej miedzi opadały na ramiona, a nad czołem została równo przycięta gęsta grzywka. Od kącików warg do podbródka schodziły dwie wąskie smugi zarostu, dzięki czemu nieznajomy bardzo przypominał Czyngis - chana. Oczy miał zielone, po kocjemu połyskujące i bardzo głęboko osadzone w upiornie bladej twarzy. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że ów nieznajomy Norwegiem nie jest.

Tone, już prawie lekarka, widziała też co innego, że mianowicie ten człowiek jest poważnie chory, nie miała nawet odwagi myśleć, jak poważnie.

Wszyscy wstali i z wahaniem szli w stronę hallu.

- Ty z pewnością jesteś Ron - rzekł Martin po angielsku.

Obcy spojrział na niego z zaciekawieniem, ale nie odpowiedział.

- Przepraszam, zapomniałem... - wybąkał Martin i powtórzył pytanie w języku galijskim.

Uśmiech rozjaśnił twarz gościa, który skinął energicznie głową i rzekł w tym samym języku:

- *Ta.*

Annika zwróciła uwagę na jego ostry głos. Nie wiedziała, dlaczego ją to wzruszyło. Wpatrywała się w nieznajomego zafascynowana. A on jakby to wyczuwał, bo wolniutko zwrócił w jej stronę swoje zielone oczy. Serce Anniki zabiło gwałtownie. To on, pomyślała. To człowiek, którego widziałam w nocy na zalanym księżycowym światłem dziedzińcu. To on stał i patrzył w moje okno.

Martin domyślał się dziwnego kontaktu, jaki nawiązał się pomiędzy tymi dwojgiem, i instynktownie pomyślał o Szkocie bez sympatii. Zainteresowanie Anniki tamtym nie pochlebiało mu w żadnym razie.

Jørgen nie wyczuwał żadnych niezwykłych prądów, nie domyślał się ani współczucia Tone, ani pomieszanego z lękiem zauroczenia Anniki, ani urażonej dumy Martina. Jørgen był mniej wrażliwy, jeśli chodzi o takie sprawy. On oceniał ludzi i wydarzenia tak, jak je widział. Kiedy spotykał ładną dziewczynę, to chciał ją poznać. Jeśli była przy tym inteligentna i sympatyczna, to utrzymywał z nią kontakt. Nie komplikował życia bez potrzeby.

Teraz, kiedy zobaczył obcego człowieka na schodach, pomyślał jedynie: Skąd on się, u licha, tutaj wziął?

Odpowiedź była prosta. Wyszedł z zamkniętego mieszkania na górze, to jasne!

- Czy ty byłeś tu przez cały czas? - zapytał Martin.

Nieznajomy znowu zwrócił ku niemu wzrok. Uśmiechał się, a na policzkach widoczne były głębokie bruzdy.

- Tak.

- Nie wiedzieliśmy o tym... Zostaniemy tu tylko parę dni. Nie robiliśmy zbyt wiele hałasu? - jękał Martin.

Tamten tylko potrząsnął głową.

- Nam się zdawało, że masz przyjechać dopiero w lipcu.

- Wtedy nie będę mógł. Zamiast tego przyjechałem teraz.

W jego głosie było coś, co wyraźniej niż słowa mówiło, jak to z nim jest naprawdę: To była chyba jego ostatnia szansa, żeby zobaczyć odległą zagrodę Steinheia.

Annika mimo woli zrobiła krok do przodu, a on natychmiast cofnął się na schodach.

- Przepraszam - powiedziała speszona. - Zapomniałam, że każda infekcja mogłaby mieć dla ciebie katastrofalne następstwa.

Jakiś cień przemknął przez jego twarz. Cień smutku albo bólu.

- Może byś jednak zszedł na dół - zaproponowała Annika. - Wiemy, że nie powinniśmy się za bardzo do ciebie zbliżać, i będziemy się do tego stosować.

Po chwili wahania skinął głową. Wszyscy cofnęli się pod ścianę, kiedy przechodził wolno przez duży pokój.

Właśnie takim pełnym godności krokiem szedł ten mężczyzna, którego widziałam w nocy, pomyślała Annika.

Tone powiedziała zirytowana:

- Może ktoś zechciałby nam przetłumaczyć to, o czym tak interesująco rozmawiacie?

Szkot spojrział na nią.

- Tak mnie to zaskoczyło i uradowało, że mogę rozmawiać w moim macierzystym języku - powiedział trochę dziwnie brzmiącym, ale poprawnym norweskim. - Ale w tym kraju też zdążyłem się nauczyć paru słów.

- Znakomicie! - uśmiechnęła się Tone. - I muszę powiedzieć, że sporo jest tych słów, których się nauczyłeś. Jørgen, czy mógłbyś być tak dobry i napalić w kominku? Pod wieczór robi się chłodno, ten wiatr przewiewa dom na wylot...

Jørgen był tego samego zdania i natychmiast zabrał się do pracy.

- Słyszałaś, jakim on mówi dialektem? - mruzczał Martin zachwycony. - To fantastyczne! Po prostu genialne! Ale nie mogę się zorientować, skąd pochodzi, co to za dialekt. Może posługują się nim gdzieś tutaj na tych małych wyspach? Trudno mi to rozpoznać.

Annika kiwała głową.

- Rzeczywiście, ten człowiek mówi tak znakomicie po galijsku, że nic dziwnego, iż chętnie tej właśnie mowy używa!

- A jednak miałam rację - powiedziała cicho do Martina. - Jednak ktoś nas obserwował. Czułam to wyraźnie, zwłaszcza na wrzosowisku.

- Z pewnością miałaś rację - przyznał Martin cierpko.

Mężczyzna podszedł do stołu i patrzył z szacunkiem na leżące tam przedmioty. Cała czwórka trzymała się w znacznej odległości od niego.

Jørgen zawołał od kominka:

- Czy to ty... Czy to ty schowałeś nasze rzeczy, kiedy zjawili się tu... goście?

Ron uniósł ciemnomiedzianą głowę.

- Tak. W nich było jakieś zło - oświadczył tym swoim uroczystym norweskim. Dziwnie zimny uśmiech pojawił się na jego wargach - Mój pokój leży tam, za tą ścianą. Nie mogłem nie wiedzieć, czym się zajmujecie. Bardzo mnie to zainteresowało. A potem usłyszałem, że ci dwoje rozmawiają o inskrypcji ogamicznej i że muszą ją zdobyć za wszelką cenę.

- Ach, więc jednak po to tu przyjechali! - wykrzyknął Martin. - A może i ty wiesz coś na temat ogamu?

- Mniej więcej tyle samo co wy - uśmiechnął się. - To przecież takie stare pismo. Ale wy jesteście bardzo zdolni! Niewiarygodnie zdolni, muszę powiedzieć! Gdzie wy się tego wszystkiego nauczyliście?

Martin wyjaśnił, że on i Annika studiują język celtycki na uniwersytecie. Annika znowu poczuła na sobie to niezwykle intensywne, badawcze spojrzenie, znowu jej serce zabiło mocniej.

Tak nie wolno, skarciła sama siebie. A poza tym jaki by to miało sens? Ten człowiek jest przecież śmiertelnie chory. Ile bólu mogłaby na siebie ściągnąć? Czy nie dość się już nacierpiała przy umierającej matce?

Mimo wszystko nie umiała się przeciwstawić. Ów młody Ron pociągał ją nieodparcie. Kontakt między nimi był tak silny, że nie miała wątpliwości, iż on odczuwa to samo. Ale on

był opanowany i pewny siebie, on był silny. Ona zaś przestraszona, poruszona, niespokojna jak ptak, który napotkał węża.

Dłonie Rona w cienkich czarnych rękawiczkach uniosły dębową deskę, oglądał zbieżące drewno ze starym ornamentem, obracał na wszystkie strony.

- Jak myślisz, co to mogło kiedyś być? - zapytał Jørgen, któremu spokoju nie dawał zagadkowy wygląd przedmiotu.

Ron długo nie odpowiadał. Gładził powierzchnię drewna, oglądał czworokątny otwór.

- Jakiś orczyk? - rzekł niepewnie.

- No właśnie, nam się też tak wydawało - powiedział Jørgen. - Ale przecież orczyki nie miewają rękojeści!

Niezwykłe oczy Rona znowu rozblęły.

- A dlaczego nie mógłby to być uchwyt... lektyki?

To jakoś nigdy nie przyszło im do głowy.

- A zatem odpowiedź może być taka prosta! - westchnęła Annika.

- Nie, to wcale nie jest prosta odpowiedź! - zaprotestował Martin. - W naszych czasach lektyki używane są dosyć rzadko, jak mi się zdaje. Ale, oczywiście, masz rację.

- A jak byś datował tę ogamiczną inskrypcję? - zapytała Tone, bo teraz wszyscy zwracali się do Rona jak do eksperta.

Roześmiał się.

- Nie, ja nie mam nic na ten temat do powiedzenia. Myślę, że ten młody człowiek zrobi to dużo lepiej.

- Mam na imię Martin. A to Jørgen. Tone i Annika są siostrami.

Znowu wzrok Rona zatrzymał się na Annice. Spoglądające na nią oczy miały zielonkawy kolor morskiej wody i połyskiwały także jak morze. Dziewczyna doznała zawrotu głowy.

- Nie zjadłbyś z nami kolacji? - zapytała Tone serdecznie.

- Dziękuję, niestety, nie - odparł ze smutnym uśmiechem. - Muszę przestrzegać diety.

- No oczywiście, rozumiem. Wiesz, ja... wkrótce skończę medycynę... więc gdybyś potrzebował jakiejś pomocy...

Tone umilkła zakłopotana.

Ron miał bardzo piękny uśmiech.

- Dziękuję, będę o tym pamiętał.

Uśmiech rzeczywiście ma piękny, ale jest w nim coś dziwnego, pomyślała Annika. Spozobregła, że Martina gnębi to samo. Czy to ślad okrucieństwa? Nie, w to nigdy nie

uwierzy! Raczej już obojętność, brak uczuć, musiał przecież stworzyć sobie taki parawan, jakąś ochronę, by w ogóle mógł żyć z taką ciężką chorobą. I coś też było w jego oczach. Nie pozwalał nikomu podejść na tyle blisko, by można było zobaczyć, ale Annika uważała, że jest w nich coś strasznego. Dlaczego właściwie Szkot ukrywa się tutaj? Po to, by mieć trochę spokoju, bo jest śmiertelnie chory?

Pewnie tak właśnie jest.

Ogień na kominku trząsał wesoło, co wprowadzało do tego szarpanego przez sztormy domu nastrój przytulności i bezpieczeństwa. Teraz, kiedy cała czwórka już wiedziała, skąd pochodziły tajemnicze dźwięki - kroki, trzaskanie drzwiami - wszystko zdawało się prostsze. To dziwne, ale bez wahania zwracali się do Rona z pytaniami w sprawie inskrypcji, nikomu nie przyszło do głowy, by cokolwiek przed nim ukrywać.

Jedynie Martin odnosił się do niego z pewną rezerwą. Ale on miał po temu swoje prywatne powody...

Ron bardzo się zainteresował ogamicznym zapisem. Wypytywał o szczegóły. Niekiedy któreś z nich w ferworze rozmowy za bardzo się do niego zbliżyło, wtedy on robił prawie niedostrzegalny ruch ręką i wszystko wracało do normy.

- Zdaje mi się, że macie absolutną rację co do tego, że istnieje jeszcze jeden kamień - powiedział. - Musi jednak nie być specjalnie widoczny, bo by go już dawno odkryto. Ja sam przecież schodziłem ten cypel wzdłuż i wszerz, ale niczego nie zauważyłem.

- Ryzyko, że został zniszczony, jest duże - powiedział Martin.

Ron skinął głową.

- Ale nadzieję możemy mieć. Byłaby wielka szkoda, gdyby teraz, kiedy odczytaliśmy już tak dużą część tekstu, okazało się, że odczytanie reszty jest niemożliwe. Czy mogę jeszcze raz popatrzeć na obrazek inskrypcji z kamienia?

Miał, oczywiście, na myśli fotografię.

Tone podsunęła mu ją na tyle blisko, by sam mógł po nią sięgnąć. Bardzo długo wpatrywał się w znaki.

Annika skorzystała z okazji, by przyjrzeć się jego twarzy. Było coś nieodparcie pociągającego, a nawet fascynującego w jego powolnych, wyważonych ruchach, w jego niezwykłych rysach twarzy, a nade wszystko w tych jego zdumiewających oczach zauważyła, że Ron często zwraca się do Martina, i nic w tym dziwnego, bo Martin miał tę pewność siebie i stanowczość, która budzi w ludziach zaufanie. Annika nic nie mogła na to poradzić, że mimo wszystko bardzo lubi Martina. Taki jest rozsądny i sympatyczny, i taki czarujący!

Ron zaś jest demoniczny...

I niezwykle tajemniczy, a to pociąga najbardziej.

Annika westchnęła głęboko i przeciągle. Mój Boże, czym ja sobie nabijam głowę, pomyślała. Żaden z nich nie jest dla mnie. Martin założył się, że poderwie mnie, kiedy tylko zechce, a Ron jest śmiertelnie chory.

- Intryguje mnie ten ślad po odłupananiu... ta chropowata powierzchnia - powiedział Ron, nie odrywając wzroku od fotografii - Oczywiście, że to ten! Widziałem go przecież setki razy. Nie poznajecie tego?

Martin wziął fotografię i oboje z Anniką przyglądali się kamieniowi. Jak gdyby przypadkiem Martin położył rękę na jej dłoni. I jak gdyby przypadkiem Annika cofnęła rękę.

Martin zaklął w duchu. Uświadomił sobie, że w ogóle już nie ma nad nią władzy.

Annika spotkała na moment wzrok Rona. Zawierało się w nim pytanie. Widocznie zauważył ruchy ich rąk.

- Nie mogę powiedzieć, że rozpoznaję to odłamanie - rzekła cicho.

- A może... - zastanawiał się Martin. - Chyba tak. Zdaje mi się... Annika, nie pamiętasz, kiedy dzisiaj szliśmy na cypel, to co mijaliśmy po drodze?

Chwyciła pospiesznie fotografię i jeszcze raz uważnie studiowała obraz powierzchni kamienia.

- Chodzi ci o to...? Owszem, to możliwe! Ten wysoki kamień, który przypomina jakiś monument. Ten z odrąbanym czubkiem...

Spojrzała na Rona, by dowiedzieć się, co on na to. Ron kiwał głową.

- Jutro rano trzeba to będzie dokładnie obejrzeć. Ale myślę, że to ten.

- No, to jeszcze jeden krok do przodu - rzekła Tone. - W takim razie reszta powinna już pójść gładko.

Martina ogarnęło takie podniecenie, że chciał niezwłocznie biec do kamienia, ale księżyc tego wieczora nie dawał wiele światła. A poza tym Ron był zmęczony. Podziękował za towarzystwo i poszedł do siebie.

Po jego wyjściu nie mieli już właściwie nic do roboty. Nagle jakby stracili wszelki zapał, całą pasję badawczą. Wkrótce i oni poszli spać.

Annika leżała spokojnie i wpatrywała się w sufit. Jak zwykle marzyła o swoich bohaterach z pradawnych czasów. Tego wieczora myślała o królewiczu nazwiskiem Feornin Mac Cadallan, wyobrażała go sobie w krótkiej pelerynce, narzuconej na wspaniale zdobioną koczugę, i w długich butach z miękkiej skóry. Miała z tym trochę kłopotów, bo nie bardzo wiedziała, jak ówczesni Celtowie się ubierali. Pojęcia też nie miała, czy byli ciemno, czy

jasnowłosi. Zdecydowała, że księżę Feornin miał włosy jasne, oczy błękitne, spojrzenie szczerze; proste, świadczące o stanowczości brwi, a poza tym był bardzo młody.

Stał przed nią uśmiechnięty, jedną rękę opierał na rękojeści miecza...

Nie, to bez sensu! Dzisiejszego wieczora nie mogła marzyć o bohaterach sag. Nie teraz.

Nawet w szarym świetle nocy dostrzegła, jak bardzo zniszczony jest sufit w jej izdebce, widziała, że wygina się pośrodku, jakby w każdej chwili grożąc zawaleniem.

Gdzieś, w innej części domu, leżał on. Może on także nie śpi? Może i on marzy? Annika nie знаła wielu chłopców, nie wolno jej było się z nimi zadawać. Może więc to naturalne, że pociągał ją teraz bardziej dojrzały mężczyzna?

Martinowi przecież niczego nie brakowało, jedyna jego wada to to, że taki jest zepsuty przez dziewczyny. Był niezwykle miłym chłopcem, przy którym mogłaby czuć się bardzo dobrze, tak naprawdę trudno mu cokolwiek zarzucić, ale... Ale nie był taki jak Ron. Ron - to imię musiało mieć chyba jakiś dalszy ciąg, Rolland albo Rodion, albo jakoś tak - Ron poruszał struny ukryte w głębi jej duszy, poruszał je tak bardzo, że nie była w stanie zasnąć. Jutro rano znowu go zobaczy. Ta myśl wprawiała ją w oszołomienie, a zarazem przerażała.

Nagle uświadomiła sobie, że dociera do niej jakiś nowy dźwięk. Wiatr nie uderzał z taką siłą jak wczoraj w jej okno, chociaż wiało i dziś, może nawet bardziej niż poprzednio. Tylko że 'wiatr zmienił kierunek na południowy.

Annika poczuła, że włos jej się jeży na głowie.

Dźwięk, który początkowo zdawał się słaby i ledwo dosłyszalny, teraz przybierał na sile, stawał się trudny do zniesienia. Od pobielanej skalnej ściany na tyłach zabudowań niosły się wycia i świsty. Niczym ponura pieśń to wznosiły się do przenikliwego wizgu, to znowu przycichaly w jednostajnym zawodzeniu, by po chwili rozbrzmieć gwałtownym hukiem, przechodzącym stopniowo w żalostny skowyt zwielokrotnionych zwierzęcych głosów, jakby od strony morza nadciągała wataha wilków; oddalały się i zamierały gdzieś na wrzosowiskach, by za moment zacząć wszystko od nowa.

Annika usiadła na posłaniu.

„Dopiero można mówić o duchach”, powiedział pierwszego wieczoru Knut. Tak, rzeczywiście, można mówić o duchach. Coś tak okropnego...

I wtedy ktoś zastukał do drzwi.

ROZDZIAŁ XII

Annika podskoczyła przerażona. Z największym trudem wykrztusiła piskliwe:

- Kto tam?

- Tone. Ubierz się! Nad morzem ktoś wzywa pomocy.

- Coś ty, to tylko wichura! Potwornie dzisiaj wyje.

- Nie, nie, pospiesz się! Wołanie słychać od brzegu.

Prędko naciągnęła na siebie ubranie i zbiegła po schodach do hallu, a potem na dwór. Jørgen i Martin już pędzili w stronę cypla, Tone próbowała dotrzymać im kroku, ale bez powodzenia.

Trzeba powiedzieć, że nocami panuje tu spory ruch, pomyślała Annika, ale pod sarkazmem czaił się głęboki niepokój. Teraz także i ona słyszała poprzez sztorm dalekie wołania o pomoc i wydawało jej się, że potrzebujący są, na szczęście, blisko lądu.

Zanim dotarli do brzegu, wołania ucichły. Za późno? Przybiegli za późno? Wtedy zobaczyła, że Martin zatrzymał się i krzyczy coś do Tone, która z kolei zwróciła się do siostry:

- Przyniesź linę, która leży w pokoju Martina! I schowaj rzeczy! To Parkinson i Lisbeth.

Należało się tego domyślać! Uparci jak osły, nie ma co! Zawróciła niezwłocznie.

Gdy była już blisko obejścia, pomiędzy nią a zabudowaniami pojawił się jakiś cień. Przystanęła niepewnie.

- Czy to ty, Ron? Przestraszyłeś mnie. Wyglądałeś niesamowicie w blasku księżyca.

- Co się stało? - zapytał.

Annika wyjaśniła. Oboje szli w stronę drzwi. Znowu ogarnęło ją jakieś nierzeczywiste uczucie - światło księżyca, ciemna, milcząca postać Rona, napięcie, jakie od początku między nimi istniało, i zawrodoenie wichury pod skalną ścianą, które teraz brzmiało jak śmiech szaleńca.

- Bądźcie ostrożni z tymi dwojgiem! - ostrzegł Ron. - Oni mają nieczyste intencje.

- Wiemy. I właśnie dlatego zostałam przysłana do domu, żeby usunąć wszelkie ślady.

Ron... Czy mógłbyś...?

Przystanął. Na tle bladej twarzy oczy wydawały się całkiem czarne.

- Tak, oczywiście, mogę się tymczasem zaopiekować waszym znaleziskiem. Do moich pokoi nikt nie wchodzi.

- Dziękuję! Prawdę mówiąc drewno nie jest nam już właściwie potrzebne do pracy nad rozszyfrowaniem inskrypcji, ponieważ wszystko przepisaliśmy. Ale notatki najlepiej będzie schować.

Otworzył przed nią drzwi, lecz stał w znacznej odległości, by nie mogła podejść zbyt blisko. Później ruszył za nią wprost do dużego stołu.

- Uff, ależ tu zimno! - zadrżała Annika. - Wiatr hula po tej ruderze okropnie.

Ron podniósł w górę kawałek drewna z inskrypcją.

- Annika... - powiedział z wahaniem.

Jakie dziwne uczucie, słyszeć własne imię wymawiane przez niego. Kiedy Ron rozmawiał z nią lub z Martinem, używał wyłącznie języka galijskiego. W obecności innych przechodził na swój łamany norweski. Annika wolałaby, żeby i teraz tak zrobił, okropnie to męczące doszukiwać się sensu w tak mało jej znanym języku jak galijski, a jeszcze udawać, że to wcale trudne nie jest.

- Tak? - szepnęła i zdawało jej się, że utonęła w jego zielonkawych oczach.

- Myślę, że może nie warto wspominać o mojej obecności tym tam...

- Tak, masz rację. Jeśli już im nie powiedzieli. Jørgen to okropna gaduła, a poza tym on jest zakochany w Lisbeth.

- Jest rzeczywiście bardzo ładna - powiedział Ron i Annika poczuła gwałtowne, bolesne ukłucie w sercu. A może to po prostu zazdrość?

Kolejny poryw wichru szarpnął domem z przenikliwym wyciem.

Chociaż Ron stał daleko przy drzwiach, to wpatrywał się w jej oczy z taką siłą, że doznała zawrotu głowy. Na jego wargach błąkał się ledwo dostrzegalny uśmiezek, ale nie było w nim nic podstępного, raczej smutek.

Idź już do siebie, myślała Annika. Idź i zostaw mnie w spokoju! Rozumiesz chyba, że to do niczego nie prowadzi!

Była jednak taka zdenerwowana, że nie mogła wykrztusić ani słowa.

Ron odszedł i wtedy hall wydał jej się niewypowiedzianie pusty. Westchnęła ciężko i pokonując po dwa stopnie pobiegła do swego pokoju z zebranymi pospiesznie papierami. Ukryła je zupełnie bez odrobiny pomysłowości w swojej podróźnej torbie, choć też i zbyt wielu kryjówek do wyboru nie miała. Zamknęła drzwi na klucz, następnie odnalazła linę w pokoju Martina i pobiegła nad morze.

Dopadła do cypla w rekordowym tempie. Na brzegu stanęła, nie wiedząc, co począć dalej. Wzburzone fale miotają tam i z powrotem niewielką motorówką, rzucały ją na wystające z wody skały. Dwoje ludzi trzymało się rozpaczliwie burty, a Martin i Jørgen stali

po kolana w wodzie, próbując uchwycić łódź i wciągnąć ją na ląd. Tone krzyczała z brzegu do tamtych coś, czego nie słyszeli.

Annika nie wahała się dłużej. Bez zastanowienia rzuciła się do wody, z przerażeniem stwierdziła, że jest lodowato zimna, szok sprawił, że na moment straciła oddech, ale mimo to ze wszystkich sił starała się dotrzeć do chłopców i podać im linę. Tone wrzeszczała histerycznie na brzegu, ale Annika się tym nie przejmowała.

Nie przypuszczała, że kamienie na dnie będą takie śliskie. Nie mogła znaleźć oparcia dla stóp, na moment została całkowicie zalana, ale zaraz znowu wyrzuciło ją na powierzchnię, wciąż ścisnęła w rękach linę i rozpaczliwie chwytiała powietrze, nie bardzo wiedząc, gdzie jest ani gdzie jest Martin. Księżyc nadawał morzu metaliczny blask, bryzgi spienionej wody oślepiały ją co chwila, w końcu jednak udało jej się podejść bliżej Martina. Teraz i on ją dostrzegł i wyciągnął rękę po linę, a może wyciągał ją do Anniki, żeby jej pomóc, nie umiałaby rozstrzygnąć. Widziała tylko, że krzywi twarz z wściekłością, że coś do niej krzyczy, ale głos ginął w huku żywiołu.

Nagle zobaczyła, że od morza pędzi w ich stronę wyjątkowo wielka masa wody. Dziewiąta fala, przemknęło jej przez głowę, słyszała bowiem, że każda dziewiąta fala jest wyższa od pozostałych. Nie zamierzała jednak sprawdzać, na ile to twierdzenie jest prawdziwe, w popłochu rzuciła Martinowi koniec liny, zdążyła tylko dostrzec, że ją złapał, po czym ogromna fala rzuciła się na nich niczym jakieś potworne, przedpotopowe zwierzę i wszystko stało się wodą, lodowato zimną wodą i bólem.

Znowu próbowała znaleźć jakiś punkt oparcia na kamienistym dnie, tym razem jednak sprawy miały się gorzej, żywioł cisnął ją pomiędzy wielkie i bardzo śliskie głazy, a kiedy udało jej się wyrwać z pułapki, czuła rwący ból w stopie. Ponieważ spełniła swoje zadanie, oddała Martinowi linę, starała się teraz wydostać na ląd, szybko jednak uświadomiła sobie, że nie będzie to łatwe.

Rzuciła pospieszne spojrzenie za siebie, masa zimnej wody chlusnęła jej w twarz, ale widziała, że sytuacja dwojga ludzi w łodzi znacznie się poprawiła. Chłopcy holowali motorówkę w stronę lądu. Dzięki linie, którą ona przyniosła! Annika poczuła się jak bohaterka.

Tone wyciągała po nią ręce. Annika, na której głowę posypał się grad siostrzanych wymówek, dała się wyłowić z wody, ale kiedy już na lądzie próbowała stanąć o własnych siłach, jęknęła z bólu i skuliła się.

Głos Tone dźwięczał jej w uszach, na przemian pytający i karcący, lecz Annika nie była w stanie odpowiadać.

Podpierając się rękami rozbitkowie wyszli na ląd.

- Był z wami ktoś jeszcze? - krzyczał Martin.

- Nie, skąd, tylko my dwoje.

Ból stopy stawał się nieznośny.

Parkinson przemoczony do suchej nitki, ociekający wodą, próbował wytłumaczyć, co zaszło.

- Po południu zerwał się gwałtowny wiatr, zbyt silny jak na nasze możliwości, postanowiliśmy więc zawrócić. Mieliśmy za - miar dotrzeć do Bergen, ale w ciemnościach przeoczyliśmy ten cypel i wpadliśmy na skały.

Jørgen milczał. Starał się wyciągnąć poharataną motorówkę na ląd.

W bladym świetle księżycy czworo przyjaciół spoglądało na siebie porozumiewawczo. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że Lisbeth i Parkinson chcieli wyjść na brzeg właśnie tutaj i najprawdopodobniej potajemnie. Przenieśli jednak swoje nawigacyjne zdolności.

- Annika jest ranna! - zawołała Tone.

- Ranna? - krzyknął Martin. - No tak, po jakie licha laźła do wody?

Jego twarz znalazła się tuż obok twarzy Anniki, wciąż był wściekły.

- Co ci się stało? - syknął.

- Coś ze stopą - odparła. - Ale chyba nic poważnego. Mogę iść...

- Nie zrobisz ani kroku, dopóki nie obejrzymy tej stopy - oświadczył ze złością. -

Wstań!

Przestraszona usłuchała, ale natychmiast musiała się o niego oprzeć, żeby nie upaść.

Bez słowa, ale najwyraźniej miotając w duchu przekleństwa, Martin wziął ją na ręce i ruszył w stronę domu. Reszta poszła za nimi. Wszyscy, prócz Tone, tak samo przemoczeni. Annika nigdy nie widziała Lisbeth w równie żalonym stanie. Czarujące dziecko natury nie wyrzekło ani słowa od chwili, gdy na wpół utopione zostało wyciągnięte z wody.

Martin starał się pewnie trzymać Annikę.

- Ja mogę iść sama - bąknęła śmiertelnie zawstydzona.

- Siedz cicho!

Nie musiał być chyba taki wściekły! Przecież jej pomoc się przydała.

Ból rozrywał stopę, Annika nie miała odwagi myśleć o tym, jak poważna może się okazać kontuzja. A jeśli będzie musiała leżeć w łóżku? Albo odeślą ją do domu?

Nie, wołała nie dopuszczać takiej okropnej perspektywy!

Martin zaczynał być zmęczony. Słyszała, że oddycha coraz ciężiej. Z ulgą stwierdziła, że są już w obejściu. Martin dość energicznie posadził ją na starej ławie w dużym pokoju i

zaczął zdejmować z niej przemoczone buty. Pozostali również weszli do domu i Tone zaczęła szukać jakichś suchych ubrań dla rozbitków.

Martin ujął nogę Anniki w kostce i ostrożnie poruszał. Zaciskała zęby z bólu, aż wreszcie nie wytrzymała i krzyknęła przejmująco.

- Pozwól, że ja to obejrzę! - rzekła Tone władczo, tak żeby wszyscy zrozumieli, że teraz powinni usunąć się na bok ze swoją książkową wiedzą, bo oto zabiera głos autorytet medyczny.

- Fractura to nie jest. Luxatio także nie. Jedynie distorsio - oświadczyła po krótkim, lecz dla Anniki w najwyższym stopniu dokuczliwym badaniu.

- Nie żartuj sobie! - krzyknął Martin do Tone. - Nie musisz nam imponować, powiedz to wszystko po ludzku!

- Powiedziałam po prostu, że noga nie jest złamana ani zwichnięta, jedynie stłuczenie stopy.

- Jedynie! - mruknęła Annika.

- Wystarczy opatrunek z elastycznego bandaża - powiedziała Tone. - Jutro powinnaś odpoczywać, a potem nie przeciążać nogi przez jakiś czas, a wszystko wróci do normy.

Śliczna Lisbeth stwierdziła, że Parkinson spogląda na nią ponagląco. Otuliła się więc szczerzej kocem i próbowała uśmiechnąć promiennie.

- Ale, ale... Jørgen opowiadał mi, że znaleźliście jakieś drewno z napisem ogamicznym gdzieś na zachodnim wybrzeżu. Czy to było tutaj?

W pokoju zaległa grobowa cisza. Jørgen sprawiał wrażenie, że najchętniej zapadłby się pod ziemię. Martin miał dosyć głupią minę, Annika niemal widziała, że myśli kłębią mu się w głowie bezładnie.

Ale, oczywiście, to on pierwszy odzyskał panowanie nad sobą. Uznał, że najlepiej będzie się przyznać, co zresztą innego mieliby zrobić?

- No, rzeczywiście, znaleźliśmy pewną rzecz - oświadczył obojętnie. - Znaleźliśmy, to prawda... ale zbyt wiele się z tego napisu nie dowiedzieliśmy. Równie bezsensowny tekst jak ten na kamieniu w muzeum.

- Można by to zobaczyć? - zapytał Parkinson, starając się nie okazywać zbyt wielkiego zainteresowania.

Martin spojrzał pytająco na Annikę, a ona potrząsnęła głową, że nie.

- Jutro - powiedział więc do Parkinsona. - Jutro wszystko zobaczycie. Teraz dzwonicie zębami z zimna. Przebierzcie się jak najszybciej i do łóżek!

Parkinson musiał ustąpić.

- I ty, Annika, też musisz się natychmiast położyć - rzekł Martin z tą nową surowością w głosie, z jaką się teraz do niej zwracał. - Nie, nie, sama na górę nie wejdiesz. Chociaż ręce mam zdrętwiałe z zimna, to wystarczy mi siły, żeby cię zanieść. A jeśli będziesz się szamotać, to upuszczę cię na schodach razem z tym kocem.

Annika uśmiechała się niepewnie. Właściwie nie miała nic przeciwko temu, żeby zostać zaniesiona na górę, w dodatku przez Martina. Tak wspaniale pachniał morzem, gdy zaś przypadkiem dotknęła wargami jego policzka, poczuła smak soli. A ponieważ oboje byli przemoczeni tak samo, żadnemu nie przeszkadzał stan drugiego.

W pokoju Martin posadził Annikę na łożku.

- No, a teraz rozbieraj się i jak najszybciej wskakuj do suchego śpiwora!

Nie pytając o pozwolenie zaczął zdejmować z niej wełniany sweter.

- Nie, ja sama - protestowała zaczerwieniona.

- A jak zdołasz rozwiesić ubranie, żeby wyschło, skoro nie możesz stać? Czy myślisz, że ja nie wiem, jak wygląda dziewczyna?

- O, wiesz, z pewnością, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - prychnęła.

Martin zacisnął zęby.

- Nie kłóć się! Nie zamierzam cię uwodzić!

- I nawet nie próbuj, bo i tak niczego nie zwojujesz! - odparła ze złością.

- Wstrzymaj się z takimi zapewnieniami przynajmniej do chwili, kiedy zacznę okazywać ci zainteresowanie.

Annika zniosła to z trudem. Myśl o zakładzie wyciskała jej łzy z oczu, ale przecież nie mogła się rozplakać. Dzielnie przełykała ślinę. Martin, starając się nie urazić jej chorej nogi, zdjął z niej spodnie, przyniósł piżamę i pomógł włożyć bluzę.

- Z resztą poradzę sobie sama - oświadczyła Annika stanowczo, więc Martin się odwrócił.

Kiedy już włożyła i pozapinała piżamę, pomógł jej wejść do śpiwora, był bardzo opiekuńczy i zachowywał się ostrożnie, żeby, broń Boże, nie poruszyć bolącej stopy. Potem spojrzał na nią z czułym uśmiechem i poklepał po policzku.

- Byłaś bardzo dzielna tam w wodzie - powiedział jakby na pociechę.

A więc jednak widział!

- Ty też musisz się wysuszyć - rzekła nieoczekiwanie łagodnie. - Zaraz!

Wyglądał na zaskoczonego jej troskliwością.

- Zwróciłaś uwagę na to zawrożdzenie za oknem? - zapytał. - Czegoś bardziej demonicznego w życiu nie słyszałem. Mam nadzieję, że to skutecznie wystraszy Parkinsona i Lisbeth!

- Boję się, że nie! Ale zupełnie nie mogę pojąć, jak Ron może tu mieszkać sam - westchnęła Annika.

Martin roześmiał się.

- Czy on może? Powiem ci więcej, on się tym rozkoszuje! Moje okno, jak wiesz, wychodzi na skały. Kiedy usłyszałem wołanie od morza, najpierw wyjrzałem przez okno. I wtedy pośród skał zobaczyłem Rona. Stał tam i patrzył w dół, na dom.

- Martin, on musi być potwornie samotny - szepnęła Annika.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju weszła Tone z Jørgenem.

- Przeszkadzamy?

- Nie, skąd! Wejdźcie!

- Sądziliśmy, że trzeba obgadać nową sytuację.

Annika poczuła się trochę skrępowana, w piżamie i w pościeli, podczas gdy wszyscy inni byli ubrani. Wyglądała jak gąsienica na liściu kapusty, kiedy skulona w zielonym śpiworze siedziała tak na twardym, niewygodnym łóżku, opierając się o ścianę. Goście ulokowali się wokół niej.

- Może powinniśmy zawołać Rona? - zapytała z nadzieją.

- Nie, dajmy mu spokój - powiedziała Tone. - On potrzebuje jak najwięcej snu.

Zapadła niezręczna cisza.

- No, i co teraz zrobimy? - rzuciła Tone.

Martin studiował wiszące na ścianie wizerunki dawnych właścicieli tego domu, którzy z niezwykłą powagą spoglądali na niego w półmroku. Noc miała się ku końcowi.

- No cóż - powiedział po chwili. - Chyba możemy im pokazać, nie ma przecież potrzeby niczego ukrywać. Nie zamierzaliśmy naszego znaleziska spieniężać ani nic takiego.

- Oczywiście, że nie! - zawołała Annika. - Dla nas to jedynie podniecająca detektywistyczna przygoda. Próba rozwiązania niezwyklej zagadki. I jesteśmy już przynajmniej w połowie drogi.

- Nikt też nie powiedział, że Parkinson ma jakieś nieczyste intencje w związku z naszym znaleziskiem - zauważyła Tone. - To myśmy sobie tak wyobrazili. Uznaliśmy, że tak musi być.

Annika zagryzała wargę.

- Ale Ron też nas przed nimi ostrzegał.

- Ron nawet nie zamienił z nimi słowa - powiedział Martin. - Słyszał co prawda ich rozmowę, ale przecież on tak znowu wiele po norwesku nie rozumie. Mógł się pomylić...

- A poza tym to on nie chciał, żebyśmy im mówili o jego istnieniu.

- Za późno! - westchnął Martin. - Jørgen już im opowiedział.

Jørgen, który z powodu wyrzutów sumienia dotychczas milczał, teraz się zaciętrzewił:

- Myślę, że to są zupełnie bezpodstawne podejrzenia. Lisbeth w każdym razie jest niewinna!

- Hm! - bąknęła Tone. - No, ale... all right! Jutro pokażemy im znalezisko. I tak przecież nie możemy go ukrywać przez całą wieczność.

- Najpierw powinniśmy chyba dokładnie zbadać ten wysoki kamień? - zapytał Martin.

- Wstaniemy bardzo wcześnie. Żeby jednak mieć nad nimi jakąś przewagę.

- A właściwie to jak długo oni mają zamiar tu zostać? - zastanawiała się Annika.

- Spróbujemy wyprawić ich już jutro - uspokoił ją Martin.

Annika nie bardzo liczyła na to, że im się uda.

- Powiemy, że tu straszy - zaproponowała Tone.

- Że straszy! - wykrzyknął Jørgen oburzony. - Nie mogłabyś wymyślić czegoś bardziej prawdopodobnego?

- Owszem! Mogę powiedzieć, że zamierzasz uwieść Lisbeth.

Oczy Jørgena pociemniały.

- Teraz zachowałeś się naprawdę głupio!

Martin wyszedł do swego pokoju, żeby w końcu zdjąć mokre ubranie, bo z przestachem stwierdził, że drży. Domyślał się, że to reakcja. Nie na niebezpieczną przygodę, nie na kąpiel w lodowatej wodzie, lecz na niepokój o Annikę.

Niech to licho porwie, przecież nie zależy mu na tej nic nie znaczącej dziewczynie, która mu na dodatek dała odprawę. Ona nic dla niego nie znaczy, naprawdę nic! A mimo to tak bardzo się o nią niepokoi!

ROZDZIAŁ XIII

Czwórka studentów, która przez cały rok nauki miała kłopoty, żeby wstać na czas, następnego ranka zerwała się tak wcześnie, jak to bywa jedynie wtedy, kiedy naprawdę moglibyśmy jeszcze pospać. Wszyscy byli troszkę bladzi po nocnej przygodzie, ale pełni zapału do dalszych poszukiwań. Annika nalegała, że również pójdzie, choć musiała podpierać się laską. Martin jej pomagał, nie przestając utyskiwać na brak rozsądku pacjentki.

Ona jednak za nic na świecie nie opuściłaby tej najbardziej chyba podniecającej fazy badań.

Rona nigdzie nie było widać, a oni nie chcieli go niepokoić. Nikt nie wiedział, na jak wiele go stać. Powinien sam decydować.

Długo stali wokół wysokiego kamienia, dyskutowali, porównywali z fotografią.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości - stwierdziła Tone.

Martin był znacznie mniej pewien.

- Szkoda, że nie zrobiłem więcej zdjęć w muzeum - narzekał. - Trzeba było sfotografować kamień z różnych stron.

- Jak mógłbyś to zrobić? - roześmiała się Annika. - Portier przecież natychmiast przybiegł.

- To prawda. Mimo wszystko sądzę, że to właśnie ten kamień.

- Tylko że znaki ogamiczne zwrócone są ku morzu - powiedział Jørgen.

- I nic dziwnego - rzekła Annika. - Bo przecież statek księcia Feornina musiał pojawić się z tamtej strony.

Tone zachichotała złośliwie.

- Annika nie przepuści żadnej okazji, żeby nie wypowiedzieć pięknego imienia swego księcia z marzeń. Hej! - zawołała, machając ręką do postaci, która wyłoniła się właśnie z lasu.

- Już wracasz ze spaceru? A my nie chcieliśmy cię budzić!

Na policzkach Anniki zapłonęły rumieńce. Otóż i Ron, tak wygląda jego twarz. Od dłuższego czasu próbowała ją wywołać w pamięci, ale bez powodzenia.

To podobno oznaka, że człowiek zaczyna być zakochany, kiedy tak nie może przypomnieć sobie rysów obiektu swoich westchnień...

Och, nie! To oczywista bzdura!

Martin informował Rona, do jakich wniosków doszli.

- Jestem tego samego zdania co ty, Ron: Oni naprawdę byli bardzo przebiegli.

- Teraz trzeba tylko określić, jak trójkąt był ułożony - powiedziała Tone energicznie.

- Ten kamień musiał stanowić główny punkt - tłumaczył Martin Ronowi i wszystkim, którzy chcieli go słuchać. - Natomiast dębowa deska, czyli uchwyt lektyki, została znaleziona w miejscu, gdzie stała obora.

- Sterczała, wystając z ziemi - rzekła Annika rozmarzona. - Musiała tak tkwić przez wiele stuleci.

- I powoli pokrywały ją coraz to nowe warstwy ziemi - dorzuciła Tone.

Jørgen kiwał głową.

- Co oznacza, że Feornin nigdy jej nie odnalazł. Może on po prostu nigdy tu nie dotarł?

- Och, to niemożliwe! Musiał dotrzeć! - zawołała Annika. - Tak bym chciała, żeby tu był. To naprawdę romantyczne wiedzieć, że chodzimy po tej samej ziemi, po której stąpał pewien celtycki książę przed blisko dwoma tysiącami lat.

- A gdzie się podziewają wasi goście? - zapytał Ron tym swoim ostrym głosem, który zawsze burzył psychiczną równowagę Anniki. - Pojechali już?

- Nie. Na razie śpią, taką przynajmniej mamy nadzieję - odparł Martin. - Nie chcieliśmy ich tu przyprowadzać.

- Wczoraj byliśmy jednak zmuszeni opowiedzieć im o znalezisku - poinformowała Annika.

Ron powoli zwrócił ku niej swoje zielone oczy.

- Głupio zrobiliście - oświadczył, ale myślami zdawał się błędzić gdzie indziej. - Teraz będziecie mieć kłopoty. Uważam, że powinniście się ich pozbyć.

- Nie jest to łatwe - westchnęła Annika.

- To zrzućcie ich z wysokiej skały - powiedział Ron.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- „Zemsta lektyki” - powiedział Martin. - Prawdziwy staroświecki kryminał.

- Ja myślę, że wy bardzo przesadzacie z tym zagrożeniem z ich strony - skrzywił się Jørgen. - A nawet jeśli udałoby się im odczytać runy przed nami, to co?

Ron nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Wciąż patrzył w oczy Annice, jakby chciał przekazać jej coś ważnego.

Może chciał zapytać, czy nadal jest jego przyjaciółką, czy też uległa już uwodzicielskiemu czarowi Martina? Annika nie wiedziała, czego on od niej chce, i odczuła wielką ulgę, kiedy w końcu odwrócił wzrok i zaczął oglądać kamień.

Jørgen zastanawiał się głośno:

- A zatem stoimy przy jednym z wierzchołków trójkąta. Obora leżała tam. Patrząc z tego miejsca, jest to na prawo od domu. Gdyby założyć, że był to trójkąt równoramienny...

- Musimy to założyć - przerwała mu Tone. - W przeciwnym razie ów Feornin miałby poważne trudności z odnalezieniem wszystkich punktów.

- Tak. A wobec tego trzeci punkt musiał się znajdować na lewo od domu - rzekła Annika głosem drżącym z przejęcia. - Trójkąt nie mógł być skierowany na wprost, bo tam jest tylko morze.

Wszyscy przenieśli wzrok ku wrzosowiskom. Wybór mieli niewielki. Małe poletko, niegdyś uprawiane, od dawna leżało odłogiem, kilka spoczywających jeden na drugim głazów, które musiały spaść tutaj z górujących nad okolicą szczytów. I jeszcze porośnięte trawą fundamenty jakiegoś niedużego budynku.

- Czy wymierzyć właściwy trójkąt? - zapytał Jørgen.

- Nie sądzę, żeby król Cadallan czy ten cały Feornin posługiwali się geometrią - powiedział Martin. - Myślę, że wyznaczali punkty na oko.

Nagle wszystkim się wydało, że wiedzą, gdzie to może być.

- W pobliżu głazów - oświadczył Jørgen. - W każdym razie gdzieś tam. Nie wiemy przecież, gdzie dokładnie pod oborą znaleziono drewno.

Ruszyli w stronę głazów, Martin podtrzymywał kulejącą Annikę. Ron, jakby z wahaniem, szedł na końcu.

- To wszystko tylko hipotezy, teorie - marudziła Tone. - Nie wiemy niczego pewnego. Nie wiemy nawet, czy w ogóle był jakiś Cadallan i jakiś Feornin, pojęcia nie mamy, czy przypuszczenie co do trójkąta zawierającego inskrypcje ma jakikolwiek sens. Wymyślamy jakieś hipotetyczne konstrukcje!

- Niech no się nasza kochana pesymistka zamknie - powiedział Jørgen z czułością i objął ramieniem plecy Tone. - Co się stało z twoim duchem przygody?

Tone natychmiast złagodniała.

- Chcę was jedynie przygotować na ewentualne niepowodzenie. Wasze nadzieje są po prostu niebezpiecznie rozbudzone.

- Oczekiwanie jest połową przyjemności - powiedział Martin.

Doszli do skupiska głazów i zaczęli systematycznie szukać delikatnych ogamicznych znaków przy wszystkich krawędziach.

Przeglądali otoczenie kamieni bardzo dokładnie, zbadali też ruiny budynku, rozproszyli się po wrzosowisku, znacznie poza rozsądne granice, oglądali każdy kamień wystający z ziemi...

Nigdzie żadnych napisów.

Na koniec wszyscy wyprostowali plecy i stali naprzeciwko siebie zakłopotani.

- Erozja mogła zniszczyć ryty - powiedział Jørgen.

- Albo zostały wykonane na kamieniu, który później przyorano - zastanawiała się Tone.

- Albo przeniesiono na inne miejsce.

Oczy młodych badaczy skierowały się natychmiast ku widniejącym w oddali kamiennym, długim murom przecinającym wrzosowisko na krzyż.

- Obejrzeć te wszystkie kamienie? - zapytał Martin.

Annika przyglądała się resztkom starego fundamentu.

- Byłoby jeszcze gorzej, gdyby się okazało, że naszego kamienia użyto do budowy...

Ogarnęło ich zniechęcenie.

- Tone miała rację - powiedział Martin. - Idziemy do domu! Zdaje mi się, że mógłbym teraz zjeść śniadanie.

Ron nie pomagał im w poszukiwaniach. Stał po prostu przy zwałisku głazów, zawsze w znacznej odległości. Tone patrzyła na niego z niepokojem. Wiedziała, ile najmniejszy wysiłek kosztuje płuca i inne organy uszkodzone przez żrące chemikalia. Zdawała sobie sprawę, że jakaś obca bakteria może bardzo szybko zgasić ledwo tłący się płomień jego życia. Chciała mu zaproponować, by zasłaniał usta i nos maseczką, ale to by go bardzo ograniczało, odbierałoby mu sporo z tej i tak niewielkiej swobody, jaką się jeszcze cieszył. A poza tym, co by to pomogło? Dla Rona było już i tak za późno. Bezradna przeklinała współczesny wielki przemysł, tego potwora, który wolno i niepostrzeżenie unicestwia wszystko w swoim otoczeniu.

Tone chciała przestrzec młodszą siostrę, widziała, jak ci dwoje są sobą nawzajem zafascynowani, i bardzo dobrze rozumiała Rona. Bo dopiero tutaj, na tych pustkowiach Steinheia, stwierdziła, jaką śliczną dziewczyną jest Annika, jaka jest łagodna, otwarta i niezależna. Annika była niczym magnes przyciągający zarówno Rona, jak i cynika Martina Øyena.

Jak się to wszystko skończy?

ROZDZIAŁ XIV

Kiedy siedzieli przy śniadaniu w dużym pokoju, bo w kuchni prawie nie było mebli, rozległo się stukanie do drzwi i weszła Lisbeth, a za nią Parkinson. Lisbeth najwyraźniej była w złym humorze, ale na widok wszystkich mężczyzn zebranych przy stole natychmiast wróciła do swojej roli czarującego dziecka natury. Annika bez trudu wyczytała z twarzy Lisbeth, co ta piękność myśli na temat Rona, który siedział samotnie w drugiej części pokoju. Lisbeth zadrzała, ale przyglądała mu się po kryjomu z zaciekawieniem, prawdopodobnie nie przepadała za chorymi ludźmi. Tone przyniosła jeszcze dwie filiżanki i wszyscy zaczęli rozmowę na jakiś obojętny temat, nikt nie chciał pierwszy wspomnieć o tym, o czym wszyscy myśleli.

Dopóki Lisbeth nieco pogardliwie nie zwróciła się do Anniki:

- No, i jakie to uczucie znaleźć się w otoczeniu tylu przystojnych młodych mężczyzn? Trochę niezwykle, prawda? Ale chyba dość podniecające?

Tone aż podskoczyła w obronie siostry:

- Annika nie interesuje się współczesnymi mężczyznami. Jej serce bije dla księcia z marzeń o imieniu Feornin Mac Cadallan.

- A któż to taki? - zapytał Parkinson.

Kilka par oczu wpatrywało się w Tone z wyrzutem, ona sama najchętniej cofnęłaby swoje słowa, ale cóż mogła zrobić.

- Kim był ten Feornin Mac Cadallan? - powtórzył pytanie Parkinson, a jego wąskie oczka błyszczały podejrzliwością. - Nazwisko brzmi z celtycka i wydaje się bardzo stare.

- To postać z sag - wyjaśnił Martin spokojnie. - Annika nieustannie zakochuje się w bohaterach sag. Prawdopodobnie boi się współcześnie żyjących chłopców i jest to najpewniej lęk o podłożu seksualnym, to jedyne wytłumaczenie.

- Martin! - krzyknęła Tone z płonącymi policzkami. - Tak może mówić tylko odprawiony zalotnik!

- Och, przestańcie! - jęknęła Annika, zanim Martin zdążył wystąpić z kolejną morderczą repliką. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Mimo woli rzuciła pospieszne spojrzenie na Rona w nadziei, że on nie rozumie zbyt wielu norweskich słów z dziedziny psychologii. On tymczasem spotkał jej wzrok spokojny i jakby odrobinę rozbawiony, jak zawsze.

Annika natychmiast odwróciła oczy.

- Feornin Mac Cadallan... - mruczał Parkinson sam do siebie. - Czy to nazwisko naprawdę tak brzmi?

- Może niedokładnie tak - powiedział Martin. - Zostało zrekonstruowane. A nie jest łatwo...

Umilkł. Nie wiedział, ile może powiedzieć.

Parkinson jednak nie dawał za wygraną.

- Jak to jest, Martin? Jak daleko udało wam się posunąć z odczytaniem inskrypcji? Czy mógłbym ją teraz zobaczyć?

Martin na moment zacisnął szczęki, ale powiedział swobodnie:

- Oczywiście! Ron, czy zechciałbyś przynieść drewno?

Ron wstał bezszelestnie. Martin zwracał się do niego po galijsku, na co Parkinson natychmiast zareagował. Zerwał się i dosłownie zalał Rona pytaniami w języku galijskim, chcąc oczywiście wszystkim zaimponować swoimi umiejętnościami. Ron odpowiadał zaskakująco niechętnie, bąkał coś pod nosem, uprzejmie i to, co trzeba, ale nic ponadto. Jeszcze go takim nie widzieli. Zdawało się, że nie chce trwonić swego zasobu słów.

Kiedy Ron wyszedł, Parkinson wrócił do stołu. Brwi miał ściągnięte, patrzył gdzieś w bok.

- Nad czym się tak zastanawiasz? - zapytał Martin ostrożnie.

- Dziwne - mruknął Parkinson. - Bardzo dziwne!

- Ale co?

Parkinson ocknął się.

- Ech, nic. Po prostu słowa, którymi on się posługuje. Kilka wyrażen, których użył, brzmiało jak... Posłuchajcie, czy wy jesteście pewni, że on jest Celtem? Nie jest to przypadkiem jakiś oszust?

- Oszust? Jaki, na Boga, miałby interes w tym, by się ukrywać w takim zapomnianym przez wszystkich kącie, zwłaszcza, że jest tak poważnie chory?

Rozmawiali przyciszonymi głosami, bo wiedzieli, że ściany w tym domu są cienkie.

- Nie, nie, z pewnością masz rację... Ale czy on naprawdę jest normalny? Moim zdaniem jest w nim coś psychopatycznego, zwłaszcza te oczy...

Martin i Annika wpatrywali się w podłogę. Przecież oni zastanawiali się prawie nad tym samym.

Martin jednak natychmiast uniósł głowę.

- To chyba przesada, mówić o psychopatii! Całkiem normalny pewnie nie jest, ale czy ty byłbyś normalny, gdybyś wiedział, że się powoli, lecz nieuchronnie kończysz? Zachowanie w takiej sytuacji równowagi i godności musi człowieka wiele kosztować, nie rozumiesz tego?

Annika patrzyła na Martina z podziwem i wdzięcznością. Ileż w nim współczucia! I jak wiele rozumie!

Umilkli, gdy Ron wrócił i położył na stole drewno z inskrypcją.

- Proszę bardzo! - zawołał Martin agresywnie. - Oto nasze znalezisko. Możemy oczywiście pomóc w odczytaniu tekstu.

Parkinson spoglądał na dziwny przedmiot leżący przed nim na stole. Wyglądał tak, jakby miał zamiar się oblizać. Po chwili spojrzął na Martina.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie odczytaliście?

- Nie do końca. Ale sporo już zrobiliśmy.

- Nic nie mów! - zawołał Parkinson podnosząc rękę. - Nie mów nic więcej! Jeśli ja zdołam odczytać inskrypcję jako pierwszy, przed wami, to sukces będzie należał do mnie i tylko do mnie, zgoda?

Lisbeth patrzyła na narzeczonego z niekłamanym podziwem, natomiast twarz Martina wyrażała głębokie obrzydzenie.

- Proszę bardzo, z naszej strony nie będzie przeszkód. Myślałem, że możemy ze sobą współpracować, ale jak chcesz! My nie szukamy sławy ani nie chcemy zrobić kariery dzięki tej inskrypcji.

Parkinson zdawał się nie pojmować, że posunęli się w badaniach już dość daleko.

- Współpracować? - zapytał szyderczym tonem. - Mielście zamiar osiągać korzyści moim kosztem? Toście się przeliczyli! Każdy pracuje na swój rachunek! No i wygrywa ten, kto pierwszy odczyta napis!

Sprawił wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Chyba nie wątpił w zwycięstwo, bo z zapalem zasiadł przy stole i zabrał się do roboty. Lisbeth dotrzymywała mu towarzystwa.

Studenci spoglądali na nich z niesmakiem.

Lisbeth pociągnęła nosem.

- To ta przymusowa kąpiel dzisiejszej nocy - uśmiechnęła się przepraszająco.

Tone poderwała się zaniepokojona.

- Masz katar? W takim razie musisz stąd wyjechać. Natychmiast! Ron nie może się zarazić. I wyjdź zaraz z tego pokoju!

Lisbeth była głęboko urażona.

- A co to znowu? Czy człowiek nie może nosem pociągnąć, bo go zaraz zacząną wypędząć? Przecież to może być tylko alergia!

- Możliwe, ale jeśli jeszcze raz pociągniesz nosem, natychmiast stąd wyjedziecie. Bez gadania!

Lisbeth tylko prychnęła wyniośle w odpowiedzi.

- Chodźcie, idziemy na wrzosowisko - powiedział Martin do kolegów. - Pójdiesz z nami, Ron?

A gdy Szkot skinął głową, wszyscy ruszyli do drzwi.

Wrócili do punktu wyjścia, do wysokiego kamienia nad morzem. W oknie widzieli twarz Lisbeth.

- Szpieguje dla Parkinsona - mruknęła Tone.

- Daliśmy mu szansę - rzekł Martin. - Wyciągnęliśmy do niego rękę, ale on ją odtrącił. Więcej dla niego zrobić nie możemy. Uważam, że powinniśmy przestać się przejmować tą nadętą parką i zacząć od miejsca, w którym skończyliśmy.

- Masz rację - powiedział Ron swoim głębokim, trochę świszczącym głosem. - Ale nie ufajcie im! On nie cofnie się przed żadną metodą, nawet najbardziej niegodną. Nie pokazujcie im żadnych papierów, nie mówcie o niczym!

- Bądź spokojny - odparł Martin. - On nie wie przecież, że kamień z muzeum ma jakiś związek z tą sprawą. Sam do niczego nie dojdzie. My natomiast powinniśmy zająć się teraz trzecim wierzchołkiem trójkąta. Nie mogliśmy się pomylić, musi być jeszcze jeden kamień!

- Ale przecież już szukaliśmy - narzekwała Tone. - Coś się tu po prostu nie zgadza!

- Być może istniał taki kamień - poparł ją Jørgen. - Ale zaginął.

- Uważacie, że powinniśmy dać za wygraną? - zapytał Martin.

- Oczywiście, że nie!

- Niech to diabli porwą - jęknęła naraz Tone. - Ja ich zbyt wyraźnie naprowadziłam na ślad, mówiąc o Feorninie Mac Cadallanie. Parkinson aż podskoczył z emocji, kiedy to usłyszał.

- Nie przejmuj się, on niczego nie odczyta - pocieszał ją Jørgen. - Ważniejsze jest, co my powinniśmy teraz zrobić. Tkwimy przecież w martwym punkcie!

Ron podszedł parę kroków bliżej.

- Ja niezbyt dobrze zrozumiałem to wszystko. Dlaczego wy szukacie z takim uporem właśnie tu, przy tych głazach?

- Dlatego, że Knut opowiadał, iż drewno z inskrypcją zostało znalezione, kiedy rozbierano oborę - odpowiedział Martin.

- Rozbierano? - powiedziała Tone z wolna. - Jesteś pewien, że on nie powiedział: budowano?

- Nie, mnie się zdawało, że mówił: rozbierano. Ale głowy bym nie dał.

- Nie mówił ani tak, ani tak - oświadczyła Annika. - On powiedział: przebudowywano. A to może oznaczać i rozbiórkę, i budowę.

- To znaczy... - zaczął Jørgen.

- To znaczy, że stara obora wcale nie musiała stać dokładnie w tym miejscu, w którym stoi nowa.

- No to gdzie...? Aha! - westchnął Jørgen i popatrzył na porośnięte zielskiem ruiny.

- To jest szansa - mówił Martin przez zęby. - To jest szansa!

- W takim razie kamień mógłby się znajdować na lewo od domu, a nie na prawo! - zawołała Annika. - Ale chyba nie pod wygodką? Proszę, tylko nie to!

- Nie, Bogu dzięki nie pod wygodką - rzekł Martin. - Czy nie dostrzegacie trójkąta? Stąd do fundamentów starego budynku, a stamtąd do...

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi.

- Do zagajnika! - wołali jedno przez drugie.

Biegiem ruszyli w tamtą stronę, ale zaraz zwolnili. Szpieg? Co ze szpiegiem?

Nie, w oknie nie widać było żadnej twarzy.

Annika nie nadążała za resztą, a Martin w podnieceniu zapomniał o samarytańskich uczuciach. Kuśtykała na końcu, za Ronem, dzieliło ich wprawdzie kilka metrów, szli bez słowa, ale niesłychanie intensywnie odczuwała jego obecność.

Po chwili cała piątka zniknęła w gęstym zagajniku.

Panował tu jakiś dziwny, trudny do określenia nastrój. Tak już przywykli do porywistego wiatru na wrzosowisku, że nagle cisza i szum w koronach drzew przywodziły im na myśl święte miejsce. Wszystko tu było zielonkawe, wszędzie panował cień, małe czerwone kwiatki ostrożnie wychylały się z trawy pomiędzy pochyłymi pniami drzew.

- Bywam tu bardzo często - powiedział Ron do Anniki półgłosem. - W tym zagajniku czuję się najlepiej.

- Rozumiem - uśmiechnęła się. - Ale nigdy nie widziałeś kamienia z ogamicznymi napisami?

- Nigdy. Tylko że przecież niczego takiego nie szukałem.

Rzecz jasna również w zagajniku wszędzie pełno było mniejszych i większych kamieni. Młodzi ludzie przechodzili z wolna od jednego do drugiego, oglądając je starannie

ze wszystkich stron, macali opuszkami palców, badając, czy nie wyczują gdzieś regularnych linii, a nie znajdując niczego, niecierpliwie szli dalej.

Ron towarzyszył im z zainteresowaniem. Annika spoglądała na niego ukradkiem. W cieniu pod drzewami rysy jego twarzy wydawały się jeszcze bardziej osobliwe, a na tle liści brzoź oczy nabrały intensywnie zielonego koloru. Kiedy uśmiechnął się do niej, odniosła wrażenie, że fosforyzują.

Nagle usłyszeli przenikliwy krzyk Jørgena:

- Słuchajcie, zdaje mi się... zdaje mi się... - wołał.

- No, nareszcie coś się zaczyna dziać - powiedział Martin.

- Zdaje mi się, że *coś* znalazłem!

Natychmiast otoczyli kolegę, który klęczał przed sterczącym z ziemi omszałym kamieniem.

- Tutaj? - zapytała Tone zdumiona. - Czy myślisz, że oni posłużyli się takim maleńkim kamykiem?

- Przestań! - syknął Martin klękając obok Jørgena. - Pamiętaj, że od tamtej pory minęło blisko dwa tysiące lat.

Pospiesznie starali się odsunąć mech i ziemię, pracowali gołymi rękami.

- Robi się coraz większy niczym góra lodowa - stwierdziła Annika.

Kamień miał mocno chropowatą powierzchnię. Ale wzdłuż górnej ostrej krawędzi biegły rządki drobnych kresek, które z trudem wyczuwali pod palcami.

- Och, nie! - jęczał Martin. - Coś tu zostało zatarte! Ale chyba na szczęście niezbyt wiele, sporo jeszcze da się odczytać. Czy ktoś ma może kawałek kredy albo coś takiego?

- Może szminkę? - zaproponowała Tone.

- Idiotka! - warknął. - Nie, Jørgen, nie długopis, musimy wypełnić rysy czymś, co potem będzie można usunąć. Poczekaj, mam w kieszeni ogryzek ołówka. Powinien wystarczyć.

Wypełnienie szczelin kontrastem wymagało wielkiej cierpliwości. Trzeba to było robić niezwykle ostrożnie. Wolno, wolniutko, po długich dyskusjach na temat, co jest świadomym rytym, a co jedynie rysą w kamieniu, wypełniali szparkę po szparce. Tone przenosiła wszystko na papier.

- O, a tutaj mamy trójkąt! - zawołał Jørgen z dumą i odgarnął jeszcze więcej mchu z powierzchni kamienia.

Musiało im zejść na pracy przynajmniej kilka godzin, gdy od strony domu rozległo się wołanie Lisbeth.

- Halo, gdzie wy się podziewacie?

- Ciii! - syknął Martin. - Nie odpowiadajmy!

- Coś ty, to głupie! - burknął Jørgen. - Przecież jeśli będziemy się ukrywać, to oni dopiero nabiorą podejrzeń!

- Jak chcesz. A zresztą już i tak zrobiliśmy wszystko, co było tu do zrobienia. Reszta znaków jest okropnie niewyraźna, kilka zostało całkiem zatartych i nie sądzę, żeby z dalszego wpatrywania się w nie coś jeszcze mogło wyniknąć. Kamień jest po prostu za bardzo zniszczony. Co ty na to, Annika?

Zarumieniła się z radości, że Martin okazuje jej tyle zaufania, ale fakt, że wciąż stał tak blisko niej, iż przez ubranie wyczuwała ciepło jego skóry, wytrącał ją z równowagi. Odsunęła się nieznacznie.

- Masz rację - powiedziała. - Ale jesteś pewien, że to już wszystko?

Sprawdzali dłońmi powierzchnię kamienia wzdłuż krawędzi aż do ziemi.

- Nie wygląda mi na to, żeby tam jeszcze coś było - rzekł Martin.

- W takim razie wracamy - zdecydowała Tone. - Tylko ani słowa tamtym, ani gdzie byliśmy, ani cośmy robili!

Kiedy ponownie wyszli na światło i na szarpane wiatrem wrzosowisko, Lisbeth już zniknęła.

- Odnaleźliśmy trzeci kamień - wyśpiewywał Martin podniecony. - Odnaleźliśmy trzeci kamień!

Weszli do domu, a Ron natychmiast skierował się do siebie. Sprawiał wrażenie tak zmęczonego, że zaczynali się o niego niepokoić. Ale nie chciał pomocy.

- Wołaliście nas? - krzyknął Martin od drzwi.

- Ach, to wy? - zaszcebiotała Lisbeth w kuchni. - Chciałam przygotować wam obiad, ale niczego nie znalazłam.

Tone pokazała jej, gdzie trzymają zapasy.

Martin wszedł do Parkinsona, który w dalszym ciągu siedział pochylony nad stołem i wpatrywał się w inskrypcję na drewnie. Wszędzie wokół walały się zapisane i pogniecione arkusze papieru. Nieszczęście Parkinsona polegało na tym, że nie miał fotografii z napisem z muzealnego kamienia. Zresztą nawet mu do głowy nie przyszło, że te dwie inskrypcje mają ze sobą coś wspólnego, a młodzi milczeli jak zakłęci.

- No i jak idzie? - zapytał Martin, nawet nie próbując ukrywać złośliwej satysfakcji.

Parkinson skrzywił się w odpowiedzi.

Martin już wychodził, gdy naukowiec oświadczył stanowczo:

- Lisbeth i ja wyjeżdżamy jutro wcześniej rano. Rzecz jasna zabieram to drewno z inskrypcją, żeby zarejestrować znalezisko w urzędzie konserwatorskim.

Martin oniemiał. Musiało minąć sporo czasu, zanim zdołał wykrztusić:

- Nie masz prawa tego zabierać! My też wrócimy za kilka dni i wtedy skontaktujemy się z profesorem. Niech on decyduje, co dalej z tym robić.

Parkinson miał bardzo surową minę. Jego szerokie żabie usta zacisnęły się ze złością.

- Wy nie macie wystarczających kompetencji, by zajmować się tak cennym dla nauki znaleziskiem. Natomiast mój stopień naukowy i stanowisko na uczelni, zobowiązują mnie do tego, bym się zaopiekował inskrypcją. W żadnym razie nie może zostać narażona na zniszczenie.

- A co masz zamiar powiedzieć na temat, jak doszło do jej odkrycia?

- O co ci chodzi? Powiem po prostu, jak było, że znaleźliśmy to tutaj!

- My? To znaczy kto? Bo przecież nie znalazłeś tego ty, ja też nie ani nikt z tu obecnych. Tę inskrypcję odkrył Knut. I jemu należą się wszystkie związane z tym honory.

Parkinson wyglądał tak, jakby zjadł cytrynę.

- Ale Knut nawet się nie domyślał znaczenia zabytku. On nie ma pojęcia o alfabecie ogamicznym. I nie gadaj mi tu głupstw! Jako wasz wykładowca jestem odpowiedzialny za waszą działalność i siłą rzeczy muszę być w tym wypadku waszym przełożonym.

Cóż za podłość!

- Ach, tak? - zapytał Martin. - W takim razie wiesz przecież równie dobrze jak ja, że ten przedmiot ma także wartość archeologiczną i etnograficzną. A Jørgen, nasz kolega, jest już magistrem archeologii, etnografii, etnologii i Bóg wie jeszcze czego, i on się może zająć wszystkim jako odpowiedzialny fachowiec. Poza tym - mówił dalej Martin spokojnie, biorąc przedmiot ze stołu. - Poza tym najpierw powinienes wiedzieć, o czym mówisz. A czy ty w ogóle masz pojęcie, co to takiego jest to drewno i do czego kiedyś służyło? No widzisz, a my wiemy! O, nie, nie dostaniesz tego z powrotem! A wiesz, co zostało na nim napisane? Widzę, że mozoliłeś się nad tym cały dzień, ale udało ci się odczytać jedynie niezrozumiały bełkot. A my odczytaliśmy więcej niż połowę inskrypcji i wiemy, jak należy odczytać resztę, brakuje nam zaledwie kilku run. A po trzecie, to Ron zabronił nam mówić ci cokolwiek o tym tekście, a ty powinienes mu kiedyś spojrzeć w oczy, Parkinson! Kto jak kto, ale ty powinienes też wiedzieć, jak wygląda człowiek absolutnie pozbawiony hamulców. Jeśli nie wiesz, wystarczy, żebyś popatrzył w lustro. Ron nie cofnie się przed niczym dlatego, że nie ma nic do stracenia. W tej sytuacji - Martin podniósł głos. - W tej sytuacji ustalamy, że ten oto przedmiot na razie pozostanie tutaj, na Steinheia, jasne? No, Annika, Tone, Jørgen, wracamy na górę!

- Aleś mu wygarnął - szepnęła Tone na schodach.

- Co tam - roześmiał się Martin. - Jesienią wróci profesor, wtedy Parkinson nie będzie już miał nic do powiedzenia.

Annika westchnęła.

- Robi mi się ciepło koło serca, kiedy sobie przypomnę naszego wspaniałego profesora. Gdyby on był w domu, poinformowalibyśmy go o wszystkim bez najmniejszej zwłoki! I on by nam pomógł. A jak by się cieszył z naszego odkrycia! Ale nie powinieneś być posługiwać się Ronem jako straszakiem, to niezbyt ładnie z twojej strony.

ROZDZIAŁ XV

Cała czwórka poszła do pokoju Anniki.

- Wyjmij papiery! - polecił Martin.

Annika wytrząsnęła zawartość swojej przepastnej torby.

Ponieważ w pokoju nie było dość krzeseł, wszyscy rozłożyli się na podłodze.

- Co da się wyczytać z tego nowego tekstu? - niecierpliwiał się Jørgen niczym gotowy do podjęcia tropu pies.

- Spokojnie, spokojnie - powstrzymywał go Martin. - Wszystko po kolei, systematycznie.

Oboje z Anniką zabrali się do rozszyfrowywania świeżo zdobytego tekstu. Zeszło im na tym sporo czasu, praca była mozolna, bo powierzchnia kamienia spękała w ciągu wieków, w końcu jednak odtworzyli litery z wyjątkiem tych kilku najbardziej zatartych. Także i na tym kamieniu znajdowały się kropki oddzielające od siebie poszczególne słowa i to była wielka pomoc dla odczytujących. Nie znaleźli natomiast żadnych myślników, wobec czego Martin uznał, że cały zapis tworzy tylko jedno zdanie.

- Najpierw trzeba to wszystko odwrócić - powiedział Martin. - Będziemy czytać od końca. Skoro jednak mamy odczytywać na zmianę po jednej literze z inskrypcji na drewnie i na kamieniu, to chyba w obu inskrypcjach powinno być po tyle samo liter, prawda?

- No, chyba tak - zgodziła się Annika.

- Wobec tego będziemy mogli wyliczyć, ilu liter brakuje na końcu, bo zostały zatarte. Pozwól mi popatrzeć... Na inskrypcji drewnianej jest trzydzieści osiem liter, których nie powiązaliśmy w słowa. W takim razie na kamieniu też powinno ich być trzydzieści osiem. Ale jest tylko trzydzieści pięć. Wobec tego dostawiam trzy kropki. Tekst powinien brzmieć mniej więcej tak: OVLGAM SNE CRNM CSA LDMM ID RII V.N. UIVR ID...

- Pięć liter kompletnie startych - powiedziała Tone. - Ale teraz musimy...

- Ciii! - syknął Martin i zerwał się na równe nogi. Rzucił się do drzwi i gwałtownym pchnięciem otworzył je szeroko. Na schodach prowadzących w dół usłyszeli lekkie kobiece kroki.

- To dranie! - krzyknął Martin. - Dranie! Cholerne dranie!

- Nie kluj! - powiedziała Tone. - Chociaż najzupełniej się z tobą zgadzam. Jørgen, czy nadal uważasz, że Lisbeth to taki biedny, niewinny kwiatusek?

- Powinniśmy połączyć oba teksty - powiedziała Annika. - Literę po literze.

Wrócili do pracy. Z liter zaczynały się składać całe słowa, o czym świadczyły coraz bardziej rozpromienione oczy dwojga młodych celtologów. Nieustannie szeptali podnieceni.

- No, i co powiesz? - zawołał w końcu Martin.

- To niemożliwe, musieliśmy popełnić błąd - pisnęła Annika.

- Nic podobnego! Tu zostało napisane ni mniej, ni więcej... No, dobrze, czytam cały tekst od początku, wszystkie trzy połączone inskrypcje, poczynając od tego, co już przedtem odszyfrowaliśmy. VERONINOS MAQQOS CATUVELLANI - RONNOGABA SINDOS NAMES - ASTATAMMOS UC ENCU. A teraz te nowe: ROWOLUGSAMMI SIN - DEM CORONEM OCUSSA CLADIMUM SINDI REI - GIS VO. EN... UNII VAR SINDE.LB. - CATUVELLA - NOS REICS.

- O, cholera! - krzyknął Jørgen. - A to pech! Pamiętacie, że na drewnie też brakowało dwóch liter? No, i oczywiście, brakuje akurat tych samych, których nie ma też na kamieniu! Tym sposobem tracimy całe słowo! To się nazywa złośliwość rzeczy martwych! No, a co znaczy to, coście odczytali?

- Po staroiryjsku?

- Nie, po norwesku, ty zarozumiałcze!

Martin wahał się.

- Niektóre słowa są całkiem jasne. Ale Annika i ja chcielibyśmy najpierw móc je przetłumaczyć na staroiryjski, roboczo, że tak powiem. To by nam bardzo ułatwiło sprawę.

- Oczywiście, tylko pospieszcie się, bo o ile mogę wnioskować na podstawie waszych westchnień i okrzyków, marny tu do czynienia z czymś wyjątkowym!

- Bo to jest wyjątkowe! - powiedział Martin. - Nigdy bym nawet o czymś takim nie marzył. Ale nie wszystko, niestety, jest nadal jasne... No, dobrze, zabieramy się do roboty, Annika?

Leżała na podłodze tuż przy nim - nie byłaby w stanie powiedzieć, jak do tego doszło, bo przecież na początku starała się zachowywać przyzwoitą odległość od niego...

- ROWOLUGSAMMI... Czy twoim zdaniem to może znaczyć *Ro - fulgsam*?

- Owszem.

- No właśnie, tak myślałam. A potem zwróciłam uwagę na CLADIMUM. - To znaczy *claidem*, prawda? Och, to fantastyczne! Martin, nie możesz przeczytać wszystkiego, co udało ci się odszyfrować?

- Proszę bardzo, chętnie. Co powiesz na takie zdanie? *Ro - fulgsam in ncoroin ocus claidem ind rig...* A dalej idą te VO.EN...UNII, co trudno zrozumieć, a potem mamy chyba

słowo *forsind*, tak tłumaczę te VAR SINDE, no i wreszcie to nie odczytane ostatnie słowo. Litera L i litera B, a to nic nam nie mówi.

- No, i co tam? - niecierpliwił się Jørgen.

- *Claidem* to znaczy miecz, prawda? - pytała Annika.

- Bardzo dobrze, ale to nie jest byle jaki miecz! Tutaj po słowie miecz mamy jeszcze *ind rig*. To jest miecz królewski! CLA - DIMUM SINDI REIGIS.

Jørgen gwizdnął.

- Znowu król! Teraz to już naprawdę nie może być najmniejszych wątpliwości, że obracamy się w królewskich kręgach!

- Zwłaszcza jeśli dodamy do tego jeszcze CORONEM - *ncoroin*.

- CORONEM? - zapytał Jørgen. - Czy to ma coś wspólnego z koroną?

- Dokładnie! Tu chodzi o królewską koronę.

- O rany, to przeczytajcie wreszcie wszystko od początku do końca i nie zachowujcie się jak wielcy uczeni! - wybuchnął Jørgen.

- Jak chcesz, ale to będzie tekst kulejący, bo jeszcze nie wszystko wiemy. A zatem... Annika, poprawiaj mnie, jeśli się pomylę! „Feornin Mac Cadallan. Wróg nas pojmał. Umieramy”. To stary tekst. No, a teraz trzymajcie się mocno!

- Dlaczego mamy się trzymać? Leżymy przecież na podłodze.

Martin był zbyt przejęty, żeby zwrócić uwagę, że mu przerywają.

- „Ukryliśmy koronę i królewski miecz”, ale potem tekst jest już zupełnie niezrozumiały.

Jørgen sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się zacząć dusić.

- Co? Co ty powiedziałaś? Korona i królewski miecz? Oszalałaś? I na dodatek nie wiesz, gdzie to schowali?

- Nie. Jest tam jakieś słowo, które zaczyna się od VO. To zresztą może być całe słowo - *fo*. - I wtedy by to znaczyło *pod*.

- W takim razie wszystko by się zgadzało. „Ukryliśmy koronę i królewski miecz pod...” No, i co tam jest dalej? Miałaś tam jakieś całe słowo. Mogę zobaczyć, jak to zapisałaś? VAR SINDE - *forsind* Co to znaczy?

- E, tam! To może znaczyć *na* albo coś takiego...

Jørgen spoglądał na niego tępo.

- „Ukryliśmy koronę i królewski miecz pod... na...”

Wrzasnął ze złością tak głośno, że musiało go być słychać co najmniej na kilometr.

Annika zerwała się z podłogi.

- Musimy opowiedzieć o wszystkim Ronowi!

- Odważysz się go niepokoić? - zapytała Tone.

Ale Annika już była w hallu i stuknęła delikatnie do drzwi Rona. Wołała go też po imieniu, ale nie odpowiadał.

- Nie ma go.

- Może śpi? - zastanawiała się Tone. - Wierz mi, fakt, że ten człowiek stoi na nogach, to cud!

Annika znowu poczuła skurcz serca. Nie chciała, żeby Ron umarł. Może mogłaby - dzięki swej miłości - uratować mu życie?

Dzięki swojej miłości? Czyż to jest miłość, to, co do niego czuje? Przecież nie. To jedynie zainteresowanie, szczególny pociąg, nic więcej!

Lisbeth zawołała z dołu, że obiad gotowy. Podnieceni swoimi ostatnimi odkryciami zeszli do salonu. Podczas obiadu siedzieli jak na szpilkach. Parkinson milczał naburmuszony, najwyraźniej sam do niczego nie doszedł, a Lisbeth zadawała podchwytliwe pytania, których intencje dość łatwo było odczytać. Bardzo trudno przychodziło zachować tajemnicę, skoro ostatnie odkrycia buzowały w ich umysłach, wszyscy w duchu życzyli swoim tak zwanym gościom wszystkiego najgorszego. Po obiedzie sytuacja wcale się nie poprawiła, bo Parkinson wyraził chęć przeprowadzenia ogólnej dyskusji na temat ogamicznych inskrypcji, pewnie w nadziei, że któreś się wygada. Oni jednak milczeli.

W końcu wstali od stołu.

- Na górze nie będziemy mogli pracować - mruknął Martin, gdy znaleźli się w hallu. - Może pójdziemy znowu do zagajnika?

Na dworze zapadał już wieczór, światło poszarzało i ziąb zrobił się dojmujący.

- Przekłęci idioci! Trzymali nas przy stole tak długo, że już się prawie ściemniło! - warknął Jørgen. - Mało co dzisiaj zrobiliśmy!

- Wprost przeciwnie, uważam, że posunęliśmy się dzisiaj znacznie - zaprotestowała Tone. - Czy w ogóle ktoś oczekiwał takich wspaniałych rezultatów?

Nie, rzeczywiście, tego nikt się nie spodziewał.

Ron już na nich czekał w zagajniku. Siedział w kucki przed kamieniem, który tego dnia odkryli, i uważnie go studiował. Kiedy przyszli, wstał roześmiany.

Annika podbiegła do niego uradowana.

- A więc tu jesteś? A ja szukałam cię w domu!

Ucieszyły go te słowa i najwyraźniej wzruszyły.

- Szukałaś mnie? Teraz? Udało wam się odczytać inskrypcję?

Opowiadali mu jedno przez drugie, przekrzykując się nawzajem.

Oczy Rona rozbłyły.

- No, nieźle, muszę przyznać! To otwiera nowe, bardzo interesujące perspektywy. Ale ja także coś znalazłem.

- Co takiego?

Wskazał na podstawę głazu.

- Spójrzcie tam!

Głęboko w ziemi, tuż przy kamieniu, coś sterczało. Mała część jakiegoś przedmiotu.

- Cóż to, na Boga, jest? - szepnął Jørgen. - Ostrożnie, ostrożnie, Martin. To akurat moja dziedzina.

Z ogromną cierpliwością odsłonili jeszcze fragment tego dziwnego przedmiotu. Czuli, że w dalszym ciągu mocno siedzi w ziemi i że tkwić musi głęboko.

- Rękojeść miecza? - zapytał Jørgen.

- Na to wygląda - odparł Martin niemal sztywny z przejęcia.

- Miecz królewski! - pisnęła Tone. - O Boże, umrę! Zaraz umrę!

Nie umarła, oczywiście, ale podniecenie ogarnęło ich teraz niebywałe. Wkrótce wszyscy mieli czarne, umazane ziemią ręce i spodnie zielone na kolanach, ale nikt się tym nie przejmował. Ron stał wsparty o drzewo i przyglądał się młodym na pozór spokojnie, ale sądząc po blasku oczu, był równie wzburzony jak oni. Powoli i wyjątkowo ostrożnie odsłaniali bardzo źle zachowany miecz, którego klinga niemal zupełnie przerdzewiała. Ale na rękojeści, gdy oczyścili ją ze skamieniałej ziemi, ukazał się ornament.

- Celtycka robota - skostatował Jørgen. - Epoka żelaza.

- Królewski miecz - rzekła Annika zdławionym głosem. - Odnaleźliśmy go!

- Nie, to nie jest miecz królewski - sprostował Jørgen, teraz bardzo swobodnie poruszający się po znanym sobie terenie. - To świetna broń i musiała należeć do kogoś znacznego, ale miecz królewski to było coś wyjątkowego. Myślę, że niewielu współczesnych mężczyzn byłoby w stanie nim fechtować. Był bardzo ciężki, bo dzięki niemu określano, kto się nadaje na króla. Nie mógł unieść miecza, to spadał z tronu na pysk!

- Uff, jak ty się okropnie wyrażasz! - roześmiała się Tone. - A mówisz przecież o prawdziwym zamachu stanu!

Martin przez cały czas bardzo uważnie studiował ornament na rękojeści. Obracał miecz na wszystkie strony.

- Annika - powiedział wreszcie. - Spójrz tutaj. Czy widzisz coś przy tej krawędzi?

- Ogam - szepnęła Annika. - Jedno krótkie słowo. Chyba imię właściciela.

- No właśnie!

- A co tam jest napisane? Brakuje kilku znaków. Dwóch na początku i dwóch na końcu, a w środku, zdaje mi się... RONIN...

- Ronin? - roześmiał się Jørgen. - Jakiś czas temu tak właśnie nazywano samotnego samuraja.

- Przestań się wygłupiać! - krzyknął Martin. - Co tu mają do rzeczy samuraje? To po prostu zostało wypisane imię VERO - NINOS!

Annika o mało się nie rozplakała.

- Feornin! A więc on tu jednak był!

- Tak - potwierdził Martin. - Był tutaj. Nasz książę Feornin.

ROZDZIAŁ XVI

Annika prawie nie zwróciła uwagi, jak łagodnie i jak smutno zabrzmiał głos Martina.

- Ron! - zawołała. - Ron, czy ty słyszysz? Książę Feornin tutaj był!

Ron odpowiedział jej delikatnym, czułym uśmiechem, który całkowicie odmienił jego twarz.

Martin natomiast mówił z rozmarzeniem:

- To znalezisko wyjaśnia, dlaczego książę nigdy nie odnalazł przeznaczonego dla niego napisu na drewnie, na tym uchwycie oderwanym od lektyki.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Annika.

- On tutaj zginął - odparł Martin. - Właśnie tu, dokładnie w tym miejscu. Stoimy na jego grobie. Jeśli w ogóle miał jakiś grób, w co wątpię.

Wszyscy natychmiast cofnęli się o kilka kroków.

Jørgen wyrecytował półgłosem:

- „Dobranoc, mój książę!”

Tone zwróciła się do Martina.

- Skąd wiesz, że...? - zaczęła.

- Sama pomyśl - odparł. - Kiedy wylądował na cyplu, zobaczył tamten wysoki kamień z ogamicznym napisem. Ten kamień zresztą widoczny jest i z morza, po prostu przyciąga wzrok. On najwyraźniej znał tajemnicze runy, a także wiedział, co znaczą trójkąty, zaczął więc szukać pozostałych punktów, będących wierzchołkami trójkąta. Najpierw dotarł tutaj. Możemy uznać, że wtedy żadnego zagajnika nie było. I wówczas pojawili się wrogowie, owi wrogowie króla Cadallana, prawdopodobnie nasi nordyccy przodkowie, i książę Feornin poległ.

Annika, nie zdając sobie z tego sprawy, podeszła bardzo blisko Rona, a on tym razem się nie cofnął. Nawet sam zrobił krok w jej kierunku, stanął tuż za nią, jakby stanowili wspólnotę.

- Dziwne tylko, że ich wrogowie nie zabrali tego miecza jako wojennego łupu - dziwiła się Tone.

- On prawdopodobnie upadł na miecz, więc go nie znaleźli - powiedział Martin.

Annika uświadomiła sobie nagle, że po policzkach płyną jej łzy. Odwróciła się, by inni tego nie zauważyli, ale za jej plecami stał Ron.

To jednak jej nie przeszkadzało. Czuła gorące pragnienie, żeby rzucić mu się na szyję i w jego ramionach wypłakać cały ból, który rozsadzał jej piersi.

Ron to dostrzegał, a wyraz jego twarzy świadczył wymownie, jak bardzo niechętnie wyciąga rękę w ostrzegawczym geście.

Przez długą chwilę stali naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy, słowa były tu całkowicie zbędne. I teraz przekonanie, że odczuwa do niego jedynie sympatię i pociąg, przestało być prawdziwe. W tej chwili zrodziło się między nimi jakieś nowe uczucie, jak bardzo delikatny ton. Annika uświadomiła sobie, że mogłaby podjąć walkę z tą chorobą, która podstępnie toczy jego ciało. Poczula w sobie niebywałą siłę.

Ron nie przestawał patrzeć jej w oczy. Na jego twarzy malował się głęboki smutek.

Ostry głos Martina przywrócił ją do rzeczywistości.

- Annika! Czy byłabyś uprzejma wysłuchać, *co* do ciebie mówię? Powiedziałem mianowicie, że nie mamy tu już dzisiaj nic więcej do roboty, jest po prostu za ciemno. Powinniśmy ukryć miecz gdzieś tutaj, bo teraz to ja już wcale nie ufam Parkinsonowi, jeśli kiedykolwiek mu ufałem, w co poważnie wątpię. Ale nie ma się czym przejmować, jutro rano wyprawimy ich w drogę i będziemy mogli spokojnie prowadzić dalsze poszukiwania.

- Dalsze poszukiwania? - zapytała Annika trochę roztargniona. - Znaleźliśmy już przecież cały tekst.

- Owszem! - warknął Martin zniecierpliwiony. - Ale czy jeszcze do ciebie nie dotarło, że tymczasem wpakowaliśmy się w nową kabałę? Mamy tu do czynienia z czymś wielkim, Anniko, z czymś dużo bardziej sensacyjnym niż kilka zniszczonych napisów na starych głazach!

Annika z trudem odwracała się od Rona, jakby sprawiało jej to ból.

- Jak to?

- Co jest w tekście?

Nareszcie odniosła wrażenie, że Ron przestał zajmować jej myśli.

- Ach, no, oczywiście! Przepraszam, zamyśliłam się.

- Zdążyłem zauważyć!

Martin potrafił być złośliwy, gdy jego męska duma została zraniona.

Przeniknęła go wielce nieprzyjemna myśl.

Zakład! Po prostu o tym zapomniał. Tymczasem czas płynie, wkrótce trzeba będzie spotkać się z kolegami i powiedzieć, jak się rzeczy mają. Annika natomiast coraz bardziej wymyka mu się z rąk! Do tego zielonookiego umarlaka, który nawet nie może jej dotknąć.

Z kimś takim miałby przegrać Martin Øyen, największe bożyszcze dziewcząt na uniwersytecie?

O wstydzie! Cóż za upokorzenie!

Nie był w stanie o tym myśleć. Ogarnęło go wzburzenie, którego nie pojmował. Odczuwał ból, prawdziwy ból!

Jørgen popisywał się teraz swoją wiedzą.

- Królewska korona znaczyła bardzo wiele dla ówczesnych przesądnych ludzi. W żadnych okolicznościach nie mogła się dostać w ręce wroga. Bo wtedy cały kraj przepadnie. Król Cadallan musiał ukryć koronę tak, by księżę Feornin mógł ją odnaleźć.

- Ale Feornin poległ - przerwał mu smutny głos Tone.

Annika wiedziała, że siostra zdaje sobie sprawę z tego, co ona przeżywa na myśl o śmierci samotnego księcia w dzikim, obcym kraju... No, może taki samotny to księżę nie był, z pewnością miał swoją drużynę, ale w każdym razie...

- A więc ani korona, ani miecz nie zostały nigdy odnalezione - mówił dalej Martin. - Nie wierzę też, że dostały się w ręce wrogów. Oni byli z pewnością zbyt mało ucywilizowani, by rozumieć pismo ogamiczne.

- Ale minęło przecież prawie dwa tysiące lat - przerwała mu Annika. - Ktoś to przecież musiał znaleźć!

- W tym wymarłym miejscu? Mało prawdopodobne!

- Korona... Królewska korona! - wzdychała Tone rozmarzona. - To by dopiero było coś dla pana Parkinsona!

Martin studził ich zapały.

- Nie obiecujcie sobie zbyt wiele po tej koronie! Nawet jeśli odnajdziemy miejsce, to raczej nie przypuszczam, że korona jeszcze istnieje.

- Ale przecież powiedziałeś...

Martin uśmiechnął się pod nosem.

- Anniko, kochanie, korony królewskie w tamtych czasach robiono z żelaza. Żelazo zaś ma tę obrzydliwą właściwość, że rdzewieje. Chociaż miecze były wielokrotnie hartowane.

- Ale ten nasz przecież jest kompletnie przerdzewiały!

- No tak. Tylko trzeba pamiętać, że to miecz królewicza. Miecz królewski był z pewnością bardziej odporny. Wkładano w niego wiele pracy.

- Powiadasz, że korona może być z żelaza? - pytała Tone rozczarowana. - Dlaczego?

- Dlatego, że w tamtych czasach żelazo było czymś niebywale pięknym - wyjaśnił Jørgen. - Piękniejszym niż złoto, bo było nowe.

Tone westchnęła.

- W takim razie proponuję, żebyśmy tę przeklętą koronę zostawili w spokoju do jutra. Teraz jestem już bardzo zmęczona!

Annika i Martin poszli w stronę domu trochę przed wszystkimi, bo on nadal dotrzymywał obietnicy, że będzie jej pomagał. Czuła dzisiaj, że za bardzo zmęczyła tę swoją chorą nogę, ale poprawa była 'widoczna.

Szli w milczeniu. Panował między nimi jakiś wrogi, naznaczony zaciętością nastroj, byli sobą nawzajem rozczarowani, każde z innego powodu.

Przed drzwiami Annika przystanęła.

- Zdejmę tutaj buty. Są okropnie ubłocone.

Martin poszedł za jej przykładem. Chociaż nie chciał, musiał podziwiać jej lekkie, pełne gracji ruchy, wdziek, z jakim pochylała głowę, jej delikatny uśmiech.

Nie ma się czym zachwycać, naprawdę, pomyślał ze złością. Niech ją sobie Ron bierze.

Bezszelestnie weszli do środka i ruszyli schodami na górę.

Przed drzwiami do pokoju Anniki zatrzymali się i spoglądali na siebie z niedowierzaniem. Martin ścisnął łokieć dziewczyny.

Z pokoju docierał do nich jakiś dźwięk, stłumiony, ukradkowy.

Martin gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

Zobaczyli Lisbeth siedzącą w kucki nad rozbebeszoną torbą Anniki. Na ich widok pospiesznie wepchnęła do torby plik kartek i zerwała się na równe nogi.

- O, nareszcie wróciliście! - roześmiała się dźwięcznie. - Annika, masz może tabletki od bólu głowy? Elmer dostał okropnej migreny, a was nie było, więc...

Elmer? Ach, tak, to przecież imię Parkinsona. Annika nigdy się nie zastanawiała, czy on w ogóle jakieś imię ma.

- Wynoś się stąd! - warknął Martin z wściekłością. - Jazda! I zbierajcie się do wyjazdu! Żebym was tu jutro nie widział!

Lisbeth próbowała walczyć sprawdzoną bronią.

- O co ci chodzi? Czy wciąż jeszcze nie pogodziłeś się z tym, że zaręczyłam się z Parkinsonem?

Aha, więc jednak! Teraz wszystko wyszło na jaw! Więc jednak coś było między Lisbeth i Martinem. No, oczywiście, należało się tego spodziewać!

Martin jednak zachował zimną krew.

- Spróbujmy na tę sprawę spojrzeć także z innej strony - powiedział złośliwie. - Może przypomnimy sobie tę historię z akademika. Kto to był taki pijany, że nie mógł się utrzymać na nogach i jedyne, czego chciał, to wejść do mojego łóżka? I kto to musiał wyrzucać tę panienkę, a jeszcze na dodatek po niej sprzątać, bo się biedactwo rozchorowało na żołądek? I wtedy ja skończyłem ze wszystkim!

Lisbeth zagryzła wargi.

- To nieprawda! - krzyknęła.

- Och, ty możesz niczego nie pamiętać. Ale moi koledzy pamiętają bardzo dobrze. No, to jak? Wyniesiecie się jutro?

Było to może niezbyt eleganckie, ale bardzo skuteczne posunięcie ze strony Martina. Lisbeth bez słowa wypadła za drzwi.

Tymczasem pojawili się Tone i Jørgen; słyszeli prawie całą rozmowę.

- Ile ona widziała? - zapytał Jørgen.

Annika przejrzała uważnie notatki.

- Nie wiem, ile zdążyła przeczytać. Zdjęcie kamienia z muzeum jest w każdym razie na miejscu. I tekst do niego także.

- Dzięki Bogu i za to - westchnął Jørgen.

- Nasze pierwsze nieporadne próby, nieudane rozwiązania też są, chociaż akurat to mogła sobie wziąć. O, tutaj widać wyraźnie, że połączyliśmy obie inskrypcje... a na następnej kartce... aha, tu mamy już rozszyfrowany tekst: VERONINOS MAQ - QOS CATUVELLANI - RONNOGABA..

- Ona by nigdy w życiu tego wszystkiego nie spamiętała na tyle, żeby to jakoś sensownie powtórzyć Parkinsonowi - powiedział Martin z nadzieją w głosie, ale zaraz umilkł, bo na następnej kartce znajdowało się tłumaczenie całości, wyraźne i czytelne.

Jørgen wymamrotał coś, czego w żadnym razie z jego ust nie powinni nigdy słyszeć jego czcigodni rodzice.

- No, a tutaj mamy nowy tekst - wyliczała dalej Annika.

- Nie! - krzyknął Martin zrozpaczony.

- Ale tylko po galijsku - uspokoiła go Annika. - I tylko kawałek. Nie sądzę, żeby ona coś z tego wywnioskowała. Poza tym nic już więcej nie było.

- Nie, jeśli Lisbeth nie zdążyła niczego odpisać, to nie wierzę, by udało jej się zapamiętać takie trudne słowa, jak *Ro - fulgsam i ncoroin* - powiedział Martin.

- Tylko teraz powinniście być przygotowani na to, że Parkinson będzie robił to samo co my - ostrzegł Jørgen. - Jutro na pewno przeszuka zagajnik.

- Jutro to oni wyjadą - uciał Martin. - Nawet gdybym miał ich na własnych plecach przenieść przez góry! A ty, Annika, powinnaś lepiej chować papiery!

- Zamknęłam drzwi na klucz, widocznie jeden klucz pasuje do kilku zamków.

- Parkinson jest zdeterminowany - wyjaśnił Jørgen. - W przyszłym tygodniu ma zapisać decyzja, kto zostanie profesorem i zajmie wolne miejsce. A ostatnie, co w tej sprawie słyszałem, to była informacja, że szanse naszego drogiego Elmera nie są specjalnie wielkie. Musiałby wystąpić z czymś absolutnie wyjątkowym, jeśli w ogóle ma być brany pod uwagę. On zaś nie chce czekać do czasu, gdy zwolni się kolejne stanowisko profesorskie, bo nie wiadomo, kiedy to może nastąpić, a w każdym razie już by nie był najmłodszym profesorem w kraju. A właśnie tę myśl wbił sobie do głowy, jest nią dosłownie opętany.

- On mi wygląda na takiego typa, co to ulega opętaniu - rzekła Tone rozsądnie. - Musimy go stąd wyprawić za wszelką cenę.

- Owszem - potwierdził Martin. - Za wszelką cenę. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego musimy to zrobić. Mianowicie Ron.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwiła się Annika.

Oczy Martina pociemniały.

- Ron ich nie cierpi. Jeśli zobaczy, że na przykład znaleźli koronę, może się posunąć do bardziej drastycznych czynów niż przeniesienie ich na własnych plecach przez góry.

- Mógłby ich na przykład „zepchnąć w dół”? - zapytał Jørgen.

Martin jednak był śmiertelnie poważny.

- Nie wydaje mi się, że Ron żartował, kiedy to mówił.

Zaległa cisza. Annika chciała zaprotestować, ale jakoś nie mogła nic powiedzieć.

- Parkinson dzisiaj znowu mówił o tym, że wątpi w celtyckie pochodzenie Rona - powiedziała Tone. - Wyraził nawet przypuszczenie, że w zamkniętej części domu istnieje jakiś tajny nadajnik albo coś w tym rodzaju.

- Ale Ron od dawna przyjeżdża tutaj na lato - wtrąciła Annika. - I po galijsku mówi tak, jakby to był jego macierzysty język!

- To nie przeszkadza, że może się zajmować podejrzanymi sprawami - rzekł Martin. - Więc Parkinson może mieć rację.

- Wygląd ma obcy - stwierdził Jørgen przeciągle. - Nie jest podobny do Szkota...

- Ale włosy ma rude! - zawołała Annika, jakby go chciała bronić.

- To Irlandczyków rozpoznaje się po rudych włosach, nie Szkotów.

- Przestańcie! - zawołała Tone. - To wszystko brzmi idiotycznie! Facet jest po prostu chory. Bardziej niż możecie pojąć. Czy wiecie, dlaczego on się tak wolno porusza? I dlaczego

jest zawsze taki wyprostowany? Otóż dlatego, że on nosi gorset. Zobaczyłam to, kiedy wstawał z ziemi przy kamieniu. On naprawdę nie jest żadnym szpiegiem. To po prostu Ron!

Martin zakończył:

- I stoi po naszej stronie, to powinno nam wystarczyć! A teraz do łóżek! Trzeba się wyspać!

Sam jednak zwlekał z pożegnaniem.

- Annika, powinnaś postawić coś przy drzwiach, żeby nikt się do ciebie w nocy nie włamał! A może czułabyś się bezpieczniej, gdybym ja tu został?

- Nie, dziękuję! - odparła, ale takim tonem, że można było jej słowa zrozumieć dwójako.

Martin natychmiast to podchwycił. Z czułym uśmiechem delikatnie pogładził ją po policzku. Annika mimo woli odwróciła twarz.

Zmarszczył z irytacją czoło, lecz w dalszym ciągu mówił spokojnie, ciepłym głosem:

- Dlaczego ty mnie unikasz, Anniko? Co ja takiego zrobiłem?

Sam wiesz najlepiej, co, pomyślała z goryczą, ale nie powiedziała nic. W dalszym ciągu stała z odwróconą głową.

Tym razem w jego głosie zabrzmiał śmiech:

- A może powinienem zmienić pastę do zębów?

Ona także nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Nie, no coś ty!

Martin potraktował to jako przyzwolenie i zaczął delikatnie gładzić jej ramiona.

- A może chodzi o to, że nie jesteś przyzwyczajona do chłopców, co? Ale, moje dziecko, przecież ja nie zamierzam cię zjeść! Ja cię tylko po prostu bardzo lubię i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Przemawiając tak do niej, przysuwał ją wolniutko do ściany, a jego ręce najpierw opasywały talię Anniki, potem wolno i ostrożnie, lecz nie bez rutyny, zaczęły zsuwać się w dół. Głupia dziewczyna! Był już zmęczony jej fumami, chciał mieć to za sobą, raz na zawsze.

- Pragnę cię, Anniko - szeptał jej do ucha.

Dziewice najłatwiej przekonać takim działaniem wprost, bez owijania w bawełnę.

Odsuwała się do tyłu, sztywna niczym kij, próbowała odepchnąć go od siebie. Martin opuścił ręce. No, to już naprawdę przesada!

- Teraz rozumiem, dlaczego wolisz towarzystwo Rona, ty mała zakonnico - mruknął złośliwie. - Skoro on i tak nie jest w stanie cię dotknąć, to możesz bez szkody dla swojej cnoty chodzić sobie z nim.

- To nieprawda - odparła cicho. - Ron ma tysiąc razy więcej seksu niż ty!

- A cóż ty o tym wiesz? Przecież nawet nie próbowałaś!

Martin nie wiedział, co o tym myśleć. Jego męska duma została śmiertelnie zraniona. Dziewczyna była blisko niego, zbyt blisko jak na kogoś, kto przecież nie jest z kamienia, a jej spokojny opór wprawiał go we wściekłość. Co ona sobie właściwie wyobraża? Chce być trudniejsza do zdobycia niż te wszystkie wspaniałe dziewczyny, które mogłby mieć w mieście? Przycisnął ją mocno do ściany, jego ręce były nieustępliwe, teraz już nie było wątpliwości, jakie ma zamiary.

- Czy w taki właśnie sposób zdobywałeś wszystkie swoje dziewczyny? - zapytała Annika chłodno. - To nic dziwnego, że jesteś rekordzistą.

- Nie potrzebuję używać siły... - zaczął Martin, parszcząc niczym rozdrażniony kot, nagle uświadomił sobie, że jeśli chodzi o Annikę, to mogłby ją mieć jedynie siłą.

Odwrócił wzrok i puścił ją.

- Przepraszam - powiedział zdyszany. - Zapomnij o tym!

Pospiesznie wybiegł z pokoju z bardzo nieprzyjemnym uczuciem, że poniósł straszną porażkę. Nie dlatego, że jej nie zdobył, to w końcu bez znaczenia, tylko dlatego, że poniżył się do czegoś tak wstrętnego jak próba gwałtu. On, Martin Øyen! Och, cóż za ohyda!

ROZDZIAŁ XVII

Po dwóch dosyć męczących nocach miło było położyć się i spokojnie zasnąć.

Mimo to Annika obudziła się bardzo wcześnie. Leżała dość długo o niczym właściwie nie myśląc, nieruchoma na niewygodnej pryczy.

W atmosferze było coś, czego nie rozpoznawała.

Musiało minąć sporo czasu, nim nie całkiem jeszcze obudzona zorientowała się, o co chodzi.

To po prostu cisza.

Wiatr, ten wieczny wiatr, który nieustannie gwizdał i wył, szarpał domem, odkąd tu przybyli, ucichł. Morze trwało spokojne, jedynie mewy krzyczały jak zawsze.

Annika jeszcze przez chwilę leżała i wsłuchiwała się zdumiona, w końcu zrozumiała, że już nie zaśnie, i postanowiła wstać.

Była czwarta. Widok na morze przesłaniała biała mgła, niebo nie miało jeszcze żadnej barwy.

Cichutko, na palcach Annika wymknęła się na dwór. Natychmiast wielogłosy krzyk morskich ptaków znad niewidocznych stąd brzegów uderzył jej uszy ze zwielokrotnioną siłą. Nawoływania ptaków brzmiały jednak jakoś głucho w porannej mgle. Annikę przeniknął dreszcz, ale nie z zimna, bo odkąd wiatr ustał, wyraźnie się ociepliło. Nie, to raczej ta pustka i atmosfera opuszczenia wywołała w niej dreszcz, a zresztą może to po prostu jej ciało chce pozbyć się resztek snu, ostatecznie pożegnać się z nocą?

Wsunęła stopy w zimne buty, które stały nadal przy progu tuż obok butów Martina, i ruszyła na wrzosowisko, znacząc wyraźny ślad na pokrytej rosą trawie. Niewesołe myśli wirowały jej w głowie, nie bardzo chcąc przybrać jakąś konkretną formę. Jej uwaga wciąż kierowała się ku komuś, kto był sam. Potwornie sam, zapomniany przez wszystkich. Raz po raz przypominały jej się słowa ludowej piosenki. Słowa śpiewane przez młodego więźnia w dalekim, obcym kraju:

„Na mój grób w dolinie nie przyjdzie nikt.

Tylko wiosną czasami zaśpiewa słowik”.

Mimo woli skierowała się ku zagajnikowi. Niezwykły, jakby zaczarowany był nastrój tego miejsca przed kamieniem, przy którym prawdopodobnie blisko dwa tysiące lat temu poległ młody Feornin. W zagajniku panował jeszcze mrok, delikatna mgła kładła się na mchu niczym szron. Annika wydobyła z leśnego podłoża kilka małych roślinek o czerwonych

kwiatkach, jakieś nadbrzeżne byliny, których nazwy nie znała. Potem starannie wyrównała ziemię przed kamieniem, dokładnie w miejscu, gdzie znaleźli miecz, i zasadziła tam pięć kwitnących roślinek.

Kiedy kończyła, usłyszała kroki i uświadomiła sobie, że ktoś za nią stoi. Nie przestraszyła się, bo wiedziała, kto to.

- Co ty robisz? - zapytał Ron.

- Żegnam się z księciem Feorninem - odparła. - Myślisz, że tak będzie dobrze?

- Myślę, że on by się z tego bardzo cieszył - powiedział Ron wolno. - To bardzo ładnie z twojej strony, Anniko.

Wstała i otrzepała ręce.

- Często chodzisz nocą po okolicy?

- Owszem - uśmiechnął się skrępowany. - Źle sypiam.

- Rozumiem.

Wyszli z zagajnika, kierując się ku brzegowi. Kroczyli wolno i mówili niewiele, od czasu do czasu kilka słów, Annika wciąż napięta i onieśmielona, jak zawsze w obecności Rona. Doszli do, można powiedzieć, kompromisu - Annika mówiła po norwesku, Ron po galijsku i obojgu bardzo to odpowiadało. Zawsze przecież łatwiej jest zrozumieć obcy język, niż w nim mówić. Często wprawdzie musieli zadawać sobie pytania, wyjaśniać i uściślać, żeby się dobrze pojąć, ale szybko do tego przywykli i dwujęzyczna rozmowa mogła się toczyć bez przeszkód.

Poranna mgła zaległa gęstym tumanem, ale to tu, to tam widać było pojedyncze krzewy i głązy sterczące na wrzosowisku. Nad wszystkim unosił się krzyk ptaków...

- Posłuchaj - powiedziała Annika. - Czy te żalosne dźwięki, jakby głos trąbki, to żurawie?

- Nie, raczej łabędzie. One często przelatują nad wrzosowiskiem, a teraz morze jest takie spokojne, że usiadły na wodzie. Bardzo piękne bywają tutaj poranki.

- Tak, powinno się częściej wstawać o świcie. To zachęta dla nas wszystkich, którym trudno rano opuścić łóżko.

Miała wrażenie, że jakiś gorący prąd przenosi między nimi słowa.

- A zatem, Anniko, przestajesz już *marzyć* o bohaterach sag?

- Owszem. Nie są mi już chyba potrzebni - Uświadomiła sobie, że to dziwna odpowiedź, zrobiła więc pospieszny ruch ręką, potarła skronie palcami i powiedziała: - Wiesz, nigdy nie wolno mi było marzyć o żywych. Ale teraz mam ich obecności aż za wiele.

- „Ich”?

Spojrzała na niego zakłopotana, ale Ron patrzył z uśmiechem, jakby chciał ją uspokoić.

- Nie śmieję się ze mnie - szepnęła błagalnie. - Trudno mi opanować tę sytuację. Wszystko jest dla mnie takie nowe...

- Nigdy nie chodziłaś z żadnym chłopcem?

- Podejmowałam jakieś rozpaczliwe wysiłki dwa czy trzy lata temu. Ale za każdym razem kończyło się... okropnie. Oni byli narażeni na telefony od mojej... Nie, wybaczone, nie ma o czym mówić.

Umilkła. Niełatwo powracać do takich spraw.

- Wiesz, Ron... Tak przywykłam do tajemniczych bohaterów sag, że chyba nie mogłabym się spotykać ze współczesnym.TM no, z moim rówieśnikiem. Nie umiałabym się do tego zmusić. Czy... mogę myśleć o tobie jako o... Feorninie?

Spoglądał na nią zbity z tropu.

- Ale dlaczego?

- Bo wtedy łatwiej mi z tobą rozmawiać. Nie jesteś taki... materialny.

Roześmiał się cicho.

- Ty naprawdę zachowujesz się jak mała dziewczynka. Wzruszająca dziewczynka - dodał. - Ale proszę bardzo, jeśli ma to nas zbliżyć! Bo przecież wiesz, że ja potrzebuję twojej przyjaźni i życzliwości!

- Dziękuję! - zwróciła się ku niemu i wykonała głęboki dworski ukłon. - Dziękuję, książę Feornin!

- Głuptas! - śmiał się Ron.

Znajdowali się teraz nad samym morzem, ale nie na najdalszym krańcu cypla, lecz na północ od niego. Tutaj roślinność dochodziła niemal do powierzchni wody, która leżała szara i połyskliwa niczym stal pod welonem delikatnej, białej mgły. Kępy ostrej trawy przegłądały się w wodzie, proste lub pochylone, najbliższe wyglądały jak kleksy z tuszu rozprysnięte na błyszczącym papierze, a te dalsze wydawały się jaśniejsze i jakby rozmazane.

Annika usiadła na porośniętym trawą skalistym brzegu, Ron zaś na kamieniu parę metrów dalej. Była bardziej podniecona, niżby sobie życzyła, serce tłukło się w piersi boleśnie i trzymała ręce w kieszeni, by Ron nie zauważył, że drżą.

- Czy nie czujesz się tutaj samotny? - zapytała.

- Owszem, czasami. - A po chwili dodał: - Teraz, kiedy tu jesteście, uświadomiłem sobie, jak strasznie jest samemu.

- A mimo wszystko przyjeżdżasz tutaj?

- Musiałem - odparł po chwili milczenia. - Ale teraz nie będzie to już konieczne.

Powiedział: „musiałem”. Czy był ktoś, kto go do tego zmuszał? Nie, nie wolno dopuścić, by złośliwe teorie Parkinsona na temat szpiegostwa udzieliły się także jej! Ron jest po prostu chory. I nieszczęśliwy.

- Czy to znaczy, że jesteś tu po raz ostatni?

- - Tak.

Annika długo siedziała bez słowa. Wiedziała, że on nie spuszcza z niej wzroku, sama jednak nie miała odwagi na niego spojrzeć. W końcu wykrztusiła żalnym głosem:

- Ja nie chcę, żeby to tak było!

Ron wiedział, co miała na myśli.

- Nadchodzi taki dzień, Anniko, kiedy człowiek zaczyna czekać na śmierć.

Spuściła głowę. Rozumiała go bardzo dobrze.

- Wczoraj zdawało mi się, że jestem wystarczająco silna, by podjąć walkę o twoje zdrowie - szepnęła. - Że to, co do ciebie czuję... Ale wiesz... Ja miałam matkę, która...

- Wiem. Tone mi wczoraj opowiedziała.

Annika spojrzała na niego przestraszona.

- Tone?

- Tak - uśmiechnął się. - Kiedy wczoraj wieczorem ty i Martin poszliście przodem, Tone i Jørgen powiedzieli mi o twoich problemach.

Wyraz ulgi pojawił się na jej twarzy. Patrzyła na niego błagalnie.

- Więc teraz mnie rozumiesz, prawda? Matka odebrała mi wszystkie siły. A tak strasznie chciałabym ci pomóc, gdybym tylko mogła. Tylko że naprawdę nie mam ci nic do ofiarowania. Nie zniósłabym po raz drugi tego okropnego lęku, że ktoś mi bliski może w każdej chwili umrzeć.

Oczy Rona płonęły jakimś wewnętrznym ciepłem. Po chwili powiedział cicho:

- Tak się cieszę, że cię spotkałem, Anniko.

- Dlaczego? - zapytała, a serce tłuło się w jej piersi jak szalone.

- Jesteś taka pełna życia i taka śliczna. Ale ja mogę na ciebie tylko patrzeć, niestety.

Przyszła jej do głowy okropna myśl: Skoro on i tak musi umrzeć, to przecież mógłby mnie przynajmniej raz wziąć w ramiona. Nic się z tego powodu nie zmieni.

Ale to była głupia myśl. Rozumiała oczywiście bardzo dobrze, że dla niego każdy dzień życia jest tak samo ważny.

Odwróciła twarz, by nie widział, jak bardzo jest wzruszona.

- Nie powinnaś płakać z mojego powodu, Anniko - powiedział Ron łagodnie. - Mnie wcale nie jest źle.

- Czy naprawdę nic nie da się zrobić? - wykrzyknęła gwałtownie. - W naszym kraju są wspaniałe szpitale. Przecież na pewno można ci pomóc! Ja chcę, żebyś się leczył! Musisz się leczyć!

On jednak patrzył na nią bez słowa i uśmiechał się smutnie.

- Obiecuj mi, że raz jeszcze spróbujesz! - prosiła z rozpaczą. - Napiszę w twoim imieniu do specjalistów, zrobię wszystko, co trzeba!

Ron podniósł się z kamienia.

- Czy nie powinniśmy wracać? Nasi przyjaciele na pewno już wstali, a poza tym ty zmarzłaś.

Tak. Nagle uświadomiła sobie, że drży. Było chłodniej, niż z początku sądziła.

- Obiecuj mi, że zrobisz, co w twojej mocy, Ron!

Roześmiał się.

- Więc ja znowu mam na imię Ron?

- Tak! - powiedziała przestraszona. - Nareszcie rozmawiałam z tobą jak z normalnym człowiekiem i to pomogło mi przełamać nieśmiałość!

- A zatem mogłem także ja coś dla ciebie zrobić i to bardzo mnie cieszy.

Niespiesznie szli w stronę domu, obok siebie, ale oczywiście w pewnej odległości jedno od drugiego. Nie mówili wiele, atmosfera tak była przesycona uczuciami, że jakieś nieopatrne słowo mogło zniweczyć nastrój. Annika bardzo by się chciała dowiedzieć czegoś więcej o życiu Rona w Szkocji, ale pytała już wcześniej i odniosła wrażenie, że on najwyraźniej nie chce mówić o sobie.

Spoglądała na niego z boku. W mglistym powietrzu jego profil rysował się niewyraźnie. Skóra, która z powodu choroby zawsze była blada, teraz zdawała się całkiem przezroczysta.

- Wejdiesz ze mną?

- Teraz nie. Ale za chwilę będę.

- Świetnie! Bez ciebie czujemy się tacy samotni i opuszczeni.

Ron przystanął.

- Naprawdę tak to odczuwacie?

- Oczywiście. Wszyscy czworo.

Ron miał jakiś dziwny wyraz oczu. Annika nigdy przedtem go takim nie widziała. Zniknął ten lekko ironiczny uśmieszek i nagle on również wydał się jej zagubiony. Pożałowała swoich słów.

- Ron... - szepnęła onieśmielona. - Mam nadzieję, że cię zbytnio nie zmęczyłam?

Nie było to pytanie całkiem nieuzasadnione, bo Ron sprawiał wrażenie śmiertelnie wyczerpanego.

Trwało to jednak tylko kilka chwil. Potem znowu się uśmiechnął, a w oczach pojawił się ten charakterystyczny, trochę złośliwy błysk.

- Nic podobnego! Anniko, moja droga.... Ty byłaś troszeczkę zakochana w tym Feorninie, prawda?

- To z pewnością głupie, ale masz rację, troszkę byłam.

Przyglądał jej się badawczo.

- I mimo to chciałaś mnie nazywać jego imieniem? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co ty teraz wyznajesz?

Annika zarumieniła się po korzonki włosów.

- Ale nie masz się czego wstydzić, Anniko. Sprawiałaś wiele radości pewnemu udręczonemu i samotnemu człowiekowi.

Pomachał jej ręką na pożegnanie i odszedł na wrzosowisko.

Annika patrzyła w ślad za nim, dopóki jego wyprostowana sylwetka nie rozplynęła się we mgle. Stłumiła w sobie chęć, żeby za nim pobiec, zarzucić mu ręce na szyję i wyszeptać te wszystkie słowa, których nie powinien był usłyszeć.

ROZDZIAŁ XVIII

Zrobiło się już dosyć późno, ale wszyscy jeszcze spali, gdy Annika wróciła. A ponieważ zimny wiatr przewiał ją do szpiku kości, nie zastanawiając się wiele, wślizgnęła się ponownie do śpiwora i otuliła szczelnie. Przez chwilę szczękała zębami, powoli jednak rozkoszne ciepło rozeszło się po całym ciele. Wkrótce usnęła i spała prawie do południa.

Reszta zachowała się najwyraźniej tak samo, bo gdy w końcu Annika zeszła do kuchni, wcale nie znalazła się tam jako ostatnia, prawdę powiedziawszy, przyszła jako pierwsza. Przejrzała zapasy żywności, pokręciła się przez chwilę przy nakrywaniu do stołu, po czym wyszła na schody i zawołała:

- Jeśli ktoś miałby ochotę na lunch, to powinien zaraz zejść. W przeciwnym razie może być za późno!

Skutek był natychmiastowy. Dziesięć minut później w dużej izbie starego domu zaroilo się od głodomorów, zaspanych i potarganych, tłoczących się wokół stołu. Annika stanowczo zażądała, by jednak doprowadzili się jakoś do porządku. To wielka frajda móc tak komenderować panną Lisbeth. Parkinsonowi, jako jedyne mu porządnie ubranemu i uczesanemu, pozwoliła zostać.

Annika zjadła już wcześniej, teraz więc wyszła z domu rozejrzeć się, czy Rona nie ma gdzieś w pobliżu.

Ale przepadł bez śladu, prawdopodobnie za jej przykładem wrócił do łóżka.

Błądziła bez celu po wrzosowiskach co najmniej godzinę, nie będąc w stanie zebrać myśli. Beładnie krążyły jej w głowie, przeskakując z tematu na temat. Muszę napisać zaraz do Państwowej Kliniki w Oslo, postanowiła. Oni z pewnością będą mogli coś dla Rona zrobić. Muszę go uratować! Muszę! Nie mogę go stracić! No i powinnam poinformować Martina, że wiem o zakładzie, tak dłużej nie można, on musi wiedzieć, dlaczego odnoszę się do niego z taką rezerwą, przecież właściwie ja bardzo bym chciała z nim być, nie, co ja, to nieprawda, to przecież Ron jest tym, który...

Och, żeby tak można było na zawsze pozostać w świecie marzeń! Wrócić do cudownych czasów, kiedy nie znałam żadnego chłopca, nie żywiłam nadziei, że ktoś się mną interesuje! Feornin... Powinnam wrócić do marzeń o Feorninie, to dużo jaśniejsza, dużo wygodniejsza sytuacja, bez zobowiązań...

Teraz jednak powrót od świata marzeń nie był już możliwy. Annika jest dorosła i powinna żyć rzeczywistością, powinna wybrać własną drogę, powinna postanowić, jak będzie

się zachowywać wobec obu mężczyzn, których tu spotkała. Wobec Martina, z którym ma tak wiele wspólnego, z którym potrafi się śmiać i z którym może w największym skupieniu pracować... I wobec Rona, który w jakiś tajemniczy sposób ją fascynuje, a jednocześnie nieubłaganie wciąga ją w coś złego, niebezpiecznego, zakazanego...

No nie, dlaczego Ron miałby pchać ją w nieszczęście? Cóż to za szalone myśli przychodzą jej do głowy? Co złego i niebezpiecznego może jej grozić z jego strony? Ron nie może zrobić jej nic, ponieważ nie wolno mu nawet się do niej zbliżyć. Mimo to jednak jego niesamowite oczy przerażały ją w całkiem niezrozumiały sposób. Czy prawdą jest to, co Martin w złości powiedział? Że Annika boi się seksu. Ona sama nie miała o tym pojęcia i, szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzyła.

Zresztą zastanawianie się nad tym męczyło ją, wróciła więc do domu.

Powitało ją ponure „hej” z dużej izby.

- Coście tacy naburmuszeni? - zapytała.

Nikt nie odpowiedział wprost.

- Właściwie należałoby zapytać, dlaczego ty jesteś taka ożywiona - mruknęła Tone cierpko. - Dzisiaj już po raz drugi odbyłaś długi spacer. Czy wolno wiedzieć, dokąd to chodziłaś tak wcześnie rano?

Zanim Annika zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Martin z tak wyraźną niepewnością w głosie, że wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

- Czy chodziłaś po wrzosowisku z Ronem?

- Tak - potwierdziła cicho. - Ranek był cudowny. Uważam, że wszyscy powinniśmy wcześniej wstawać.

Czuła, że policzki jej płoną.

- Ranek, powiadasz? - prychnęła Tone. - Mnie się zdawało, że to chyba noc! Słyszałam, że wychodziłaś z domu koło czwartej.

Martin zaciskał wargi.

- Tak, chyba rzeczywiście zerwałam się trochę za wcześnie - roześmiała się Annika uszczęśliwiona. A ten jej śmiech był dla Martina niczym ukłucie w serce. - Ale dlaczego wy tu siedzicie tacy zasępieni?

- Zaraz się dowiesz - burknął Jørgen. - Otóż Martin okazał się niebywale inteligentnym człowiekiem.

- Gratuluję, Martin! A co takiego zrobiłeś?

Naprawdę przyjemnie było na niego patrzeć, wzorowy, dobrze wychowany i niezwykle urodziwy młody człowiek. We wszystkim było mu do twarzy, wszystko dodawało

mu urody, nawet ten dwudniowy zarost, nawet te najwyraźniej nie czesane dzisiaj włosy, które jednak nie sprawiały wrażenia potarganych, lecz pełnymi wdzięku lokami opadały na czoło i kark, lśniące i złociste. Islandzki sweter, który miał na sobie, nosił ślady cerowania na łokciach i przy szyi, ale to także wydawało się bardzo interesujące. Martinowi służyło wszystko.

- Chodzi o Parkinsona i Lisbeth - rzekł głucho. - Odprawiłem ich, poprosiłem, żeby wyjechali stąd natychmiast, no... to znaczy może nie bardzo prosiłem, to chyba nie jest najlepsze słowo. Parkinson jednak był bardzo pokorny, powinnaś to była widzieć, przeprosił za to, że Lisbeth weszła wczoraj do twego pokoju, i zadeklarował chęć współpracy. Chciałby nam pomóc, jak się wyraził. Najwyraźniej więc Lisbeth niczego u ciebie nie zdążyła zobaczyć, a tym bardziej wynieść.

- Zgodziliście się na to, żeby zostali?

Martin westchnął. Jego niebieskie oczy unikały spojrzenia Anniki.

- Nie cierpię takiej potajemnej rywalizacji, więc przystałem na propozycję.

- Czy to naprawdę takie straszne, że im pozwoliłeś? - zapytała Annika, nie rozumiejąc, dlaczego wszyscy są tacy przygnębieni.

Martin zerwał się z miejsca, chwycił ją za obie ręce i potrząsał z przejęciem.

- Dziękuję! Serdecznie ci dziękuję za te słowa. Jørgen i Tone mało mnie nie zadziobali za to, że jestem taki mięczak.

- Przecież i tak nie będziemy tego przez całą wieczność trzymać w tajemnicy - rzekła Annika spokojnie. - I nie chodzi o to, żeby prowadzić wojnę... A gdzie oni teraz są?

- Parkinson poszedł do siebie, żeby przynieść papiery. O, już wraca.

Parkinson i Lisbeth weszli do pokoju.

- No to teraz zobaczmy! - powiedział młody uczonec, zacierając ręce. - Teraz będziemy mogli porównać, do czego obie strony doszły.

Usiadł obok Martina, Annika natomiast zajęła miejsce po drugiej stronie swego kolegi. Martin ukradkiem uściskał pod stołem jej rękę na znak, że bardzo jest zdenerwowany. Odpowiedziała mu równie serdecznym uściskiem, chcąc dodać i jemu, i sobie odwagi.

Ponownie stwierdziła, jacy ona i Martin mogliby być sobie bliscy. To trudne i pełne sprzeczności uczucie, powinna odnosić się do niego nieufnie, a nie umiała. Martin wyjaśniał znaczenie trójkąta.

Parkinson siedział przez chwilę niczego nie pojmując, ale zaraz rzekł pospiesznie:

- Tak, tak, zauważyłem go. Tak, natychmiast zrozumiałem, że ten znak ma określone znaczenie.

Gadanie! pomyślała Annika. Słyszysz o tym po raz pierwszy, mogłabym przysiąc.

- No i właśnie to uświadomiło nam, że musi istnieć trzecia inskrypcja ogamiczną - mówił dalej Martin.

- Trzecia? - Parkinson wytrzeszczał oczy i raz po raz oblizywał nerwowo wargi. - No tak, to oczywiście, natychmiast przyszło mi to do głowy. Mnie także.

- To znaczy, że udało ci się odczytać tekst znajdujący się na kamieniu w muzeum? - zapytał Jørgen, nie kryjąc złości.

- Eee...

- No tak, bo w przeciwnym razie nigdy byś się nie domyślił, że może istnieć trzeci zapis.

- Jasne! Oczywiście, że odczytałem tamte słowa!

Martin nie zwrócił uwagi na to, że Jørgen stara się na wszystkie sposoby usadzić Parkinsona, i mówił dalej:

- Na tej inskrypcji jest jednak rysa, więc nie udało nam się odczytać tych ostatnich i najważniejszych słów.

- Pokaż to, co do tej pory odczytaliście. Zaraz to porównamy i z pewnością bez trudu rozszyfrujemy resztę - zachęcał Parkinson.

Nareszcie Martin zrozumiał, że tamten próbuje go podejść.

- No, a ty, ile tobie udało się zrozumieć?

Parkinson natychmiast się opanował.

- No, ja miałem przecież tylko dwie inskrypcje do dyspozycji.

- I co...?

- Wy znaleźliście przecież jeszcze jedną?

- Owszem - potwierdził Martin cierpliwie.

- Czy mógłbym rzucić na to okiem?

Martin domyślał się, że Parkinson nigdy nie przyzna się do tego, jak niewiele zdołał zrozumieć, dał więc za wygraną. Jak sobie życzysz, ty nadęty mędrku, pomyślał.

Wyjął papiery i wyjaśnił od początku do końca, jak i gdzie znaleźli trzecią inskrypcję, a także cały tekst. No, powiedzmy, prawie cały.

Parkinson mienił się na twarzy. Annika przyglądała mu się ponuro, obserwowała jego reakcje, kiedy starał się przyjmować do wiadomości jedną sensację po drugiej. Martin był wobec niego złośliwy, jak wtedy gdy przedłożył mu inskrypcję ogamiczną i poprosił o przetłumaczenie jej na staroiryjski. Parkinson pocił się i wyjąkał kilka wzajemnie się wykluczających teorii, w najbardziej koszmarnych snach nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś

postawi go publicznie przed takim zadaniem. I nagle Annika uświadomiła sobie, jak niebywale inteligentny jest Martin, ile wie, jak wspaniale myśli. Parkinson musiał często przeżywać ciężkie chwile z tym studentem, który wszystko chwycił w lot i uczył się szybciej niż jego wykładowca! I dopiero teraz wyszła na jaw cała nędzna natura Parkinsona.

Kiedy doszli do ukrytej korony i królewskiego miecza, zrobił się purpurowy na twarzy, rozluźnił węzeł krawata i rozpiął koszulę pod szyją. Żeby tylko nie dostał apopleksji, myślała Annika. Oczy niemal wychodziły mu z orbit. Lisbeth bąkała tylko od czasu do czasu: „O Jezu!” i inne równie inteligentne komentarze.

Parkinson obliznął wargi.

- Ja się tym zajmę - oświadczył. - Nie będzie trudno odczytać te zamazane słowa! Pójdę do siebie na górę i raz dwa się z tym uporam.

- Myślałem, że będziemy pracować wspólnie, pomagać sobie - przerwał Jørgen ostro.

- Oczywiście! Oczywiście, że tak! - zapewniał Parkinson. Prawie się jąkał z przejęcia.

- W takim razie nigdzie nie pójdziesz, wszyscy zostaniemy tutaj - zdecydował Jørgen.

- Ale lepiej się myśli... No, dobrze, jak chcecie. Ale posłuchajcie, uważam, że powinniśmy zrobić konkurs. Co wy na to? Ta strona, która pierwsza odczyta napis, zyskuje prawo do całego znaleziska...

Zaległa cisza.

- I myślisz, że tak będzie najbardziej sprawiedliwie? - zapytał Martin podejrzenie łagodnym głosem. - Dostałeś wszystko jak na tacy, bez najmniejszego wysiłku, i teraz chciałbyś to zagarnąć...

- Bez wysiłku? A ty myślisz, że co ja robiłem przez ostatnią dobę?

- No i do jakich rezultatów doszedłeś?

- Odczytałem prawie wszystko.

- Bądźmy szczerzy, Parkinson! Nie odczytałeś niczego! Przywlokłeś się tutaj nieproszony, bo chcesz nam ukraść całe odkrycie. Dobrze wiemy, o co ci chodzi. Mogłeś po prostu przyjść i powiedzieć: „Potrzebuję tego odkrycia, bo dzięki niemu mógłbym zostać profesorem. Czy mogę pojechać i pracować razem z wami?” Wtedy byśmy się zgodzili bez słowa. Ale ty nie! Ty musisz działać podstępnie! Węszyć, śledzić, posuwać się do kradzieży! Nie mamy nic przeciwko temu, żeby się podzielić znaleziskiem, ale na takie metody się nie godzimy. Sprawa musi być czysta. Chcesz z nami zostać, to proszę bardzo, ale na naszych warunkach. Zrozumiałeś?

Parkinson zaciskał wargi i głośno wciągał powietrze przez nos. Sprawiał wrażenie, że zaraz, śmiertelnie obrażony, wyjdzie z pokoju, ale zdołał się opanować, choć ręce wciąż mu drżały.

- Martin, ty mnie źle rozumiesz i robisz to z całą premedytacją. Ale jak chcesz, ja nie należę do upartych. Ustępuję.

- Znakomicie! Wobec tego możemy wrócić do tekstu?

Czas mijał. Chmury stały się ciemnoniebieskie, burzowe, powietrze niemal nieznośnie ciężkie. Annika była niespokojna i zaczynała się bać. Coś się teraz stanie, myślała. Tylko co?

ROZDZIAŁ XIX

Dziewczęta przygotowały obiad, ale panowie ledwo zauważyli, że w ogóle coś jedzą, nie mówiąc o tym, co jedzą. Talerze ustawili wśród papierów, co chwila strząsali okruszyny chleba i ścierali plamy sosu z organicznych napisów. Rozpatrywali wszelkie możliwe rozwiązania, ale wciąż bez większych rezultatów. Parkinson mówił i mówił, wygłaszał uczone teorie, które miały zaimponować studentom, ale jeśli imponowały, to chyba tylko mnogością długich i mało zrozumiałych słów, z których powodzi Annika nie była w stanie niczego sensownego wyłowić. Lisbeth natomiast patrzyła na niego z pełnym oddaniem podziwem i raz po raz spoglądała na zebranych, żeby sprawdzić, czy widzą, jakiego zdolnego narzeczonego sobie znalazła. Tone i Jørgen sprawiali wrażenie raczej umiarkowanie zachwyconych.

Po obiedzie znowu wszyscy poszli do zagajnika i niemal prześwietlali wzrokiem kamień z inskrypcją. Annika biegała wokół i narzekała, że depczą grób Feornina, chociaż kwiatki wszyscy uważnie omijali.

Przyszedł także Ron. Gdy stwierdził, że Parkinson i Lisbeth biorą udział w oględzinach, jego twarz zmieniła się tak, że Annika starała się jak najszybciej o tym zapomnieć. Musiała to zrobić. Nie mogła zachować w pamięci tego dzikiego błysku w jego wzroku, jeśli miała wierzyć, że Ron jest człowiekiem przy zdrowych zmysłach.

- Ron - rzekł Martin w desperacji - Kompletnie się wszystko zaklinowało. Kamień jest za bardzo zniszczony. Nie odczytamy tych brakujących słów!

- Czy mógłbym spojrzeć na tekst? - poprosił Ron, a jego głęboki głos i ów obcy, śpiewny akcent ponownie rozpałył niepokój Anniki.

Martin podał mu kartkę, na której znajdowały się niepełne słowa.

- Nie, nie ten! Chciałbym zobaczyć ogam!

Martin przerzucał nerwowo stos kartek, w końcu znalazł właściwą, tę, na której wypisana była cała wiadomość dla Feornina.

- Spójrz tutaj! Jak pamiętasz, odczytaliśmy to tak: „Ukryliśmy koronę i królewski miecz pod... na... Cadallan król”. To ta końcówka: VO.EN... UNII VAR SINDE .L.B. przyprawia nas o ból głowy. Gdyby tak wziąć najpierw słowo: .EN...UNII, to miałbyś nam coś inteligentnego do powiedzenia?

Wszyscy czekali w milczeniu, gdy Ron studiował tekst. Parkinson dyszał głośno, podniecony.

W końcu Ron podał kartkę Martinowi.

- To nie jest jedno słowo - powiedział. - To dwa słowa.

- Dwa - powtórzył Martin głupawo.

- Oczywiście! - wtrącił się błyskawicznie Parkinson. - Musisz przecież zrozumieć, że... Końcówka „II” suponuje, że przedtem znajdować się musiał rzeczownik.

- Papuga! - warknął Martin ze złością. - Dlaczego nie wpadłeś na to pierwszy, tylko dopiero teraz, kiedy Ron... Po fakcie to każdy może być mądry!

Ron mówił dalej:

- Ale masz całkowitą rację. VO to w tym wypadku znaczy „pod”.

- Wiesz, co oznacza ten napis? - zawołał Parkinson i w podnieceniu zbliżył się za bardzo do Rona, który odskoczył w bok.

- Nie wiem, ale mogę się domyślać. Nie jestem tylko pewien, czy...

Rzucił, delikatnie mówiąc, powątpiewające spojrzenie w stronę Parkinsona.

- All right, Ron - uspokoił go Martin. - Parkinson i Lisbeth są teraz z nami. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

- Rozumiem - powiedział Ron i demonstracyjnie zwrócił się do Martina:

- A co byś powiedział na to, że to drugie słowo, to DUNII?

- DUNII? *Duini*? To by znaczyło: *męża*. Coś, co należało do męża? - wtrącił natychmiast Parkinson.

Ron zdawał się tego nie dostrzegać. Czekał na odpowiedź Martina.

Annika zaglądała Martinowi przez ramię.

- No właśnie, ten znak mógłby oznaczać D, prawda?

- Mógłby. Mógłby też znaczyć wiele innych rzeczy - westchnął Martin. - Ale masz oczywiście rację, Ron, a gdybym ja też mógł być mądry po fakcie, to bym wam powiedział, że ja też o tym słowie myślałem. Tylko że *męża*! Nie mogłem się w tym doszukać sensu.

- No, ale mamy jeszcze to .EN... - rzekła Annika. - Co ty na to, Ron?

- Z tego co widzę, to te prawie zatarte litery mogłyby się układać w słowo QENNU - odparł Ron wolno.

Martin powtórzył:

- QENNU DUNII? *Chiunn duini* w staroiryjskim... *Głowa męża*? „Ukryliśmy koronę i królewski miecz pod głową męża na...” Nie, to przecież szaleństwo! Pod czyją głową? Cadallana? Nie, Ron, to jakiś błędny trop!

Annika z wielką uwagą wpatrywała się w napis na kamieniu. Siedziała w kucki, bacząc pilnie, by nie zdeptać kwiatów Feornina.

- Teraz, kiedy słyszałam propozycję Rona, nie mogę wypatrzeć tu niczego innego.

- Jesteś pod jego wpływem - skrzywił się Jørgen. - Teraz już naprawdę niczego sama nie wymyślisz!

Martin bez słowa ukucnął obok Anniki.

- Rozwiązanie wcale nie jest takie głupie, Ron. Wygląda na to, że naprawdę to właśnie zostało tu wypisane. Żeby tylko nie ta jakaś idiotyczna „głowa”!

Annika chwyciła go za ramię tak gwałtownie, że oboje o mało nie stracili równowagi i nie upadli. Zdołali przytrzymać się kamienia.

- Co się stało? - krzyknął Martin.

Annika wpatrywała się przed siebie. Przypomniała sobie dzień, kiedy po raz pierwszy poszli na cypel. Pamiętała Martina opartego o wysoki kamień i spoglądającego w morze...

- Nie pamiętasz? Tam na wzgórzu, zaraz za domem? Jest tam taki wielki kamień przypominający ludzką głowę.

- Oczywiście! - zawołała Tone.

Martin patrzył na dziewczęta zbity z tropu.

- Jakoś nie mogę sobie przypomnieć...

- To jasne, że go nie pamiętasz! - zawołał Jørgen. - Annika ma rację, opierałeś się o ten kamień, więc nie mogłeś go widzieć!

- Parkinson - rzekł Martin. - Teraz masz okazję przyczynić się do rozwiązania zagadki. Jak będzie po staroirlandzku wzgórze, wzniesienie?

Wzrok Parkinsona wyrażał nerwowość. Uczony rozpaczliwie szukał w pamięci jakiegoś punktu zaczepienia.

- No, istnieje wiele takich słów na określenie góry, szczytu i...

- Ech, powiedziałem przecież: wzgórze! Annika, tobie nic nie przychodzi do głowy?

- Nie. W tej sprawę nie umiem ci pomóc.

Martinowi zaczynało coś powoli świtać.

- Czy to nie *tsleib*?

- Oczywiście! - krzyknął Parkinson. - Już to miałem na końcu języka!

- Co by to było w starym piśmie ogamicznym? Musimy to zrekonstruować, odczytując napis wspak, rozumiecie.

- Zdaje mi się, że to nareszcie zaczyna wyglądać obiecująco - powiedział Jørgen zerkając na kartkę Martina. - Mamy jedno L i jedno B, a to słowo, które wymieniłeś, ten *tsleib*, zawiera przecież obie litery. Tylko że zostały chyba umieszczone w niewłaściwych miejscach, prawda?

- Nie - powiedział Martin głosem ochryplym z podniecenia. - Nie, wiecie, myślę, że znaleźliśmy odpowiednie słowo! Powiedz mi, Parkinson, czy *tsleib* mogłoby w starym języku brzmieć na przykład SLEBE?

Parkinson kiwał głową z miną wszystkowiedzącego.

- No pewnie, jeśli brać pod uwagę, że wewnętrzne zmiany liter...

Jørgen, który chciał uniknąć kolejnego pozbawionego znaczenia wykładu, przerwał mu:

- My wierzymy w to, co mówi Martin. Uważam, że trzeba spróbować z tym kamieniem.

Annika zerwała się na równe nogi.

- Chodźcie wszyscy, chodźcie! Coś zobaczycie!

Kiedy wyszli z zagajnika na wrzosowiska wyglądające niesamowicie w przedburzowym świetle, pokazała im łańcuch wzgórz za domem.

- Popatrzcie tam!

Z miejsca, w którym stali, kamień był wyraźnie widoczny. Teraz może już tak dokładnie ludzkiej głowy nie przypominał, ale zdawali sobie przecież sprawę, że w innym oświetleniu wygląda inaczej. Teraz był wieczór. Północne słońce żarzyło się na granicy nieba i morza, częściowo przesłonięte granatową chmurą. Żłocista połyskliwa smuga światła kładła się na ołowianosza - rej wodzie.

- Ron, jesteś geniuszem! - wykrztusiła Tone.

Roześmiał się w odpowiedzi.

- To Annika zapamiętała kamień na wzgórzu.

- Wszyscy jesteśmy geniuszami! - wykrzykiwał Martin. - Knut, który się domyślił, że wieszak ciotki zawiera jakąś tajemnicę, Tone, która wypatrzyła na nim trójkąt, Annika i ja, którzyśmy odczytali ogamiczne znaki. Jørgen, który odkrył, że musi istnieć trzecia inskrypcja, i Ron, który wskazuje nam wyjście za każdym razem, kiedy sami zapędzimy się w kozi róg.

Wszyscy spojrzeli na Lisbeth i Parkinsona, którzy z minami niewiniątek czekali na swoją porcję pochwał. Ale, niestety, ta napuszona para niczym się jeszcze nie zasłużyła.

W kilka minut później wspinali się wąską ścieżyną na wzgórze i wkrótce znaleźli się na wzniesieniach, dokładnie ponad zabudowaniami. Ron był z nimi. Jego oczy, nieustannie wpatrzone w Annikę, płonęły jakimś niezwykle intensywnym żarem. Ona nie miała odwagi na niego patrzeć, ale całym ciałem odczuwała jego bliskość.

Oczy Parkinsona również płonęły, ale to, co tego badacza ożywiało, to była żądza, pragnienie, by zagarnąć wszystko dla siebie. Nerwowo poruszał palcami, jakby już brał w nie

królewską koronę. Annika nie mogła tego pojąć. Nie była w stanie zrozumieć, jak człowiek może sam siebie tak upokarzać jak Parkinson, pozwalać, by studenci, jego własni uczniowie, mówili mu obraźliwe słowa. Ona na jego miejscu wpadłaby w złość, a w każdym razie odwróciła się na pięcie i odjechała stąd natychmiast.

Tylko że dla niej ta cała królewska korona była jedynie fascynującą przygodą, dla Parkinsona zaś mogła się okazać stopniem do kariery, o jakiej zawsze marzył. Jakie wobec czegoś takiego znaczenie może mieć fakt, że naraził się na upokorzenie wobec kilkorga studentów?

Martin i Jørgen chodzili wokół kamienia.

Był wysoki niczym rosnący mężczyzna i rzeczywiście miał kształt ludzkiej głowy spoglądającej w stronę morza, na cypel. Stał przerażająco blisko stromego stoku, po którym bardzo łatwo było się zsunąć w dół, gdyby się nieostrożnie stanęło za kamieniem.

Parkinson klęczał i węszył jak pies wokół podstawy głazu.

- Skończ z tym! - krzyknął Jørgen. - Można by oczekiwać, że przyszły profesor ma więcej rozumu! Czy ty nigdy nie widziałeś archeologicznych wykopalisk?

Parkinson wstał z godnością i otrzepał spodnie na kolanach.

Tone powiedziała niepewnie:

- Mam takie niejasne podejrzenie, że chyba powinniśmy zgłosić nasze znaleziska u konserwatora, zanim zaczniemy kopać. Zgłosić wszystko, co znaleźliśmy na Steinheia.

- To już chyba i tak trochę spóźniona propozycja - mruknęła Annika.

W oczach Parkinsona pojawiła się panika. Zgłosić odkrycia? To zajmie mnóstwo czasu, wiele dni, a w końcu cała sława spłynie na kogoś innego. Nie wolno do tego dopuścić!

- To wcale nie jest konieczne - oświadczył wyniośle. - Ja jestem autorytetem w tej dziedzinie...

- To już raczej Jørgen! - przerwał mu Martin.

- Chciałem powiedzieć, autorytetem w zakresie znalezisk celtyckich - odciął się Parkinson, który zaczynał się irytować tym nieustannym zwracaniem mu uwagi - Biorę na siebie odpowiedzialność za to wszystko. A poza tym wy wszyscy również macie pewne doświadczenie, jeśli chodzi o źródła prahistoryczne, zwłaszcza inskrypcje ogamiczne. No, powiedzmy... Wszyscy, oprócz Tone, rzecz jasna. Rona uważam za osobę postronną.

Jego niechęć do Szkota była czymś zdumiewającym, choć w tym przypadku instynkt samozachowawczy go nie zawodził. Oczy Rona rozbłysły nieprzyjemnie, więc Martin powiedział pospiesznie:

- Ron wie na temat ogamu dokładnie tyle samo co my, jeśli nie więcej! To nie on jest tutaj osobą postronną!

- Martinie Øyen! - uniósł się wykładowca, patrząc na swego studenta zmrużonymi oczyma. - Jeśli wykluczycie mnie z tych badań, natychmiast doniosę na was do władz, że nie zgłosiliście wykopalisk i że narażacie na szwank niezwykle cenne znaleziska!

- Przeklęty karierowicz! - krzyknął Martin. - Czy naprawdę nie możemy pracować w zgodzie? Nigdy by się nic podobnego nie przytrafiło, gdyby profesor był z nami.

- Ale go nie ma, natomiast ja owszem, jestem! - odciął się Parkinson z paskudnym uśmiechem. - I jako najwyższy rangą w całej grupie obejmuję dowodzenie. Proszę mi natychmiast przekazać wszystkie wyniki dotychczasowych dociekań!

- Ponieważ do tej pory bawiliśmy się jak dzieci w piaskownicy, to nie odkryliśmy niczego - poinformował go Jørgen. - Ale zaraz znajdziemy!

Obie strony obrażone na siebie przystąpiły jednak do dokładnych oględzin kamienia, ale niewiele to dało. Wyglądało na to, że sami głazu z miejsca nie ruszą.

- Osobiście uważam, że tu po prostu niczego nie ma - powiedziała Lisbeth, która siedziała kawalek dalej na trawie i paliła papierosa, dość już znudzona tymi poszukiwaniami.

- Nieprawda - oburzył się Jørgen. - Moim zdaniem właśnie tutaj powinniśmy szukać. Tylko że w ciągu wielu setek lat kamień osiadł głęboko w ziemi. Można się domyślać, że jest pod nim co najmniej kilka warstw. Ziemia, gruz, drobne kamienie przemieszane z piaskiem. To wszystko osiadło pod jego ciężarem...

- Chcesz powiedzieć, że korona mogła zostać zgnieciona?

- Nie wiadomo. Martin sądzi, że w ogóle już nie ma żadnej korony. Bo została zżarta przez rdzę.

Ta informacja Parkinsona nie zmartwiła. - Nawet resztki takiej korony z żelaza miałyby wielkie znaczenie.

- A poza tym mamy przecież miecz... - dodał Jørgen.

W tym momencie wszyscy uświadomili sobie, że o mieczu Feornina nawet nie wspomnieli. W końcu jakąś tajemnicę musieli zachować tylko dla siebie! Spoglądali ukradkiem na Rona, który uśmiechał się ledwo dostrzegalnie, najwyraźniej bardzo zadowolony.

- Jednego się tylko boję - powiedział Parkinson. - Tego mianowicie, że ktoś mógł już znaleźć koronę przed nami. To by była prawdziwa katastrofa!

Daleko, daleko nad horyzontem rozległy się pierwsze pomruki burzy.

Annikę znowu ogarnął ten niezrozumiały strach. Stop! chciała krzyknąć. Dajcie spokój! Nie szukajmy już więcej!

- Druidowie - szepnęła sama do siebie. - Druidowie znali się na czarach.

- To prawda - zgodził się Martin i Annika drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że mówi głośno. - Ale, Anniko kochana, ty chyba nie jesteś jasnowidzem?

- Na ogół nie bywam, ale tutaj jest coś nie w porządku - mruknęła do niego. - Okropnie się czegoś boję!

- Osławiona damska intuicja - uśmiechnął się. - „Czuję, że coś się stanie”, prawda? Trudno tylko określić, co. Puste gadanie i histeria, moja droga!

- Co ty o tym wiesz? Nie jesteś kobietą. No dobrze, histeryczny nastrój minął, zapomnij o wszystkim. Ale zapewniam cię, że to bardzo podniecające mieć przeczucia!

Tone podjęła kolejną nieudaną próbę wsunięcia ręki pod kamień.

- Powinniśmy mieć lewarek - westchnęła.

- Lewarek? - roześmiał się Jørgen. - No wiesz?

- A masz lepszą propozycję? Może powinniśmy rozbić młotkiem i dłutem ten głaz na kawałki?

- Ten kamień tysięcy ton nie waży - wtrącił się Parkinson. - Chciałbym powiedzieć, że...

- Och, przestań! - uciszyła go Tone. - Ja chciałam być dowcipna!

- Aha, no to tak trzeba mówić! - oburzył się Parkinson.

- Nie mam zwyczaju informować, że właśnie powiedziałam dowcip - warknęła Tone ze złością.

- Jakiś podnośnik... - rozmarzył się Martin.

- Niegłupi pomysł - zgodził się Jørgen. - Przydałyby się nawet dwa. Jeden z tamtej strony, gdzie Tone próbowała włożyć rękę, a drugi tutaj, gdzie wyraźnie widać pustą przestrzeń. W ten sposób podnieśliśmyby głaz z jednej strony i podparli go mniejszymi kamieniami.

- Taki podnośnik jak do samochodów? - zapytała Annika, która o technice nie miała najmniejszego pojęcia. - Ale czy takie urządzenie nie jest za małe?

- Dlaczego za małe? Bywają przecież i większe - odparł Jørgen. - Na dole we wsi widziałem warsztat samochodowy.

Lisbeth zerwała się na równe nogi.

- Och, to cudowne! Jedźmy do wsi! Jedźmy, błagam! Widziałam plakat, że tam dzisiaj wieczorem będzie zabawa taneczna. Jeśli jeszcze z godzinę zostanę na tym cholernym pustkowiu, to zwariuję!

- Tańce? - syknął Parkinson ostro. - Tańce teraz?

- A dlaczego nie? I tak nie ruszycie z miejsca tego grzmota dziś wieczorem, bo się zaraz robi ciemno. A poza tym czy nie powinniśmy uczcić odkrycia?

Podczas gdy wszyscy starali się jakoś oswoić z tą nieoczekiwaną propozycją, Martin patrzył na Annikę. Stała w pobliżu Rona i choć odległość między nimi była jednak wyraźna, a oboje unikali patrzenia sobie w oczy, Martin wyczuwał istniejące między tymi dwojgiem jakieś magnetyczne napięcie. Poczul nagle skurcz dojmującego, chociaż całkowicie niezrozumiałego bólu. Ona jest moja, Ron, moja, czy ty tego nie widzisz? Ty przecież i tak nie możesz jej mieć, więc dlaczego dręczysz i ją, i siebie?

Wykiełkowała w jego umyśle paskudna myśl. No, mała Panno Nikt, teraz zobaczysz, jak to jest, kiedy się odrzuca Martina Øyena!

- Uważam, że powinniśmy pójść! - zawołał. - Annika, Tone? Idziecie z nami, prawda?

- Chętnie - zgodziła się Tone. - Potrzebujemy trochę odmiany po tym wymarłym pustkowiu. Trochę cywilizacji, powiedziałabym.

- Cywilizacji? Na wiejskiej zabawie? - roześmiał się Jørgen, ale on również uznał, że należy pójść.

- Ja nie wiem... - ociągała się Annika, spoglądając niepewnie na Rona.

- Żadne nie wiem - oburzyła się Tone. - Idziesz z nami i nie ma gadania. Ty także, Roni.

Ale on tylko się uśmiechnął w odpowiedzi.

Mimo to nie prosił, by Annika z nim została. Natomiast Martin położył jej poufale rękę na ramieniu i namawiał, by nie psuła wszystkim zabawy i poszła. - Bo co ja bym tam bez ciebie robił? - zakończył takim tonem, że odparła zakłopotana:

- Ale przecież ja jeszcze nie mogę chodzić.

- Możemy popłynąć łodzią - zaproponował Jørgen. - W dzień obejrzałem waszą łódź - zwrócił się do Parkinsona. - Nie jest uszkodzona. Dzięki temu zresztą nie będziemy musieli taszczyć ciężkich podnośników przez góry.

Annika nie przestawała patrzeć Ronowi w oczy, błagała go bez słów, by coś powiedział, ale on się nie odezwał.

- Co z motorem? - zapytała blado.

- Zaraz go wypróbujemy! - zawołał Jørgen.

Pospieszyli wszyscy na brzeg. No i teraz było oczywiste, że Ron nie może się z nimi wybrać. W jednej małej łodzi, w zimnie i tłoku podróżować nie mógł. Bez słowa skierował się w stronę domu. Annika długo patrzyła w ślad za nim, wciąż się wahała, wciąż miała wrażenie, że to niesprawiedliwie zostawić go tu samego.

Ale on przecież nie dał jej nawet najmniejszego znaku, żeby została...

Lisbeth spoglądała w niebo.

- A jak będzie burza? Albo deszcz?

- Burza przechodzi bokiem, chyba widzisz - burknął Parkinson. - Trzeba się pospieszyć i jak najszybciej sprowadzić te narzędzia!

Pocziwy Parkinson miał tylko jedno w głowie.

Po kilku nieudanych próbach silnik zapalił. Martin pociągnął Annikę na ławeczkę, usiadł przy niej i okrył oboje swoją dużą kurtką. Annikę ogarnęło intensywne uczucie wspólnoty. Przez całą drogę trzymał ją mocno, choć bardzo delikatnie w objęciach, dotykał wargami jej włosów i okazywał wiele czułości. Annika była zbyt niedoświadczona, by przejrzeć jego podstępą grę, a poza tym przecież zawsze bardzo lubiła Martina, natomiast wiadomość o cynicznym zakładzie przeżyła boleśnie. I właśnie teraz Martin się zmienił, był kimś innym, był znowu tamtym wesołym chłopakiem, którego spotkała na prywatce i który jej się natychmiast tak bardzo spodobał. Teraz najwyraźniej nie tylko seks miał na myśli, zachowywał się wspaniale, dokładnie tak jak Annika zawsze marzyła, by chłopak się wobec niej zachowywał. Cały ten zakład pewnie Knut sobie wymyślił, Martin i ona stanowili najwspanialszą parę przyjaciół na świecie, a może nawet łączyło ich coś więcej niż tylko przyjaźń? Coś nieokreślonego, jakiś delikatny ton, który się zawsze pojawia między kobietą i mężczyzną, kiedy oni...

Mój Boże, ale na świecie jest jeszcze Ron! Podniecenie, pragnienie i lęk przed nieznanym, a także to prawie nieznośne porozumienie między nią i Ronem.

Kiedy znaleźli się w zatoce, nad którą położona była wieś, Annika miała w głowie kompletny zamęt.

ROZDZIAŁ XX

Przed budynkiem, w którym odbywały się tańce, siedzieli w samochodach młodzi mężczyźni, rozmawiali ze sobą, popijali, słuchali radia i starali się podrywać przechodzące dziewczyny. Nigdy do środka nie wchodzili, siedzenie w samochodach stanowiło główną formę ich sobotniej rozrywki.

Sala taneczna była taka sama jak wszystkie tego rodzaju lokale na norweskich wsiach. Stary dom z początku wieku, piękne drewniane ściany pomalowane na brudnożółty kolor, ostre, a mimo to kiepskie oświetlenie - nagie żarówki pod sufitem. Smutek wnętrza próbowano pokryć kolorowymi łańcuchami z krepiny, ale nie na wiele się to zdało, bo papier szybko się podarł.

Annika wmawiała sobie, że czuje się znakomicie w tym tłoku i duchocie. Nie trwało jednak długo, gdy stwierdziła, że dzieje się coś dziwnego. Jørgen i Tone szeptali z sobą o czymś gorączkowo, z gniewnymi minami, po czym zniknęli. Parkinsona w ogóle nie było widać, zobowiązał się, że przeniesie pożyczone podnośniki do łodzi.

Natomiast Martin i Lisbeth tańczyli. Tańczyli ze sobą. Jeden taniec po drugim. Annika tymczasem siedziała sama w kącie koło dużego kominka. Martin nawet nie spojrzał w jej stronę. Oczywiście podchodzili różni młodzi ludzie i prosili ją do tańca, ale wtedy ze smutnym uśmiechem pokazywała swoją obandażowaną nogę i chłopcy znikali. Nie miała ochoty zawierać bliższej znajomości z zapachem bimbru, jaki się nad nimi unosił.

Powrócił niepokój. Troskliwość i czułość Martina w łodzi zdumiały ją, ale przecież wiedziała, że on, jeśli tylko chce, potrafi być niebywale sympatyczny. Teraz zdumiewał ją po raz drugi i, chociaż nie chciała się do tego przyznać, głęboko ranił. A może tam, w łodzi, chodziło mu tylko o to, by wzbudzić zazdrość Lisbeth?

Annika tęskniła za Ronem, tęskniła za nim przez całą drogę, chociaż ją to przerażało i chociaż on się wcale nie przejął tym, że Annika wyjeżdża, tęskniła, żeby znowu spojrzeć mu w oczy. Było to niebezpieczne i podniecające uczucie, ale nie potrafiła mu się przeciwstawić.

Wstała i wyszła na dwór.

Wołano za nią niemal ze wszystkich samochodów, zaczepiali ją też „pojedynczy” chłopcy na drodze, ale ona szła po prostu przed siebie, mała i drobna, zraniona i bardzo samotna.

Była już ciemna noc, gdy znalazła się na szczycie wzgórza i rozpoczęła wędrówkę w dół, ku morzu. Znalazła sobie kostur, żeby odciążyć trochę chorą nogę. Bardzo tego wsparcia potrzebowała, bo stopa bolała coraz bardziej.

Nie czuła się najlepiej wędrując w ciemnościach po tym ponurym pustkowiu. Prawdę powiedziawszy bardzo się bała ciemności. Wszystko wokół niej trwało w przygnębiającej ciszy, góry, na których to tu, to tam białe łąki śniegu, drzewa w bezruchu, uboga natura, a przede wszystkim niebo, wszystko ją przerażało. Ta złowroga cisza kładła się na ziemi jak ołów. Od czasu do czasu na horyzoncie rozpaliał się pomarańczowy płomień i zaraz gasł z pomrukiem grzmotu. Trudno było oddychać, powietrze zrobiło się ciężkie i lepkie.

Niewielki deszcz bardzo by odświeżył atmosferę, pomyślała. Ale deszcz wciąż nie zaczynał padać.

Schodzenie po stromym zboczu dawało się we znaki, Annika krzywiła się z bólu przy każdym kroku. Postanowiła, że nie będzie się oglądać za siebie. Nagle drgnęła, bo zupełnie nieoczekiwanie wyłoniła się tuż przed nią z mroku ogromna kamienna głowa. Znalazła się oto niemal w domu. Nie potrzebowała już kostura.

Odrzuciła go jeszcze w lesie.

Na wrzosowisku ktoś na nią czekał. Wiedziała, że on tam będzie, ale na widok jego wyprostowanej postaci, ubranej na czarno, z płomiennie rudymi włosami połyskującymi w bladym świetle nocy fala gorącego szczęścia zalała jej serce.

Wyszedł jej na spotkanie!

- Wiedziałem, że przyjdiesz - powiedział niskim, ostrym głosem.

Ona skinęła tylko głową, nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Serce biło jej jak młotem.

- Boli cię noga? - zapytał.

- Trochę. Ale to nic.

Jakby się umówili, ruszyli oboje w stronę cypla. Niebo ciągle zasnuwały burzowe chmury. Wrzosowisko trwało w ciszy, jakby czekało.

Na co?

Minęli wysoki kamień, na którym kiedyś, bardzo dawno temu, pewien król polecił wypisać wiadomość dla swego syna. Annika pogłaskała chropowatą powierzchnię.

Ron uśmiechnął się.

- Czy wciąż jeszcze myślisz o tym Feorninie?

- Myślę, oczywiście - roześmiała się zakłopotana. - Przepraszam!

- Zapomnij o nim dziś w nocy - poprosił Ron nieoczekiwanie.

- Dobrze. Zapomnę - obiecała Annika. Głos jej drżał, a serce wciąż biło mocno.

Odwróciła się i patrzyła na zagrodę Steinheia. Jakież to opuszczone i ponure miejsce pod tym skalnym nawisem! Nie mogła pojąć, jak Ron może tu mieszkać całkiem sam, a w dodatku chodzić nocą po wrzosowiskach! W nocy wszystko tu było jeszcze bardziej przerażające!

- Czy w Szkocji czeka na ciebie jakaś kobieta? - zapytała.

Pytanie zdawało się go bawić, ale odpowiedział z całą powagą:

- Nie. Nigdy w moim życiu nie było żadnej kobiety.

- A rodzina?

Roześmiał się.

- Mnóstwo czasu minęło od naszego ostatniego kontaktu. Nie mam nikogo! Absolutnie nikogo. - Po chwili milczenia dodał: - Jestem pewnie najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

- Teraz już nie. Teraz masz mnie!

- Naprawdę? - szepnął.

Annika nie była w stanie odpowiedzieć tak od razu. Pytanie było dla niej skomplikowane. W końcu oświadczyła z powagą:

- Nigdy nie zapomnę tych dni w Steinheia. I nie chcę, żeby się skończyły!

Przy ostatnich słowach głos jej się załamał.

A wtedy on powiedział tak cicho, że ledwo go dosłyszała:

- Nie zapomnij o mnie, Anniko! Cokolwiek się stanie, zachowaj mnie w pamięci takim, jakim mnie poznałaś. Obiecujesz?

- Przecież wiesz, że cię nie zapomnę. Ale...

- O tym porozmawiamy później.

Milcząc szli ku morzu. Z daleka słyhać było głuchy grzmot.

- Ron! - jęknęła nagle Annika. - Ron! Dokoła ciebie wirują małe niebieskie iskierki!

- Wokół ciebie również! - zawołał zdumiony. - A nad głową masz delikatne błękitne płomienie!

- Naprawdę?

- Naprawdę, i wygląda to dosyć upiornie.

- To chyba ogień świętego Elma - zastanawiała się Annika. - To muszą być ogień świętego Elma, powietrze jest takie naelektryzowane. Czytałam kiedyś o tym, ale do głowy by mi nie przyszło, że sama zobaczę takie zjawisko.

Błękitne płomyki tańczyły wokół Rona, ślizgały się po rękach, pełgały po włosach.

- Teraz nie musisz się bać, że cię dotknę! - zawołała ze śmiechem. - Nie odważyłabym się za nic na świecie!

Niezwykły fenomen zanikał powoli w miarę, jak zbliżali się do cypla. Tam przystanęli, Annika z pewnym wahaniem. Niebo było teraz granatowoczarne, a powietrze duszne i ciężkie. Bała się, chociaż nie miała po temu żadnych powodów.

- Zaczęłam pisać list do dobrego szpitala - powiedziała niepewnie, wiedziała bowiem, że on nie lubi rozmawiać o tych sprawach. - Wyślę go jutro. Opowiedziałam lekarzom o tobie i zapytałam, czy byliby w stanie ci pomóc. A jeśli nie oni sami, to tam przyjeżdżają lekarze z całego świata.

Ron nie odpowiadał. Stał po prostu i wpatrywał się w noc. Kiedy gdzieś bardzo daleko błyskawica przecinała niebo, jej blask odbijał się w jego oczach.

- Chciałabym, żebyś wyzdrowiał, Ron!

Powoli odwrócił się ku niej. Drżącym, nabrzmiałym smutkiem głosem szepnął:

- Och, żebyśmy tak mogli należeć do siebie!

- Ależ będziemy mogli! - zawołała Annika z zapałem. - Będziemy mogli! Musisz tylko zaufać lekarzom...

Bezmyślnie wyciągnęła do niego rękę, jakby go chciała złapać za ramię.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknął ostro.

Annika zmarkotniała, spuściła głowę.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam...

- Wracajmy! - powiedział z napięciem w głosie.

Annika patrzyła na niego przerażona. Kiedy na ułamek sekundy napotkała jego wzrok, zobaczyła w nim bezmiar cierpienia.

On mnie pragnie, myślała wzruszona. O mój Boże, co ja zrobiłam? Naprawdę musiałam dokładać mu jeszcze mój kamień do brzemienia, które i tak dźwiga? Mimo to ogarnęło ją gwałtowne podniecenie. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie okazywał jej tak wyraźnie, że jej pożąda. Bo Martin się pod tym względem nie liczył. Był dla niej jednym wielkim rozczarowaniem, taki cyniczny, zapatrzony w siebie.

Ledwo miała odwagę oddychać. Pragnęła uciec stąd jak najdalej, ale jakaś osobliwa ociężałość w całym ciele trzymała ją na miejscu.

Kiedy szli, on mówił do niej cicho, z wielkim uczuciem.

- Anniko, przez bardzo wiele lat byłem sam... wyrzucony poza ludzką wspólnotę. To już niedługo się skończy... Ale pozwól mi raz, jeden jedyny raz, przeżyć coś! Nie musisz się

bać, ja cię przecież nawet nie mogę dotknąć, ale... Czy zechciałabyś spełnić moją wielką prośbę?

- Wszystko, co zechcesz, Ron - odparła cichutko.

Szli wolno przez wrzosowisko, tak wolno, jakby chcieli przedłużyć każdą sekundę. Żadne nie zwróciło uwagi, że burza jest już prawie nad Steinheia.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - zapytał.

- Bo myślę, że cię kocham, Ron - odparła. Uznała za rzecz jak najbardziej naturalną to, że używa takich uroczyстых słów. Wciąż musieli się borykać z pewnymi trudnościami językowymi, a poza tym było w nim coś takiego, co narzucało taki właśnie nastrój. Jego dumnie wyprostowana głowa, coś władczego w ruchach i jego tragiczny los. - Nie wiem, czy to jest najbardziej odpowiednie słowo, ale jakaś nieodparta siła pcha mnie do ciebie. Nie mogę ci okazywać moich uczuć, ale pozwól mi o nich mówić!

W głosie Rona zabrzmiała bezgraniczna tęsknota, gdy powiedział:

- Mów, błagam cię, mów!

- Jest w tobie coś, co mnie przeraża, Ron. Coś nieznanego, coś obcego. I masz w sobie wyraźny rys okrucieństwa, wiesz o tym?

Odwrócił się ku niej ze śmiechem. Przeniknął ją lodowaty dreszcz. Z tymi wielkimi, zielonymi oczyma, z tymi białymi zębami przypominał dziką bestię, czającą się na ofiarę.

- Tak, wiem. Mam w sobie okrucieństwo. Albo może nie liczę się z nikim, jeśli tak byś wolała to nazwać. Ty w każdym razie lubisz swoich kolegów, z którymi tu przyjechałaś, prawda? No właśnie, a jak to jest z Martinem? Czy w nim też jesteś zakochana?

- Nie! Jak możesz myśleć coś takiego? - protestowała stanowczo. - On jest taki... taki...

- Ja wiem. Ale, Anniko, Martin to dobry chłopak. Dużo lepszy niż myślisz. I niż on sam uważa. Pamiętaj o tym, kiedy mnie już nie będzie!

- Nie wolno ci tak mówić, Ron! To mnie doprowadza do rozpacz!

Podniósł rękę, jakby chciał ją uciszyć.

- Postaraj się poznać go lepiej, to sama się przekonasz. Ale nie teraz! Teraz jesteś moja, tylko moja!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Znajdowali się na skraju zagajnika. Błyskawica przecięła niebo, a zaraz potem rozległ się potężny grzmot. Oni jednak nie zwracali na to uwagi. Ron przystanął.

- Obiecałaś, że zrobisz to, o co cię poproszę, prawda?

- Obiecałam i zrobię wszystko - odparła z drzeniem, bo teraz on miał coś takiego we wzroku, co sprawiło, że jej serce zaczęło bić jeszcze gwałtowniej.

- Zostań ze mną dzisiejszej nocy - szepnął ledwo dosłyszalnie.

- Ale...

- Nie musisz się mnie bać. Ja chcę tylko patrzeć na ciebie. Jesteś taka piękna. Twoja skóra jest taka delikatna, twoje oczy takie czyste i ufne. Taka jesteś... żywa.

Niepostrzeżenie podszedł tak blisko, że mogła zobaczyć wyraz cierpienia w jego oczach i jeszcze jakiś bezlitosny chłód, jakby dojrzewała w nim trudna, desperacka decyzja...

- Zdejmij sweter, Anniko!

- Ale ja nie mam nic pod spodem.

- No więc pozwól mi na siebie popatrzeć! Tylko raz! Jeden jedyny raz! Czy chcę zbyt wiele?

Annika przełamała lęk, z wahaniem ujęła brzeg swetra i zaczęła go powoli ściągać przez głowę. Chłodne powietrze sprawiło, że zaczęła dygotać.

Wzrok Rona przesunął się po jej ciele.

- Jesteś tak piękna - szeptał.

Kiedy zrobiła gest, jakby chciała się osłonić, zawołał:

- Wejź w cień! Tam nikt cię nie zobaczy. Tylko ja. A przecież ty i ja należymy do siebie, czyż nie?

- Należymy.

Przerażona cofnęła się o kilka kroków. W cień. Ron postępował za nią.

Nigdy przedtem nie był tak blisko niej, na jego wargach pojawił się niemal ekstatyczny uśmiech. Uniósł rękę. Powoli i z wysiłkiem, widać było, że musi się powstrzymywać, by nie dotknąć Anniki.

Ona zaś oddychała ciężko z na wpół rozchylonymi ustami. Nawet gdyby objął ją w gwałtownym miłosnym uścisku, nie mogliby być sobie bliźsi niż teraz. Powietrze, i tak naelektryzowane z powodu burzy, drgało między nimi z piekielnego napięcia. Znaleźli się w cieniu i chociaż Ron stał tak blisko, że mogła go dotknąć, Annika nie widziała jego twarzy, nie była w stanie odróżnić jego rysów, wszystko znajdowało się w głębokim mroku, jakby Rona wcale już przy niej nie było.

- Ron, proszę cię... - skarżyła się cichutko.

On musiał z całej siły hamować się, by do niej nie podejść.

- Chodźmy dalej, pod tamte drzewa - szepnął, a zdławiony głos wskazywał, jak ciężką walkę musi z sobą toczyć.

Annika posłusznie spełniła, o co prosił, szła jak ogłuszona, zaczarowana, nie mogła zrobić nic innego, nie chciała niczego innego.

Martin rozejrzał się po sali. Poprzez gęste obłoki dymu dostrzegł że Anniki nie ma na dawnym miejscu. Zatrzymał się nagle w środku tańca.

Annika zniknęła! On po prostu przeciągnął strunę!

- Wracamy do domu - powiedział do Lisbeth.

- Teraz? - wrzasnęła, żeby przekrzyczeć hałas. Nie przestawała podrygiwać w takt muzyki. - Przecież Elmer jeszcze nie wrócił. A poza tym tak świetnie się bawimy, ty i ja.

Martin wymamrotał coś pod nosem, zostawił ją na parkiecie i poszedł sobie. Lisbeth potrzebna mu była tylko dla zemsty, podwójnej zemsty - na Annice i na Parkinsonie.

Kiedy stwierdził, że Anniki nie ma w lokalu, wyszedł na zewnątrz.

Nie widziałem jej już od dawna, myślał. Świadomie ją lekceważyłem. Mogła była wyjść nawet z godzinę temu. Zachowałem się wobec niej po chamsku! Wobec Lisbeth również, ale ona się tym raczej nie przejmie.

Ze wstydem i lękiem pobiegł na brzeg. Pamiętał zdumienie Anniki w łodzi, kiedy tak się troszczył, żeby nie marzła. Pamiętał jej niedowierzanie i to, że z początku siedziała sztywna, że stawiała mu opór, starała się trzymać od niego jak najdalej, i jak później powoli łągodniała pod wpływem jego pieszczot, uśmiechała się do niego skrzępowana, śmiała z jego dowcipów i mówiła coraz więcej. I jak w końcu z ufnością oparła głowę na jego ramieniu, przytuliła się do niego pod kurtką i najwyraźniej czuła się bardzo dobrze.

Cholera! Chciał się zemścić i dokonał tego. Tylko że zamiast triumfu odczuwał obrzydzenie.

Na nabrzeżu Parkinson mocował się z dwoma podnośnikami, które starał się załadować na łódź. Martin pomógł mu.

- Widziałeś może Annikę?

- Widziałem. Mamy na nią nie czekać. Powiedziała, że chce się przejść, i poszła do domu przez wzgórze. Ale to było dosyć dawno temu. A gdzie reszta? Czy nie powinniśmy już wracać?

- Na mnie też nie czekajcie! - zawołał Martin i pobiegł drogą w kierunku wzniesień.

Tak więc zemsta trafiła rykoszetem w niego samego! Sam osobiście pchnął ją w ramiona tego zielonookiego potwora!

No, nie, Ron nie jest potworem. To głęboko nieszczęśliwy człowiek. Martin chciał wierzyć, że Annika jedynie współczuje Ronowi, że jej go żal. Tak łatwo jest pomylić współczucie z miłością!

Ale nie opuszczał go dręczący niepokój, coś mu mówiło, że między tymi dwojgiem istnieje nie tylko współczucie. Ze łączy ich siła, której on, Martin Øyen, nigdy nie zdążył poznać. Ku swemu przerażeniu stwierdził nieoczekiwanie, że jego stosunek do innych ludzi był dotychczas niebywale powierzchowny. Zwłaszcza do dziewczyn...

Kiedy wspinał się po zboczu, próbował spojrzeć na siebie chłodnym okiem, pod nieco innym kątem, niż to czynił dotychczas.

Nie był, rzecz jasna, zakochany w Annice Mo, to nie do pomyślenia! To przecież nie jest dziewczyna dla niego. Ładna i miła, to prawda, nawet inteligentna, ale takich jest mnóstwo na świecie! W Annice nie było niczego wyjątkowego - oprócz tego, że zlekceważyła zaloty Martina Øyena.

I właśnie tej sprawy nie był w stanie pojąć!

Martin próbował się śmiać z własnej głupoty, która pozwoliła mu uwierzyć, że wystarczy palcem kiwnąć, a każda dziewczyna za nim poleci, a także śmiać się ze swojej zranionej dumy, ale echo tego śmiechu odbite od góry powróciło do niego fałszywym chichotem.

Burza była nieprzyjemnie blisko, gdy Martin wściekły i lepki od potu w tym ciężkim, dusznym powietrzu schodził w dół do Steinheia. Był już prawie na miejscu, gdy stanął jak wryty.

Widok, który ukazał się jego oczom, sprawił, że poczuł bolesny skurcz w sercu.

W cieniu drzew zobaczył dwie postaci. Stała tam Annika, jego Annika, obnażona od pasa w górę, i starała się zwabić nieszczęsnego Rona do zagajnika. On stał przed nią, stanowczo za blisko, z ręką uniesioną tak, jakby chciał objąć dziewczynę.

Ona cofnęła się jeszcze o krok i niemal całkiem zniknęła w mroku...

Martin zaczął biec.

- Annika! - wrzasnął.

Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to niezwykle ostro.

Obie sylwetki w zagajniku drgnęły i zamarły na parę sekund. Martin pędził jak szalony, kątem oka ledwie dostrzegł Rona, oddalającego się w stronę domu. Myślał jedynie o Annice.

Potężny grzmot przewalił się nad ziemią dokładnie w tej samej chwili, gdy wielka błyskawica załała wrzosowiska ognistym oślepiającym blaskiem.

Gdy dobiegł do Anniki, miała już znowu na sobie sweter. Martin złapał ją za ramię i prawie pociągnął do domu.

- Przeklęta idiotko! - wysyczał, otwierając drzwi i wpychając ją do środka, a potem na schody, a płomienna błyskawica ponownie rozdarła niebo, jakby chciała dopaść ich jeszcze za drzwiami. - Co ty sobie myślisz? Chcesz zabić tego człowieka? Czy jemu już i tak nie jest wystarczająco ciężko w życiu? Chcesz go jeszcze uwodzić, i to w taki tani sposób?

- Ależ, Martin... - zaczęła zgnębiona.

On wprost nie posiadał się z wściekłości, trzymał ją za ramiona i potrząsał z całej siły.

- Nie sądziłem, że ty jesteś taka! - wrzeszczał. - No tak, ale cicha woda... Mogłaś go była zabić, nie rozumiesz tego?

Annika nawet nie płakała, była jak skamieniała z oburzenia.

Przestał nią potrząsać, ale nadal był wściekły.

- Co ciebie może z nim łączyć? - zapytał nagle żałośnie. - Ty jesteś moja, Anniko, czy ty tego nie pojmujesz? Ja...

Przestał panować nad sobą, przyciągnął ją, objął mocno i zaczął desperacko całować jej włosy. Annika wyrwała mu się i odwróciła.

- To bardzo głupie, Martin, całować dziewczynę, która kocha innego - powiedziała najspokojniej jak potrafiła.

Martin protestował:

- Ależ ty go nie kochasz, po prostu litujesz się nad nim, zrozum to nareszcie!

- Cóż ty o tym wiesz - odparła.

Nagle stwierdzili, że Ron stoi w drzwiach, stał tam pewnie od dłuższego czasu. Był kredowobiały.

- Jesteś w błędzie, Martin - powiedział cicho. - To ja wabiłem ją do lasu, a nie odwrotnie.

- Ależ ty...

- Wiem, ale czasami nasze opanowanie wystawiane jest na wielką próbę. Powinieneś to zrozumieć. Bardzo mi przykro, Annika - rzekł Ron.

Annika szlochała.

- Och, Martin, jak mogłeś...

Ron mówił dalej:

- Powinniśmy być wdzięczni losowi za to, że Martin przyszedł.

Zapadła cisza. Żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

- Wybaczcie mi oboje - bąknął w końcu Martin. - Zachowałem się jak idiota! Ale zrozum, Ron, ja...ja...

- Wiem - uśmiechnął się tamten smutno. - Ja także. Ale przewaga jest po twojej stronie.

Martin drgnął. Poczł nagle ból w piersi. W tej chwili doszło do nich dalekie, śpiewne warczenie.

- Łódź - rzekła Annika z ulgą.

Na dworze lunął deszcz.

ROZDZIAŁ XXI

Pozwolili sobie jedynie na kilka godzin snu, dopóki noc była ciemna. O bladym świetle zebrali się w dużym pokoju, wszyscy z wyjątkiem Rona, oczywiście. Parkinson i Lisbeth najprawdopodobniej już wcześniej wyszli z domu.

- No, kochani - zaczął uroczyście Martin. - Kochani, nadszedł oto nasz wielki dzień! Dzisiaj dostaniemy ostateczną odpowiedź. Albo znajdziemy kupkę śmieci, albo koronę króla Cadallana!

- I królewski miecz - dodała Annika.

- No, nie byłoby źle odnaleźć to wszystko - rozmarzyła się Tone. - Ale przecież może popełniliśmy błąd, niewłaściwie określiliśmy miejsce, może celtyckie regalia wcale nie zostały ukryte pod kamieniem? Albo może rację ma Parkinson, kiedy się boi, że ktoś przed nami to odnalazł?

- To absolutnie niemożliwe.

W tej chwili na piętrze rozległy się kroki.

- To pewnie Ron - powiedziała Annika z nadzieją, że nie widać, jak bardzo płoną jej policzki.

Tej nocy nie spała ani chwili, wciąż i wciąż od nowa przeżywała chwile w zagajniku, nieustannie widziała jego zielone, roziskrzone oczy lśniące w mroku.

Kroki Rona słychać było teraz na schodach, a po chwili Szkot wszedł do pokoju z jakimiś papierami w ręku. Twarz miał spokojną i opanowaną jak zawsze, mimo to wyczuwało się w nim niezwykle napięcie.

- Co przyniosłeś? - zapytał Martin.

Ron podał mu kartkę.

- Ja niezbyt dobrze rozumiem po norwesku. Myślę jednak, że wy przeczytacie to z zainteresowaniem.

Tone przyglądała mu się z zaciekawioną. Myślała o słowach Parkinsona, że Ron nie jest tym, za kogo się podaje, że jest w nim coś podejrzanego. Ron rzeczywiście nigdy nie chciał czytać niczego w języku norweskim, jedynie napisy ogamiczne. Nie najlepiej też widział, a może posługiwał się innym alfabetem niż oni? Ukradkiem studiowała jego twarz. Była dziwnie obca. Mongoloidalna być może? Nie, nie mongoloidalna... ale nie był taki wysoki, jak bywają mieszkańcy nordyckiej północy albo Szkoci, chyba nie pochodził z tej części świata.

Szpieg? A jeśli tak, to dlaczego?

Przy tym po prostu nie cierpi Parkinsona. Czy to ze strachu? W obawie przed ujawnieniem?

Wszyscy równocześnie chcieli czytać kartkę Rona.

- Brulion listu, najwyraźniej przerwany - stwierdził Jørgen. Tego ranka Jørgen był w bojowym nastroju.

- To charakter pisma Parkinsona - powiedział Martin. - Znam go bardzo dobrze, tyle moich referatów poprawiał przez lata studiów. Ale widzieliście coś podobnego? To list skierowany do jego przełożonego... Do członka senatu, który ma wpływ na mianowanie profesorów...

Tone czytała pospiesznie:

- „... chciałbym jak najszybciej zawiadomić, że wkrótce zgłoszę się z nie lada sensacją... Długa lista niebywałych odkryć... runy ogamiczne ryte w drewnie... A najciekawsze, to królewski miecz i żelazna korona, bardzo stara... należąca do celtyckiego króla Cadallana...” A to drań! Co on sobie właściwie myśli?

Jørgen wciągał ze świstem powietrze.

- Poczekaj, poczekaj, czytaj dalej! „Niestety, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, przeżywam tu bardzo nieprzyjemne komplikacje. Otóż kilkoro moich studentów, których wtajemniczyłem w sprawę, próbuje odebrać mi moje znaleziska będą z pewnością twierdzić, że to oni dokonali odkrycia dlatego, że w dobrej wierze pozwoliłem im zapoznać się z wynikami moich badań. Przykra sprawa, ale odbieram to jako jawne sprzysiężenie przeciwko mnie, do czego zresztą zdążyłem się już przyzwyczaić. Nieustannie spotykam się z ludzką podłością, wciąż rzuca mi się kłody pod nogi. A wszystko to z zazdrości, rzecz jasna. Często się tak zdarza. Pan jednak powinien wiedzieć, że odkrycia dokonałem ja osobiście, co zaświadczam moim honorem pracownika nauki; wpadłem na ślad odkrycia dzięki inskrypcji na kamieniu w naszym miejskim muzeum (istnieje tam niewielki trójkąt, na który nikt przedtem nie zwrócił uwagi), później, idąc tym tropem, dotarłem tutaj do Steinheia w Lekna. Mam nadzieję, że przywiozę znalezisko już wkrótce, wracam do domu...”

- No, to już przekracza wszelkie granice! - wybuchnęła Tone.

- Honor pracownika nauki! - prychnął Martin. - A cóż to znowu takiego? A poza tym ten pan buduje zbyt długie zdania. Jeśli chodzi o język norweski, to ocena będzie kiepska.

- On wczoraj wieczorem we wsi wrzucał list do skrzynki rzekła Annika zamyślona.

- Tak, z pewnością przepisał ten donos i wysłał - zgodził się Martin. - Powinien był przepisać, tutaj trochę za mało jest o „pracowniku nauki”. Ron, gdzieś ty to znalazł?

- W jego pokoju.

Martin otworzył usta ze zdziwienia.

- Wchodzisz... do cudzych pokoi?

Oczy Rona błysnęły zielonkawo, pojawiło się w nich coś diabelskiego.

- Już dawno temu przestałem się przejmować takimi sprawami. Jestem ponad to.

Wargi Martina drgnęły, jakby powstrzymywał śmiech.

- No jasne, w każdym razie dziękuję ci! Teraz przynajmniej wiemy dokładnie, na czym stoimy.

- A ja zaczynam się zastanawiać, gdzie się w tej chwili znajduje nasz dobry Elmer Parkinson - syknął Jørgen ze złością.

- Mam swoje podejrzenia - rzekł Martin. - Chodźcie! Ty również, Ron. Będziesz nam teraz potrzebny.

W charakterze zderzaka, pomyślała Annika. Ale musiała przyznać rację Martinowi, potrzebowali pomocy Rona.

Zgodnie z przewidywaniami parę rannych ptaszków znaleźli w pobliżu kamienia. Parkinson i Lisbeth dostarczyli już podnośniki na miejsce i sami próbowali wykonać całą pracę. Annika zachichotała w duchu na myśl o tym, jak musieli się pocić przy wciąganiu na górę ciężkich podnośników. Ponieważ studenci skradali się jak najciszej, para niczego nie zauważyła i na ich widok oboje skamienieli jak słupy soli pod Gomorą czy gdzieś tam.

Parkinson spoglądał na nich z wymuszonym uśmiechem.

- Chcieliśmy tylko przygotować wszystko, zanim przyjdziecie - powiedział.

- Nic z tego nie będzie! - syknął Martin z taką złością, że Lisbeth aż podskoczyła. - Teraz oboje spakujecie swoje rzeczy i wyniesiecie się stąd jak najszybciej!

- A cóż to znowu?

- Wyciągnęliśmy rękę do zgody, chcieliśmy z wami współpracować, choć 'wcale nie musieliśmy tego robić. A wy odpłacacie się w taki podły sposób!

Martin pokazał zapisany papier.

Twarz Parkinsona stężała.

- Włamaliście się do mojego pokoju?

- Nie my. To Ron. A on kieruje się własnymi zasadami.

- Ten szpieg! Ja go zaraz usadzę! Nie będzie mi taki gnojek dłużej zdradzał naszego kraju...

- Nie odwracaj kota ogonem! - przerwał mu Martin ostro. - Powiedziałem i nie zmienię zdania. Wyjdziecie stąd w tej chwili! Zabawa skończona!

Parkinson wyprostował się z godnością.

- Znaleźisko nie należy do was, zwłaszcza że jeszcze trzeba je odnaleźć! I ja mam takie samo prawo do poszukiwań jak wy!

Wtedy Ron ujął sprawę w swoje ręce. Wyjął spod wiatrówki dziwny nóż. Nigdy takiego noża nie widzieli.

- Wynoś się! - warknął do Parkinsona. - Bo w przeciwnym razie posiekam na kawałki i ciebie, i twoją kobietę.

Nikt nie miał wątpliwości, że mówi to najzupełniej poważnie.

Lisbeth z krzykiem rzuciła się do ucieczki, a Parkinsonowi, który chciał ocalić resztki swojej godności, pozostawało jedynie pójść za nią.

- Zresztą i tak bym musiał dzisiaj wyjechać - oświadczył wyniośle. - Moi koledzy chcą ze mną rozmawiać na temat nominacji. I to jest prawda, jeśli nie wierzycie, to mogę wam pokazać papiery.

- Dobrze, dobrze, wierzymy ci! - zawołał Martin zniecierpliwiony.

Śledzili wzrokiem tę dobraną parkę, dopóki oboje nie pozbiali swoich rzeczy i nie znaleźli się na pokładzie łodzi. Dopiero kiedy motorówka z warkotem zniknęła za skalnym cyplem, powrócili do pracy.

Próba podniesienia głazu była ryzykownym przedsięwzięciem. Leżał tak blisko krawędzi uskoku, że od tamtej strony nie mogli pracować. Musieli wyrąbać spory kawał skalnego podłoża, żeby wsunąć jeden z podnośników, i to zajęło im wiele godzin. Potem jednak zaczęły się dziać nieoczekiwane rzeczy.

Byli tak zajęci, że zapomnieli o obiedzie. Gdy głód stał się już bardzo dokuczliwy i nie mogli dłużej go lekceważyć, Annika została wysłana po jakieś kanapki. Chyba nigdy jeszcze nie robiła takich niezdarnych kanapek, takich dziwnych serowo - wędliniarskich kompozycji, bo i ona uległa gorączce - kamień poruszył się i powolutku odsłaniał to, co znajdowało się pod nim.

Biegając ścieżką pod górę, potykała się o wystające korzenie, lecz ze zręcznością godną akrobaty za każdym razem udawało jej się ocalić kanapki przed zetknięciem z leśną ściółką. Wkrótce znalazła się na wzgórzu, zdyszana niczym pies gończy. Usiedli teraz wszyscy na chwilę, zasłużyli sobie na małą przerwę, i z dumą przyglądali się swemu dziełu.

Głaz wspierał się teraz z jednej strony na podstawkach ze sporych kamieni. W głębi widać było niszę wypełnioną drobnymi kamykami i ziemią. Tam, właśnie tam należy szukać! Wyrzucali zawartość niszy, najgorsze zaczęło się jednak wtedy, gdy w pustej przestrzeni pod

kamieniem można już było zmieścić całą rękę aż po bark. Teraz ktoś musi zdobyć się na odwagę i wsunąć głowę oraz ramiona do jamy.

- Moja głowa jest zbyt drogocenna - wyjaśniał ze śmiechem Jørgen. - Annika, co to za wspaniałe przyprawy, którymi udekorowałaś moje kanapki?

Dyskretnie zdjął z czubka języka brzozy listek.

Ron siedział w pewnej odległości od reszty towarzystwa i obserwował Annikę, a ona, choć nie było to łatwe, starała się patrzeć mu w oczy. W jego twarzy było dziś coś nowego, jakaś spokojna, smutna stanowczość. Annika domyślała się, że wkrótce odbędą poważną rozmowę, najwyraźniej Ron chciał jej coś zakomunikować. Ale chyba jeszcze nie teraz, w takim razie bowiem poszedłby z nią do domu po kanapki, a przecież tego nie zrobił.

Uśmiechnęła się do niego, ciepło i czule, na co on odpowiedział delikatnym drgnieniem w kąciu ust. I wtedy uświadomiła sobie, jak bardzo jest mu oddana, poczuła, że ma łzy w oczach, ale nie przejmowała się tym. Ron zasługiwał na tyle uczucia, ile jest w stanie przyjąć i ile ona mogła mu dać, a przecież stać ją było na bardzo wiele. Dlaczego miałyby mu tego skąpić?

Najedli się i powrócili do pracy przy kamieniu, która wystawiała ich nerwy na wielką próbę.

W małej osadzie nad zatoką Parkinson zdołał się jakoś opanować. Teraz przepelniała go wola walki.

- Lisbeth, ja naprawdę muszę jechać do miasta w związku z nominacją, ale ty zostaniesz tutaj. Nie możemy ustąpić teraz, kiedy...

Lisbeth wpadła w złość.

- Kiedy co? Mam zostać sama w tej dziurze, podczas gdy ty... O, nie! Nie licz na to!

- Czy ty niczego nie rozumiesz? Ja przecież wysłałem list z informacją, że lada moment przywiozę te wszystkie zabytki! Muszę je mieć, w przeciwnym razie ośmieszę się i wszystko będzie jeszcze bardziej beznadziejne niż dotychczas.

- No to sam je sobie zdobądź! - odparła Lisbeth wojowniczo.

Teraz Parkinson zaczął ją wabić, jakby pokazywał dorodną marchew upartej oślicy.

- Wiesz, jaką się otrzymuje gratyfikację za takie odkrycie?

- Tytuł profesorski i odrobina sławy dla ciebie - odparła cierpko. - Resztę zabiera państwo.

- O, nie, nie, moja kochana! - powiedział z chytrym uśmiechem. - Znalazcy przypada również ekonomiczne zadośćuczynienie, i to wcale niemałe! Krótko mówiąc, czeka mnie i sława, i pieniądze. Czy można żądać więcej?

Tym razem Parkinson łągał jak z nut, ale zdarzało mu się to nie po raz pierwszy w życiu. Ale Lisbeth ożywiła się.

- Moglibyśmy może przetopić te rzeczy?

Ten pomysł wstrząsnął Parkinsonem do głębi.

- Czyś ty zwariowała? A poza tym te, jak mówisz, rzeczy są z żelaza.

Piękna panna skrzywiła się pogardliwie.

- Nie rozumiem w takim razie, po co ci jakieś zardzewiałe żelazne graty.

Narzeczony jęknął boleśnie.

- Ty po prostu sama nie wiesz, co mówisz!

Lisbeth miała wiele wątpliwości.

- No, a na przykład, co ze studentami? Oni mogą przecież przedstawić swoje dowody.

- I z pewnością to uczynią, ale gdzie znajdą świadków na to, że to oni pierwsi znaleźli inskrypcję ogamiczną, a nie ja? A poza tym oni źle wyjdą na znajomości z tym całym Ronem. Ten facet jest naprawdę niebezpieczny, możesz mi wierzyć! Nie tylko dla nich, dla poszczególnych ludzi, lecz dla całego kraju, głowę bym dał za to, że on pracuje dla jakichś obcych mocodawców! A przecież to nie żadna sztuka udowodnić, że oni z nim współdziałali. To podważy ich wiarygodność i wtedy są skończeni, już niczego nie zwojują. Jeśli natomiast chodzi o samego Rona, to myślę, że nie musimy się nim specjalnie martwić. On nie doczeka do żadnego procesu, zakładając, że w ogóle sprawy zajdą tak daleko.

- To wszystko nie ma znaczenia. Albo zostajemy tu oboje, albo ja także wracam do miasta. Jak ja sama, twoim zdaniem, poradzę sobie z...

- Masz rację - zgodził się Parkinson.

Usiedli zatem, by w spokoju opracować odpowiedni plan.

Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie w lesie stawały się coraz dłuższe.

Annika i Tone zrobiły sobie krótką przerwę i usiadły w pewnej odległości od chłopców, którzy nadal pracowali w pocie czoła. To znaczy z wyjątkiem Rona, on przez cały dzień nie wziął do ręki żadnego narzędzia. Teraz stał na wzgórzu i wpatrywał się w morze.

- No i jak poszło? - zapytała Annika Tone półgłosem.

- Co masz na myśli?

- Wyglądasz dzisiaj... zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Wczoraj wieczorem coś się stało, prawda? On nie chce wybić sobie Lisbeth z tej swojej upartej głowy?

Tone siedziała i czubkiem buta rozgarniała kupkę igliwia. Chwilę zwlekała z odpowiedzią. Potem powiedziała jakby trochę zmęczona:

- Jørgen skończył z Lisbeth.

- Oj, naprawdę?

- Tak. Te wczorajsze tańce okazały się ostatnią kroplą, która przelała czarę. Bo stało się jasne, że gdy ona musi interesować się kimś poza ukochanym Elmerem, to wybiera Martina. Tego dla dumy Jørgena było za wiele. Najpierw chciał, oczywiście, skrzywić kark Martinowi, ale szybko odstąpił od tego zamiaru. Oświadczył, że od tej chwili będzie się trzymał mnie, żeby ona dostała za swoje!

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego ty...

Tone westchnęła.

- No i wtedy ja skończyłam z Jørgenem!

Annika patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Nie rozumiesz? - zdziwiła się Tone. - Otóż zmęczyła mnie po prostu rola pocieszycielki, zastępczyni, do której on przychodzi, gdy nie może mieć tamtej. Jestem zmęczona nieustanną pogonią za jakimś gestem czy słowem, które by świadczyły o tym, że jemu jednak na mnie trochę zależy, że coś dla niego znaczę.

Annika uśmiechnęła się.

- Rozumiem cię bardzo dobrze.

- Pokłóciliśmy się trochę wczoraj, to prawda. Ostatecznie postanowiliśmy, że zostaniemy przyjaciółmi, kolegami. Jørgen nie do końca jeszcze to sobie uświadamia. Przywykł po prostu, że jestem na każde zawołanie, że ma we mnie niezłomną wielbicielek, która zawsze jest pod ręką. A ja pomyślałam sobie, że to nawet bardzo przyjemne pobyc znowu przez jakiś czas starą panną. Myśleć wyłącznie o sobie, a może nawet poflirtować czasem z jakimś chłopcem. Chociaż nie sądzę, bym się akurat teraz specjalnie interesowała męskim rodzajem. Ostatnia wiosna dała mi się porządnie we znaki, nie mam już sił wciąż się zastanawiać, co Jørgen powie, jak zareaguje na to czy na tamto. Nie, ja się nie użalam! Po prostu to dosyć nieoczekiwane uczucie, trzeba się przyzwyczaić. A jak twoje sprawy?

Annika bezradnie potrząsnęła głową.

- Życzyłabym sobie, aby nasza dobra mama nie izolowała mnie tak od świata, Tone! Nie umiem sobie teraz poradzić, kiedy nagle dwóch mężczyzn zaczęło się mną interesować i kiedy ja interesuję się obydwoma. To z pewnością bardzo dziecinne i niedojrzale, prawda? - zakończyła z goryczą.

- No, pewnie trochę tak jest. Ale muszę przyznać, że wybór masz naprawdę niełatwy. Obaj są przecież tacy pociągający i obaj, niestety, mają swoje niesympatyczne strony! Ale sama wiesz chyba najlepiej, w którą stronę skłania się twoje serce.

Annika popatrzyła na Rona.

- Owszem, wiem - szepnęła. Nagle zerwała się. - Po nocnym deszczu ziemia jest bardzo mokra. Nie powinniśmy tu zbyt długo siedzieć.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem jak rozżarzona kula. I znowu, jak wczoraj, na wodzie kładł się długi, świetlisty szlak, tak lśniący, że trudno było na niego patrzeć.

- Tam! - oświadczył Jørgen. - Teraz wszystko jasne! Kto poświęci swoją głowę?

Martin spojrział ukradkiem na Rona, ale on, chociaż podszedł bliżej, nie kwapił się jakoś z ofiarowaniem swojej pomocy.

A powinien był to zrobić, myślał Martin. On przecież nie ma nic do stracenia.

- Okay! - powiedział głośno. - Przekażcie ostatnie pozdrowienia moim bliskim i podziękujcie im za wszystko! Jørgen, ty dziedziczysz moje znaczki!

Położył się na brzuchu i wsunął ręce pod kamień. Powoli zagłębiały się w niszy, wkrótce skryły się aż po barki, a po chwili miała zniknąć głowa. Wyglądało to strasznie i Annika nie mogła się powstrzymać, żeby nie krzyknąć:

- Martin, nie! Nie rób tego!

Odwrócił się i popatrzył na nią z dołu.

- Patrzcie, patrzcie, jest ktoś, komu zależy na moim życiu! Ale już za późno, miłosierna dziewico, idę na śmierć! I to nie za twoją cnotę, lecz dla... dla wygranej!

Milimetr po milimetrze wślizgiwał się pod kamień, a kiedy widać było już tylko jego nogi, Annika musiała się odwrócić. Nie była w stanie dłużej na to wszystko patrzeć. Przecież nie mogliby nic zrobić, naprawdę nic, gdyby podnośniki i podpórki z kamieni zawiodły...

Minęło kilka nieskończenie długich minut. Martin szukał w ziemi pod głazem.

- To beznadziejna sprawa - usłyszeli jego stłumiony głos. - Pojęcia nie mam, gdzie szukać, a poza tym myślę, że tu niczego nie ma.

Annika przykucnęła za nim.

- Spróbuj określić, gdzie kamień mógł leżeć w tamtych czasach! Musiało być pod nim jakieś zagłębienie, dostępne z zewnątrz. W przeciwnym razie nie udałoby im się ukryć korony.

Zapadła cisza, a Martin badał teren.

- Może powinienem cię zastąpić? - zawołał Jørgen, który uważał, że wszystko trwa zbyt długo.

- Nie! Bo najbardziej niebezpieczne jest wchodzenie w głąb. Skoro więc już tu jestem... Annika ma rację. Otwór musiał się znajdować od strony morza i tu właśnie jest wyraźny osad.

- Cholera jasna! - denerwował się Jørgen.

- Teraz to nie ma najmniejszego znaczenia - usłyszeli znowu głos Martina. - Siedzę pod kamieniem, ale nie zaklinuję się na dobre, to mogę wam obiecać!

Ponownie zaległa cisza. Słuchać było jedynie delikatny szmer przesypywanej ziemi.

- Jørgen, podaj mi to dłuto, które niedawno miałeś! Tylko nie przewróć podpory, bardzo cię proszę.

Jørgen bardzo ostrożnie wsunął narzędzie w głąb niszy.

- Znalazłeś coś?

- Nie wiem. Coś tu jest, ale to może być kamień. Warstwa ziemi jest dużo głębsza, niż przypuszczaliśmy. Poza tym wszystko jest cholernie twarde, spetryfikowane, i to jeszcze pogarsza sprawę. O rany!

Wszyscy pochylili się jak na komendę.

- Co tam?

Cisza, zanim odpowiedział, zdawała się trwać całą wieczność. A odpowiedź mówiła niewiele.

- Coś jest.

- No, ale co? - gorączkował się Jørgen.

- To jest dosyć... długie. Okropnie długie! Nigdy nie widziałem takiego wydłużonego kamienia! I leży potwornie głęboko, znacznie głębiej, niż bym oczekiwał.

- Królewski miecz? - pisnęła Tone.

- Skąd mam wiedzieć? To po prostu bryła skamieniałej ziemi. Ale w środku coś jest, to pewne! Żeby tylko nie okazało się, że wujaszek Cadallan rzucił klątwę na każdego, kto dotknie jego klejnotów.

- Głupiś! - warknął Jørgen. - Wyciągnąłeś to?

- Spokojnie! Nie mam tu miejsca, żeby wziąć zamach, a to jest cholernie długie... i siedzi mocno...

Ostatnie słowa przeszły w jakieś głuchoe mamrotanie, a kiedy Martin odezwał się znowu, jego głos dźwięczał jak zawsze:

- Jørgen... Annika... Jesteście tam wszyscy?

- Naturalnie, wszyscy czworo. Co się dzieje?

- Tu jest nie tylko ten podługowaty przedmiot. Spoglądali po sobie.

- Co mówisz?

- Tu jest coś jeszcze! Natrafiłem na coś...

Jørgen próbował studzić ich zapał.

- Martin, jeśli to jest korona, to musi być teraz spłaszczona jak naleśnik. Albo kompletnie przerdzewiała, nie rozumiesz tego?

- Oczywiście, że rozumiem! Ale, słuchaj, warstwa ziemi pod głazem jest znacznie głębsza, niż myśleliśmy, więc może...

- To kamień, Martin - rzekł Jørgen głucho. - Nie okłamuj sam siebie!

- Gdzie, do cholery, widziałeś kamień z dużym otworem w środku?

Wokół głazu zaległa grobowa cisza. Ron podszedł bliżej. Stał teraz tuż za Anniką. Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Co ty na to, Ron?

Twarz Rona była zupełnie nieruchoma.

- Pojęcia nie mam.

- Wydobyłeś te znaleziska? - denerwował się Jørgen.

- Jeszcze nie. Czy ty nigdy nie widziałeś archeologicznych wykopalisk, Jørgen? - upomniał go Martin, powtarzając te same słowa, które Jørgen rzucił niedawno w twarz Parkinsonowi.

Jednym uchem Annika usłyszała jakieś szelesty w lesie ponad nimi, ale zbyt była pochłonięta działalnością Martina, by się nad tym zastanawiać.

Spod kamienia dochodziły jęki i postękiwania świadczące o wielkim wysiłku.

- Tutaj... wcale nie jest tak łatwo... możecie mi wierzyć! Ale teraz! Teraz go mam... no, prawie.

- Ostrożnie, Martin, ostrożnie... jeśli coś złamiesz, to...

- Złamię? Coś ty! To wszystko zlepilo się w ogromną bryłę z kamieni, ziemi i Bóg wie czego jeszcze. O! No, to mam... to! Zejdźcie z drogi, bo będę się wycofywał rakiem!

W głosie Martina dzwięczał triumf i podniecenie. Powolutku wyciągali go z niszy pod głazem za nogi, na koniec ukazały się też ręce trzymające w miłosnym uścisku dwa dziwaczne przedmioty. Coś bardzo długiego, przypominającego kamień, wyciągał to i wyciągał, jakby nigdy nie miał skończyć.

Jørgen wziął od niego zdobycz z największą ostrożnością.

- Królewski miecz? - wyszeptała Annika, wytrzeszczając oczy.

- Któż to wie? - rzekł Jørgen drżącym głosem. - Ale to może być królewski miecz!

I oto Martin, umazany ziemią, stanął przed nimi. W ręce trzymał wielką bryłę, czarną, nieforemną, z wyraźnym zagłębieniem pośrodku. Wzruszeni i zdyszani wpatrywali się wszyscy w ten niezbyt piękny przedmiot, z którego opadały grudki ziemi i jakieś korzonki.

- Korona króla Cadallana - szepnęła Tone.

ROZDZIAŁ XXII

Słońce zaszło, od ziemi ciągnęło nocnym chłodem.

Zanim weszli do domu, Martin próbował strząsnąć z siebie najgorsze zabrudzenia. Annika została, by mu pomóc. Ron czekał także.

- Jak myślicie, czy możemy oczyścić te przedmioty? - zastanawiał się Martin z chłopięcym zapalem. - A może to są świętości i powinniśmy je zostawić w takim stanie, w jakim je znaleźliśmy?

Myśl wydawała się porażająca.

- To chyba będzie zależało od tego, jak duży jest autorytet Jørgena - rzekła Annika nieśmiało.

- Obawiam się, że niezbyt wielki.

- A co zamierzacie zrobić z tym później, po powrocie do miasta? - zapytał Ron.

Przerwali czyszczenie.

- Nooo - zaczął Martin przeciągle. - A gdzie się właściwie oddaje tego rodzaju znaleziska? Dla mnie byłoby sprawą naturalną przekazanie ich Instytutowi Celtyckiemu. Niech oni zdecydują, gdzie to umieścić.

Ron przyglądał mu się badawczo.

- Czy Parkinson ma coś wspólnego z tym Instytutem?

- Jeśli się okaże, że ma, to się z nimi nie skontaktujemy - odparł Martin stanowczo.

- Mam nadzieję - rzekł Ron sucho, najwyraźniej nie do końca przekonany. - Zadbajcie jednak, by regalia znalazły się we właściwym miejscu, to bardzo ważne! - Odetchnął głęboko.

- A teraz muszę was pożegnać.

- Pożegnać? - zapytali oboje jednocześnie.

On także posmutniał.

- Tak, muszę was opuścić. Kiedy obudzicie się jutro rano, mnie już tu nie będzie.

- Ale dlaczego?

Ron odpowiadał dziwnie wolno.

- Ze względu na Annikę. Nie potrafię się jej oprzeć.

Annika stała jak sparaliżowana. Spoglądała na Rona z rozpaczą w oczach.

Martin ocknął się.

- Pewnie chcielibyście zostać sami?

- Nie, nie odchodź, Martin - poprosił Ron, nie przestając patrzeć Annice w oczy. - Będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli zostaniesz. Chciałbym ci coś powiedzieć.

Martin wahał się, ale został.

- Anniko... - zaczął Ron. Rozumiała, że dla niego to również bardzo trudna chwila. - Proszę cię o wybaczenie...

Nareszcie odzyskała głos.

- Wybaczyć tobie? Nie mam ci nic do wybaczenia...

Przerwał jej uniesieniem ręki.

- Przyjdzie taki czas, że zrozumiesz. A gdyby ci wtedy było ciężko, pamiętaj po prostu o mojej miłości do ciebie! Nic więcej!

- Och, Ron! Ty chyba nie zrobiłeś niczego niedozwolonego!

- Moje drogie dziecko - rzekł z czułością. - Pamiętaj, że kochałem cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem! Widziałem was zaraz, kiedy przyszliście do Steinheia. Stałaś przed domem na pokrytej rosą trawie. Byłaś zmarznięta, byłaś taka mała i bezradna... i przestraszona.

Annika w dalszym ciągu nie spuszczała z niego wzroku.

- A tej nocy, kiedy patrzyłeś w moje okno... Czy ty naprawdę tam byłeś, czy ja sobie wszystko wyobraziłam?

- Oczywiście, że byłem - roześmiał się. - Należałaś przecież do mnie. Nie sądziłem, że stać mnie na takie uczucia jak miłość, ale kiedy sobie uświadomiłem, że to możliwe, przepełniła mnie wielka radość, a także równie wielki lęk i ból. Wiedziałem przecież, że nigdy nie będziemy razem, bo wyrządziłbym ci wielką krzywdę. Ostatniej nocy już bardzo mało brakowało... Dlatego muszę was teraz opuścić.

Potem zwrócił się do Martina:

- Opiekuj się nią, mój chłopcze! - poprosił. - Bądź przy niej, kiedy chwila prawdy nadejdzie! Bądź przy niej w najcięższych momentach!

Martin kiwał głową, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Żadne, ani Annika, ani on, nie pojmowało, do czego Ron zmierza.

- Ależ Ron! - skarżyła się Annika. - Nie możesz teraz tak po prostu zniknąć! Ja przecież napisałam do szpitala, oni z pewnością będą ci mogli pomóc. Ron, nie możesz mnie tak zostawić! Co ja bez ciebie zrobię?

- Niestety, Anniko, muszę wracać - uśmiechnął się jakoś krzywo. - I muszę to zrobić nie tylko ze względu na ciebie. Ciężą na mnie jeszcze inne obowiązki. Mam zadania...

Zadania? Oczywiście Anniki i Martina spotkały się, ale oboje natychmiast je spuścili, zawstydzeni. Parkinson nie może mieć racji, modliła się w duchu Annika. Nie, oczywiście, że nie ma racji, w Ronie nie ma niczego nieczystego.

- Proszę bardzo - rzekł Martin gorączkowo, wyjmując kartkę i długopis. - Tu masz mój adres. Nie możemy teraz tracić kontaktu!

- I mój także! - zawołała Annika. - Zapisz też mój adres, Martin! Ron, ty musisz przyjechać do nas, do miasta, musisz się leczyć, będziesz zdrowy, zobaczysz! Obiecuj mi, że będziesz się leczyć! Nie jest jeszcze za późno, musisz tylko przekonać sam siebie, musisz uwierzyć, a wszystko pójdzie dobrze!

Ujął kartkę w dwa palce.

- Na pewno dam o sobie znać - powiedział z lekkim uśmiechem. - Tylko uważajcie, żeby Parkinson was nie podszedł jakimś nowym fortelem! I zadbajcie, żeby zabytki znalazły się we właściwym miejscu!

- Obiecujemy ci to - rzekł Martin uroczyście. - No, cóż, Ron, wprawdzie nie możemy sobie uściskać dłoni, ale dzięki za dni spędzone tutaj i do zobaczenia! Jak najszybciej!

- Ja dziękuję tobie! A teraz chciałbym powiedzieć Annice kilka słów, jeśli pozwolisz...

- Naturalnie - bąknął Martin i wszedł do domu.

- Pozdrów później Jørgena i Tone! - zawołał za nim Ron. - I pożegnaj ich ode mnie. Sam nie będę mógł tego zrobić. Czuję się trochę zmęczony.

Na dziedzińcu zapadła dzwoniąca cisza. Annika przetykała i przetykała ślinę, ukradkiem ocierała oczy.

- Ron, ja nie chcę się z tobą rozstawać!

- Czy myślisz, że ja chcę? - szepnął ledwo dosłyszalnie. - Czy myślisz, że chcę stać tak daleko od ciebie, kiedy wszystko we mnie pragnie przytulić cię... dotykać twojej skóry... pieścić twoje włosy... czuć twój policzek na swojej twarzy, twoje usta na moich? Kocham cię, Anniko! Nigdy o tym nie zapominaj!

- I ja ciebie kocham, Ron!

Zamknął oczy i boleśnie zacisnął wargi.

- Idź już, moje dziecko! Idź! Jak najszybciej!

Drżącą ręką ujęła klamkę, łązy spływały jej po policzkach.

- Do zobaczenia! - szepnęła. - Przyjedź do mnie wkrótce!

Pobiegła prosto do swego pokoju, gdzie rzuciła się na łóżko i wybuchnęła rozdzierającym płaczem.

W chwilę później rozległo się wołanie Martina:

- Annika! Annika! Zejdź na dół, szybko!

Słyszała triumf w jego głosie, co sprawiło, że łzy przestały płynąć. Obmyła twarz i zeszła do dużego pokoju.

Wszyscy troje siedzieli pochyleni nad stołem, całkowicie pochłonięci pracą. Zapalili wszystkie stearynowe świece, jakie znajdowały się w domu, dzięki czemu w pokoju panował bardzo uroczysty nastrój. Stół zalegały wielkie ilości zeszkrobanej z zabytków ziemi i drobnych kamyków. Bryła, która musiała zawierać królewską koronę, leżała jeszcze nie tknięta, ale ten drugi przedmiot Jørgen obejmował z czułością.

- Posłuchajcie no, sowy przemądrzałe - rzekła Annika ze śmiechem, ale głos miała ochrypyły od płaczu. - Jak długo w noc zamierzacie tu siedzieć? A co ty tam chowasz, Jørgen?

- Hokus - pokus! - wykrzyknął radośnie i wyrzucił ramiona w górę.

Annika z trudem chwyciła powietrze.

Przed nią na stole leżał miecz. Połyskujący w blasku świec, miecz, który nie miał sobie podobnych. Takie miecze widuje się jedynie w fantastycznych komiksach. Obosieczny, z przepięknymi ornamentami, z rękojeścią tak wspaniale zdobioną i wytworną, że jedynie król mógł być jej godny. Cały miecz zaś był taki długi, że gdyby Annika przy nim stanęła, byłby od niej wyższy. Klinga miała, oczywiście, w wielu miejscach czarne plamy, tu i tam została wyszczerbiona, ale to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia wobec niebywalej piękności całego przedmiotu. Annika patrzyła i patrzyła, oczu nie mogła od niego oderwać.

- Musimy to pokazać Ronowi - powiedziała Tone przejęta.

- Ron wyjechał - rzekł Martin stłumionym głosem. - Prosił, żeby was pożegnać. Właśnie przed chwilą widziałem, jak wychodzi z domu.

- Wyjechał? Ale jak mógł wyjechać w środku nocy...

- Ron kocha noc - powiedziała Annika łagodnie. - Już nie pamiętacie jego samotnych spacerów w ciemnościach?

- Ale dlaczego właśnie teraz? - niepokoił się Jørgen.

- Miał swoje powody - odparł Martin. - Ale odnajdzie nas w mieście. Wziął nasze adresy.

Jørgen zacisnął wargi.

- Do licha, co ten facet w sobie ma takiego? - mruknął pod nosem.

Tone patrzyła przed siebie markotnie.

- Jak pusto się tu teraz zrobiło bez niego. Dom wcale już nie jest taki miły...

- Sam tego chciał i musimy to uszanować - rzekł Martin. - Trudno mu żyć, a przecież sam wie najlepiej, jak postępować wobec swojej choroby.

Tone westchnęła.

- My także musimy już wracać. Ktoś, nie chciałabym pokazywać palcem, jadł stanowczo za dużo. No i teraz albo musi - my zaraz wyjeżdżać, albo wyprawić się do wsi po prowiant.

Jørgen skruszony wpatrywał się w blat stołu.

Po czym Tone wróciła do najważniejszej sprawy, jaka ich powinna zajmować:

- Odważymy się spojrzeć jeszcze na koronę, czy pójdziemy się trochę położyć?

- Położyć? Oszalałaś? Oczywiście spróbujemy oczyścić koronę! - zawołał Jørgen. - Musimy jednak być ostrożniejsi, żeby nam się korona nie rozleciała na kupkę rdzy.

Pochylili się wszyscy nad wielką, skamieniałą, nieforemną bryłą.

Światło świec odbijało się ciepłym blaskiem od królewskiego miecza. Annika w rozmarzeniu gładziła klingę. Znowu widziała w wyobraźni króla Cadallana, który musiał ukryć ten miecz przed wrogami...

Nagle drgnęła, bo usłyszała jakiś dźwięk.

- Cii! Zdaje mi się, że ktoś jest za oknem.

Wyprostowali się wszyscy i nasłuchiwali.

- Nie, przywidziało ci się - powiedział Jørgen. - Nic nie słyszę, najmniejszego szmeru.

Martin podszedł do okna.

- Nic tu nie ma. Czy nie słyszysz, że wiatr rozpoczął znowu swój wiekuisty koncert? Widocznie podmuch rzucił czymś o szybę.

Owszem, wiatr powrócił. Po kilkudniowej przerwie dał ze zdwojoną siłą. Annika zdrzała. Teraz, kiedy Rona z nimi nie było, uważała, że Steinheia to wymarłe i nieprzyjemne miejsce. Nagle zatęskniła do cywilizacji.

Usiedli wokół stołu tak, by każde od swojej strony mogło czyścić koronę. Bardzo ostrożnie, jakby mieli do czynienia z delikatną skorupką jajka, kruszyli pincetami i innymi maleńkimi narzędziami ziarnka piasku i drobne cząsteczki ziemi. Jørgen bowiem zabrał ze sobą podręczny komplet narzędzi archeologicznych. Nawet nie marzył o tym, że mogą mu się przydać na tym cyplu, ale teraz wszyscy byli mu wdzięczni za przezorność.

- Mam nieprzyjemne uczucie, że robimy coś niedozwolonego - zaczęła Annika. - Czy nie powinniśmy najpierw zgłosić znale...

- Siedź cicho, bo jak nie, to cię stąd wyrzucimy! - postraszył Jørgen.

- I co ze mną zrobicie? - odcięła się.

Znowu zapomnieli, że czas mija. Nie widzieli, co się wokół nich dzieje, dopóki świece nie wypaliły się tak, że trzeba je było zgasić, ale wtedy spostrzegli, że na dworze jest jasno i żadne świece nie są już potrzebne.

Wciąż powolutku kruszyli skamieniałą ziemię, a spora przedtem bryła niepokojąco malała. Każdą okruszynę, każde ziarenko piasku badali bardzo dokładnie, niekiedy nawet pod mikroskopem Jørgena, ale nigdzie nie dostrzegli nawet śladu żelaza, nie mówiąc już o płatkach rdzy. Bryła wciąż jeszcze była na tyle duża, że w jej wnętrzu mogła się kryć królewska korona...

Zagłębienie w środku bryły stawało się coraz większe, zdawali sobie sprawę, że teraz w każdej chwili powinni natknąć się na żelazo. Lub jego resztki. Prędzej jednak to ostatnie, niestety. Wstrzymywali dech z lęku, że zaraz wszystko rozsypie im się w rękach i zostaną z kupką rdzy przemieszanej z ziemią.

- Ssie mnie w żołądku - jęknęła Tone.

- A mnie serce wali jak młotem - dodał Martin.

- Ja nie mogę opanować rąk, po prostu dygoczą jak w febrze - skarżył się Jørgen.

Annika zapominała oddychać. Ale żadne nie zauważyło, że zza okna śledzą ich podstępne oczy...

Pinceta Martina natrafiła na coś twardszego niż skamieniała ziemia.

- Stop! - wykrztusił ochryple. - Jest!

Jørgen powolutku wbijał małą szpilę w bryłę.

- Tu również!

- To w każdym razie jest nie tylko rdza - stwierdziła Tone.

Martin pospiesznie usuwał grudki ziemi, które przywarły do metalu. Teraz także Annika, czyszcząca bryłę z przeciwległej strony, natrafiła na opór.

- A właściwie to jak wygląda żelazna korona? - zapytała.

- Były różne - wyjaśnił Jørgen. - Ale na ogół nic nadzwyczajnego. Zachowało się kilka i można je oglądać po muzeach. Są na przykład żelazne korony burgundzkie i jeszcze parę innych. To zwykle wąskie obręcze, bardzo skąpo zdobione, przeważnie dodatkowymi płytkami z żelaza. Wartość historyczna jest najważniejsza...

- Oj, tutaj odpadł duży płat! - zawołał Martin. - Jeśli to kawałek korony, to... nie chcę patrzeć!

Z uwagą natomiast zaczął badać ów płaski kawałek, który odpadł od bryły. Nie dostrzegał jednak nawet śladu metalu, wyłącznie ziemia.

- Naprawdę odsłoniłeś fragment korony? - zapytał Jørgen.

- Na to wygląda. Ale boję się spojrzeć.

Jørgen przysunął się bliżej, chętny do pomocy.

Martin mrugał i przecierał oczy.

- Co to, na Boga...? - rzekł Jørgen oszołomiony. - Czy to jest żelazo?

Martin zdecydował się jednak spojrzeć, dziewczyny także pochyliły się, żeby lepiej widzieć.

- Nie, to chyba nie może być żelazo - szepnął Martin zachwycony. Ostrożnie postukał w warstwę ziemi na koronie i kolejny płat skamienieliiny spadł na stół.

- Oooch! - jęknęli wszyscy równocześnie.

Martin wyjął chusteczkę do nosa i delikatnie pocierał odsłoniętą powierzchnię. Czyścił i czyścił, aż metal zalśnił złocistym blaskiem.

- Czy to jest...? - zaczęła Annika.

Jørgen zamknął oczy i szeptał w zachwycie:

- Celtowie! Irlandia... znana ze swoich wspaniałych, bogatych złotych skarbów!

Martin zerwał się gwałtownie, krzesło przewróciło się z hałasem. Chłopak wykrzykiwał ochryplym z przejęcia głosem:

- Złoto! To złota korona!

Annika stała bez ruchu z twarzą rozpromienioną ze szczęścia. Tone to wybuchała śmiechem, to płakała, tak była tym wszystkim poruszona.

Martin spoważniał.

- Nie słyszeliście o tym? To przecież irlandzkie regalia zaginęły...

Jørgen przerwał mu machając rękami.

- Zaginione irlandzkie regalia były znacznie młodsze. Ta korona jest bardzo, bardzo stara. Taka stara, że w czasach nowożytnych nikt o niej nie wiedział. Nie wspomina się o niej ani w podręcznikach historii, ani nawet w staroirlandzkich poematach!

- Czy ona nie mogła pochodzić ze Szkocji? - zapytała Tone.

- Ze Szkocji, z Irlandii, z Walii albo z małych wysp na północnym Atlantyku. Tego się chyba nie da ustalić.

- Ależ to fantastyczne! - szeptała Tone, wpatrując się we wciąż jeszcze oblepioną ziemią koronę. - Czy w dalszym ciągu musimy być tacy ostrożni, Jørgen?

- Aż tak bardzo jak przedtem to już nie, bo złoto nie sypie się jak przerdzewiałe żelazo. Ale żadnych gwałtownych działań!

Ze zdwojoną energią rzucili się do oczyszczania korony z resztek ziemi.

ROZDZIAŁ XXIII

Kiedy poranne mgły rozproszyły się nad łąkami, a klucze przelotnych ptaków, nocujących na wrzosowiskach, wyruszyły w dalszą drogę na północ, korona króla Cadallana stała na stole, oczyszczona z ziemi, i lśniła matowym ciepłym blaskiem. Wprost nie mogli od niej oderwać oczu. Ukazywała im się stopniowo, w miarę jak grudki ziemi opadały, i w końcu teraz widzieli ją w całej okazałości. Podstawa korony była niska, wystawało z niej sześć także niezbyt wysokich, równomiernie rozłożonych szpiców; odkryli natomiast coś dużo bardziej nieoczekiwanego: każdy z tych sześciu trójkątów ozdobiony został pięknie oprawionym szlachetnym kamieniem. Trzy były czerwone i trzy zielone. Żadne z czworga studentów nie odważyło się zgadywać, co to za kamienie. Poza tym korona prawie nie miała ornamentu. Prosty, ale bardzo elegancki kształt, a wartość klejnotu musiała być oszałamiająca. Nikt nie miał wątpliwości, że korona jest po prostu bezcenna!

- Jaka ona piękna! Jaka piękna! - zachwyciła się Annika.

I nagle zapragnęli pokazać to swoje odkrycie światu. Jak najszybciej. Spakowali rzeczy, posprząтали po sobie, a korona wciąż stała na stole, by mogli na nią spoglądać, cieszyć się jej widokiem, nie mieli sumienia zawinąć jej i po prostu włożyć do czyjejś torby podróźnej. Jeszcze nie teraz.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie mogą wyruszyć w drogę powrotną - najpierw przez góry, a potem jeszcze długo samochodem - jeśli się wcześniej nie prześpią. Tej nocy żadne nie zmrużyło oka, a poprzedniej odpoczywali zaledwie kilka godzin. W ten sposób długo żyć nie można. Martin wziął koronę z czułością i zaniósł do swego pokoju, a Jørgen miał się zaopiekować mieczami. Wkrótce w domu zaległa cisza.

Na zewnątrz jednak jakaś postać przemknęła po kryjomu do lasu i usiadła pod drzewem, żeby czekać...

Jørgen starannie owinął koronę w miękki wełniany pulower, po czym ułożył klejnot w torbie Anniki, ponieważ tam było najwięcej miejsca. A korona musiała leżeć wygodnie i mięciutko, jak niemowlę!

- Tylko nie machaj torbą - upominał koleżankę.

- No co ty sobie myślisz! Gdzie Tone?

- Poszła sprawdzić, czy nie zostawiła czegoś w pokoju.

- A z mieczami coście zrobili?

- Zostały zawinięte w śpiwory - wyjaśnił Martin. - Caladcholgg wystaje z obu stron, więc postanowiliśmy...

- Co ty powiedziałeś? - przerwał mu Jørgen. - Calad, co?

- Caladcholgg. „Wielki Miecz”. Król Fergus z Ulsteru miał taki. Annika wie wszystko o tego rodzaju sprawach. Ją zapytaj!

Annika pokraśniała z dumy, że Martin ma takie zaufanie do jej znajomości sag.

- Hm - mruknął Jørgen. - A właśnie, Martin, coś ty zrobił z inskrypcją na drewnie?

Martin zamarł.

- Z drewnem? O Boże, kompletnie o tym zapomniałem! Gdzie to może być?

- Pojęcia nie mam. Annika, może ty schowałaś?

- Skąd! I Tone też nie, jestem tego pewna. Przenosiliśmy się z miejsca na miejsce... Gdzie mogliśmy widzieć to drewno po raz ostatni?

- Nie pamiętam. To było dawno temu, a potem mieliśmy inne sprawy na głowie.

Wszyscy pomyśleli to samo: Parkinson?

- Nie, to niemożliwe - powiedział Martin. - Widzieliśmy ich przecież do ostatniej chwili, patrzyliśmy, jak wsiadają do łodzi. Ale Ron zabierał drewno kilkakrotnie do siebie. Może zostawił w pokoju... powinniśmy tam chyba zajrzeć.

Annika wahała się.

- Uważacie, że mamy prawo?

- Ależ, kochanie! Przecież on wyjechał!

Znowu poczuła skurcz w sercu.

- To prawda, wyjechał.

- Chodź, Anniko. Zajrzemy tam, a Jørgen tymczasem tutaj posprząta.

Drzwi do mieszkania Rona były jednak zamknięte na klucz.

- Ron ma własne wejście z tamtej strony domu - przypomniał Martin. - Klucz do głównych drzwi powinien i tam pasować.

Rzeczywiście to był ten sam klucz.

Z bijącym sercem przekręcali go w zamku, wolno i ostrożnie. Znaleźli się w niewielkiej sionce, skąd poszli prosto do kuchni.

- Jak tu zimno - szepnęła Annika. - I echo odbija się od ścian!

Martin wciągał zapach opuszczonego mieszkania.

- Zwiędnięte zeszłoroczne kwiaty - mruknął. - Ron niespecjalnie się troszczy o swoje otoczenie.

Przygnębiona Annika poszła do saloniku, wygodnie umeblowanego, ale równie bezosobowego jak reszta mieszkania. Biedny Ron, pomyślała. Jakie puste i samotne musi być jego życie!

- W każdym razie żadnego nadajnika radiowego tu nie ma - roześmiała się nerwowo.

Martin wciąż stał w, kuchni Otwierał po kolei szafki i zaglądał do środka.

- Ciekawe, co on jadał? - dziwił się. - Tutaj stoją tylko słoiki z cukrem i herbatą, które najwyraźniej zostały od ubiegłego roku. I kawałek skamieniałego sera.

- Wiesz, on stosuje specjalną dietę. Głównie gotowe odżywki. Idę na górę. - Na schodach zatrzymała się. - Pójdiesz ze mną?

Martin roześmiał się:

- Strach cię obleciał?

Ale położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

Na górze było tak samo zimno jak piętro niżej. Pościel została rozwieszona na specjalnym drążku pod sufitem dla ochrony przed myszami. Znaleźli jednak coś interesującego. Mianowicie podręcznik do nauki języka norweskiego. Annika zajrzała do środka.

- Martin! Nareszcie mamy jego nazwisko! Ronald Fletcher. A więc on ma na imię Ronald. Miałam nadzieję, że Roderick, a może Rodney. Ronald...? - powtarzała raz po raz, choć bez wielkiego zachwyty.

- No i popatrz, więc on jednak czyta po norwesku! - rzekł Martin. - Może po prostu potrzebuje okularów do czytania, ale z jakiegoś powodu nie chce ich używać i dlatego mówił, że nie rozumie?

Annika odwróciła się.

- Martin, proszę cię, nie mów źle o Ronie!

Podszedł i objął ją.

- Nie możesz o nim zapomnieć? - spytał cicho, ale w jego głosie słyszała współczucie.

Zachnęła się.

- Jak mogłabym zapomnieć? Po kilku godzinach?

- Tak byłoby dla ciebie najlepiej, sama przecież wiesz.

- Trudno zapomnieć kogoś takiego jak Ron. Czuję, jakbym go miała we krwi. Na szczęście wkrótce znowu się spotkamy. Powinien nas odszukać w mieście. Mój Boże, on musi to zrobić!

Martin się wahał.

- Annika, ja... Ja wiem, że teraz wszystkie twoje myśli zajmuje Ron. Ale może kiedyś w przyszłości... Wiesz, że ja bardzo, bardzo cię lubię?

- Ty? - zdziwiła się. - Ty nie możesz przecież...

- Annika, jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć. Coś paskudnego, czego chyba nigdy mi nie wybaczysz.

Zwróciła się ku niemu gwałtownie.

- Czy to coś o Ronie?

- Ron, Ron... wciąż ten Ron! Nie, to nie o Ronie. To o mnie. O mnie, nudnym i nieważnym!

Annika starała się stłumić śmiech, ale jej się to nie udało.

- Drogi Martinie...

W tej chwili w sąsiednim pokoju rozległ się głos Jørgena:

- Długo tam jeszcze zabawicie? Tone znalazła drewno. W pokoju Martina. Co się dzieje z twoją pamięcią, chłopcze?

Martin spoglądał na Annikę.

- Fakt, schowałem je pod łóżkiem - powiedział speszony. - Annika...

- Wracajmy! Oni na nas czekają! - przerwała mu pośpiesznie nie dopuszczając do dalszych wyznań.

Podnośniki hałasowały okropnie, kiedy Martin i Jørgen ciągnęli je za sobą pod górę. Aż echo niosło się po lesie. Annika przystanąła, odwróciła się i po raz ostatni popatrzyła na zagrodę Steinheia.

- Żegnaj! - szepnęła. - Nie wrócę tu już. Bo Rona już tu nie ma. Ale żegnaj, królu Cadallanie, i żegnaj ty, nieznany druidzie, który wyryłeś te ogamiczne runy! Żegnaj i ty, młody Feorninie. Spoczywajcie w spokoju nad tym morzem, nad którym spotkała was śmierć, i niech szum fal kołysze was do snu...

Gdy spostrzegła, że jej pożegnalne słowa są coraz bardziej ; melodramatyczne, a w oczach pieką łzy, przerwała i rozejrzała się za kolegami. Uprzejmie czekali na nią kawałek dalej.

Znaleźli się po drugiej stronie wzniesienia i zaczęli wolno schodzić w dół, gdy nagle stanęli jak na komendę.

- Co to? - spytał Jørgen.

- Ktoś wzywa pomocy? - zastanawiała się Tone.

Krzyki rozległy się znowu, nadchodziły z dołu, z porośniętej lasem rozpadliny w bok od ścieżki. Wołała kobieta.

- Chodźcie! Zbiegniemy i zobaczymy, o co chodzi - powiedział Martin.

Postawili bagaże na ścieżce i ruszyli pędem w dół przez brzozowy zagajnik. Kiedy jednak dotarli do krawędzi rozpadliny, Annika stwierdziła, że nie powinna była tak biegać. Z jękiem zaczęła rozcierać swoją nadwerżoną stopę.

Martin natychmiast przystanął.

- Wracaj do naszych bagaży - polecił. - Z tym tutaj poradzimy sobie sami.

Skinęła głową i pokuśtykała z powrotem.

Na skraju lasu zatrzymała się przerażona.

Przez wrzosowisko biegł ku ich bagażom jakiś mężczyzna. Parkinson! On jeszcze jej nie zauważył, widział tylko stojące przy ścieżce torby. Nigdy u nikogo nie widziała takiej zachłanności w oczach.

Była jednak bliżej bagaży niż on. Przewyciężając ból, pędem rzuciła się przed siebie, głośno wzywając pomocy, choć tamta trójka była zbyt daleko i nikt nie mógł jej usłyszeć.

Nie miała wątpliwości, że to z pewnością zastawiona pułapka, by odciągnąć ich od ukrytego w bagażu skarbu. To, oczywiście, Lisbeth krzyczała w lesie, ale jeśli ona jest ranna, myślała Annika, to ja gotowa jestem zjeść własny kapelusz. Gdybym miała coś takiego.

Nie zastanawiając się, co robi, wyciągnęła opatuloną w sweter koronę z torby i zaczęła uciekać do lasu. Chciała być jak najbliżej kolegów. Parkinson jednak szybko się otrząsnął z zaskoczenia i teraz deptał jej po piętach. Odrzucił już wszelkie pozory i stawiał wszystko na jedną kartę. Mimo bólu w stopie biegła na samej krawędzi skalnych nawisów porośniętych karłowatymi brzoškami i krzakami jałowca. Parkinson za nią. Annika krzyczała raz po raz, ale nie miała czasu przystanąć i czekać na odpowiedź, a gdy stwierdziła, że zarośla ją osłaniają, umilkła w nadziei, że zdoła się gdzieś ukryć.

Ale gdzie? Jeszcze kilka metrów i znowu znajdzie się na odkrytej przestrzeni. Czowała ostre szpikulce korony, którą z całych sił przyciskała do piersi. Skarby... Do czego one mogą doprowadzić, myślała. Budzą w ludziach tyle żądy, wszystkie najgorsze cechy... Było jej wszystko jedno, komu te znaleziska przyniosą sławę, byle tylko nie był to Parkinson! Bo on od początku działał podstępnie, kierował się złą wolą...

Więcej pomyśleć nie zdążyła, bowiem tuż przed nią wyłoniła się z zarośli jakaś postać, chwyciła ją za rękę i pchnęła w stronę skalnej szczeliny. Ześlizgnęli się oboje w dół i po chwili znaleźli schronienie w niewielkiej grocie pod wiszącą skałą. Annika zdławiła krzyk,

była przekonana, że dogonił ją Parkinson, ale gdy stwierdziła, że to inna, tak dobrze znana istota, ogarnęła ją niewypowiedziana radość.

- Ron! - szepnęła. - Co ty tu robisz?

- Cii! Chciałem cię jeszcze raz zobaczyć...

Słyszeli pospieszne kroki Parkinsona na górze. Annika wpatrywała się w czarną rękawiczkę zaciskającą się na jej nadgarstku, podniosła wzrok i spojrzała wprost w oczy Rona, które były tak blisko, tak blisko niej. Oddychała z drzeniem, zdumiona, wstrząśnięta...

Wszystko wokół zniknęło, istniały tylko oczy Rona.

Uśmiechał się bez radości, a gdy stwierdził, co się z nią dzieje, wstał i pomógł jej się podnieść. Puścił rękę Anniki i pociągnął dziewczynę za sobą. Kiedy znaleźli się na niewielkim płaskowyzu, przystanęli. Annika osunęła się na kolana, nie była w stanie utrzymać się dłużej na nogach.

- Daj ją mnie - powiedział łagodnie.

- Dobrze. Tak będzie najlepiej - szepnęła ufnie. - Czy mamy na ciebie czekać w osadzie?

- Nie. Odszukam was w mieście.

Potwierdziła skinieniem głowy. Uroczyście, z drzeniem rąk rozwinęła tłumoczek, sweter spadł na ziemię, a ona oburącz unosiła koronę, jakby dopełniała jakiegoś rytuału. Ron przyjął klejnot z takim samym namaszczeniem, także trzymał go obiema rękami. Na moment, gdy ich oczy się spotkały, las, powietrze, cały świat wokół znieruchomiał.

- Dzięki ci, najdrozsza! - szepnął Ron z dziwnym uśmiechem.

Potem pospiesznie odszedł. Annika wciąż klęcząc nie spuszczała z niego wzroku. Zanim zniknął, odwrócił się po raz ostatni. Niskie słońce stało za jego plecami i wydawało się, że cała postać trzymającego koronę mężczyzny została wyzłocona, jakby otaczała ją świetlista aureola. Wkrótce Annika straciła go z oczu.

Ocknęła się, słysząc z dołu głos Martina.

- Martin! - krzyknęła w rozpacz.

Złapała leżący na ziemi sweter i popędziła w dół przez porośniętą trawą polanę, nie zwracając uwagi na ból stopy. Biegła tak, dopóki nie zobaczyła, że Martin idzie jej na spotkanie.

Rzuciła mu się na szyję, przywarła doń całym ciałem, jakby był jej jedynym ratunkiem na tym świecie, i wybuchnęła szlochem.

- No, nieźle - uśmiechnął się Martin. - Annika w moich ramionach, i to z własnej woli!
Co się tu stało? - Głaskał ją uspokajająco po włosach. - Słyszałem, że krzyczysz. Przelęknął się łośia?

Nie umiała mu jasno odpowiedzieć.

- Kto to wzywał pomocy? - spytała pociągając nosem. - Czy to Lisbeth?

- Nie wiem. Nikogo tam nie było, ale słyszeliśmy, że ktoś ucieka w las.

- To Lisbeth, jestem tego pewna. Natomiast mnie gonił Parkinson.

Martin przeraził się i przytulił ją mocniej.

- Odebrał ci koronę?

- Nie. Oddałam ją Ronowi.

- Ronowi? To on też tu jest?

- Tak. On mnie uratował. Och, Martin, Martin, trzymaj mnie mocno!

- Jak ty drżysz - powiedział czule. - Co się z tobą dzieje?

Opanowała się na moment. Wpatrywała się przed siebie. Martin stwierdził z niepokojem, że jest kredowobiała.

- Nie wiem, co się stało - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. - Nie wiem. Może to przeczucie... tej?

- Przeczucie czego?

- Chwili prawdy.

Znowu przytuliła się do niego, ukryła twarz na jego piersi.

- Martin, tak się boję!

- Ale czego?

Ocknęła się.

- Nie, nie, to nic. Jestem po prostu potwornie zdenerwowana spotkaniem z Parkinsonem. A poza tym tak okropnie boli mnie stopa, a trzeba iść pod górę, strasznie tu stromo, a ja jestem taka zmęczona!

- Annika, co to za narzekania! Wprost cię nie poznaję. Chodź, pomogę ci i ruszamy. Tamci już pewnie na nas czekają. Trzeba dopilnować, żeby Parkinson nie ukraść mieczy. Kochanie, żebym mógł złagodzić twój ból...

- Martin, nie oszukuj mnie znowu!

Przystanął.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Annika patrzyła w ziemię.

- Za każdym razem, kiedy odnosisz się do mnie tak troskliwie i z czułością, ja pozwalam się oszukać. I za każdym razem ty uderzasz boleśnie.

Sprawiał wrażenie głęboko skruszzonego.

- Teraz to się nie powtórzy. Zraniłaś moją męską dumę, wiesz o tym. Ale teraz, Anniko, jestem pokorny i pełen dobrej woli.

- Chciałabym to zobaczyć - powiedziała, a Martin ucieszył się, że zdołał mimo wszystko wywołać uśmiech na jej twarzy.

- Anniko - rzekł z wahaniem, kiedy znowu ruszyli w drogę. - Pamiętasz, że chciałem ci coś wyznać, ale nam przerwano...

- A ty koniecznie musisz mi to wyznawać?

- Muszę! Bo w przeciwnym razie nigdy byśmy nie mogli zostać przyjaciółmi. A ja nie pragnę niczego innego, jak tylko być twoim przyjacielem.

Skinęła głową.

- Otóż to było tak, że kilku moich kolegów i ja...

I Martin opowiedział historię tamtego mało chwalebego zakładu.

Annika słuchała w milczeniu. Mimo woli zwolnili kroku. Jakby chcieli możliwie najdłużej być sami.

- Z czasem jednak zacząłem odczuwać coraz większy niesmak, wobec tego zakładu, a przede wszystkim wobec samego siebie. Przyznaję, że czułem się dotknięty, ale także całkiem po prostu zazdrosny. Nie mogłem pojąć, dlaczego mi nie ulegasz, bo przecież wyglądało na to, że całkiem obojętny ci nie jestem. Wtedy, kiedy spotkaliśmy się w mieście, sprawiałaś wrażenie, że gotowa jesteś się we mnie zakochać.

- Bo byłam - odparła Annika.

- A kiedy przyjechaliśmy tutaj, niczego nie mogłem zrozumieć. Byłaś dla mnie sympatyczna, koleżeńska, ale otoczyłaś się jakimś wysokim murem. I jakby tego było mało, miałaś tyle bezczelności, żeby wybrać innego! To doskwierało, raniło dumę! A na dodatek nie mogłem się złościć na śmiertelnie chorego człowieka. Zresztą bardzo dobrze rozumiałem Rona... W końcu z przerażeniem stwierdziłem, że to ja jestem na najlepszej drodze, żeby zakochać się w tobie. Anniko, ja nie oczekuję, że wybacysz mi ten głupi zakład o twoje dziewictwo, ale chciałem, byś wiedziała, że bardzo tego żałuję!

Annika odetchnęła głęboko.

- Dziękuję ci, Martin, że powiedziałeś mi o wszystkim z własnej woli - rzekła cicho.

Pomagał jej wchodzić na strome zbocze.

- Z własnej woli? Dlaczego używasz właśnie tego określenia?

- Byłeś wobec mnie szczery, więc i ja odpłacę ci szczerością. Otóż ja przez cały czas wiedziałam o tym zakładzie. Knut mi powiedział, zanim przyjechaliśmy tutaj. Mówił, że nie chce, żebym została zraniona.

Martin gapił się na nią zdezorientowany.

- Wiedziałaś...? Wiedziałaś o tym?

Musiało minąć trochę czasu, zanim zdołał przyswoić sobie tę nową dla siebie wiadomość. W końcu wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem tak szczerym, że Annika także musiała się roześmiać.

- A teraz będę jeszcze bardziej szczera wobec ciebie - dodała ze śmiechem. - Gdyby Knut mi nic nie powiedział, zakochałabym się w tobie okropnie i nie miałbyś najmniejszych kłopotów z wygraniam zakładu. Dopiąłbyś swego bardzo szybko i bez wysiłku!

Martin spowaźniał. Ujął ją pod brodę i popatrzył w oczy.

- I cierpiałabyś później?

- Nie ja pierwsza, jak sądzę. Czy nigdy się nie zastanawiałeś nad tym, ile twoje triumfy kosztują i kto za nie płaci?

Z zadowoleniem stwierdziła, że zarumienił się ze wstydu.

- Cieszę się, że Knut ci o tym powiedział - oświadczył. W przeciwnym razie nigdy bym cię nie poznał tak dobrze. Miałem tę paskudną przywarę, że porzucałem każdą dziewczynę, która mi uległa. Ale to już przeszłość. Teraz już mnie nie interesują takie dziecinne podboje. Być może to ta uczuciowa wspólnota między tobą i Ronem otworzyła mi oczy pokazała, jakie powierzchowne było moje życie.

W zamyśleniu kiwała głową.

- Myślę, że teraz jesteś naprawdę szczery - stwierdziła i poszła niespiesznie dalej.

- Jestem, ale ty mnie przecież nie słuchasz. Dla ciebie istnieje wyłącznie Ron, prawda?

Przełknęła ślinę. Mój Boże, jaka bolesna jest myśl o Ronie.

- Tak. Teraz istnieje tylko Ron.

- Zasłużyłem sobie na to - westchnął.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Martin pomagał jej przedzierać się przez gęste jałowce.

- Dlaczego wciąż rozcierasz nadgarstek? Uderzyłaś się?

- Nie - odparła speszona. - Sama nie wiem. To Ron chwycił mnie za rękę i ścisnął.

- Ron? Złapał cię za rękę?

Annika zadrżała.

- Tak Nigdy bym się nie spodziewała, że on jest taki silny. To był prawdziwie żelazny uścisk!

Martin zagryzł wargi.

- Wielokrotnie zastanawiałem się, czy on naprawdę jest taki! śmiertelnie chory, jak Knut mówił.

- Jest chory. Tona też to stwierdziła. Mówiła, że to widać.

- Można widzieć takie rzeczy?

Znowu zaczęła drzeć.

- Nie wiem! Martin! - jęknęła z rozpaczą w głosie. - Mnie się zdaje, że to... ta chwila prawdy...

- Tak?

- Ja myślę, że się trzymał od nas z daleka nie dlatego, że bał się zarazić. On to robił ze względu na nas.

- Chcesz powiedzieć, że to on mógł nas zarazić?

Machnęła niecierpliwie ręką.

- Nie, nie! Ale przecież ja teraz byłam bardzo blisko niego...

Dzwoniła zębami ze zdenerwowania. Martin przygarnął ją do siebie.

- No, no - szeptał uspokajająco.

- Jego oczy, Martin! Te oczy... Przerazały mnie tak strasznie i właściwie nie wiem dlaczego. Może Parkinson miał rację? Że on nie jest całkiem... normalny!

- Ja oczywiście nic pewnego nie wiem, Anniko, ale wielokrotnie się zastanawiałem, dlaczego człowiek ukrywa się w takiej głuszy jak Steinheia. Myślę, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej na temat naszego Ronalda Fletchera. Istnieje po temu przynajmniej jeszcze jeden powód.

- Nie! - zaprotestowała Annika stanowczo.

- Postaraj się myśleć logicznie. Szkot, który ukrywa się na jakichś pustkowiach w obcym kraju. Może ma na karku szkocką policję? A może jest niebezpieczny dla otoczenia i wie o tym? Dostrzegaliśmy błyski strasznej brutalności w jego wzroku, i to nie raz. Może on wcale nie jest śmiertelnie chory ani nawet w ogóle chory?

Annika płakała cicho.

- Naprawdę nie wiem, co robić. Chcę, żeby żył i żeby pozostał moim Ronem, pięknym, sympatycznym i...

- Oto nasi przyjaciele. Nie wspominajmy im o tej rozmowie, dobrze?

Jørgen wybiegł im na spotkanie ogromnie wzburzony.

- Zniknęła korona i jeden miecz!

- Miecz? - zawołali Annika i Martin równocześnie.

- Tak, i korona!

- Korona jest w dobrych rękach - wyjaśniła Annika pośpiesznie. - Ale miecz... To znaczy, że Parkinson jednak tu był. Czy wziął coś jeszcze?

- Drewniany uchwyt lektyki. Jedyne, czego nie znalazł, to miecz Feornina. A gdzie jest korona?

- Ron się nią zajął.

- O, Bogu dzięki - uspokoił się Jørgen. - Ronowi możemy ufać!

ROZDZIAŁ XXIV

Parkinson nie tracił czasu. Już pierwszego wieczora po powrocie do miasta, zaprosił kilka Bardzo Ważnych Osobistości i w niezwykle podniosłym nastroju przedłożył im miecz i kawałek drewna z ogamicznymi runami. Naturalnie sensacja była niesłychana! Wspierany z wielkim zapalem przez swoją śliczną narzeczoną opowiedział gościom całą historię. Szczegółowo, choć z pewnymi korektami To mianowicie on, Parkinson, po wielu miesiącach badań rozwiązał zagadkę ogamicznych inskrypcji i odnalazł miecz. Niestety, podstępni studenci ukradli mu koronę. Nie, nie chciałby jeszcze mieszać do tego prasy, to wewnętrzna, uniwersytecka sprawa, „pomiędzy kolegami”, a poza tym najpierw chciałby odzyskać swoją koronę. Policji też nie należy jeszcze informować, reputacja uniwersytetu by na tym ucierpiała. Oczywiście, ma świadomość, że to sensacyjne odkrycie, ale chciałby dać szansę studentom, nierozsądnym, jak to młodzi. Natomiast prywatny detektyw, to co innego...

Koledzy i przełożeni Parkinsona spoglądali na niego z niedowierzaniem. Większość z nich wiedziała już, że Parkinson nie ma żadnych szans na profesurę. Był znienawidzonym przez wszystkich intrygantem, którego środowisko chciałoby się pozbyć, ale jak dotychczas nie było wyraźnego powodu. To prawda, że jego dysertacja doktorska była podejrzenie błyskotliwa i że później właściwie jakby do niej nie dorastał, natomiast mianowanie go zastępcą profesora było pomyłką, której wszyscy żałowali..

No i oto teraz ten człowiek przedstawia takie fantastyczne odkrycie. Czy naprawdę sam, nikomu o tym nie mówiąc, odczytał skomplikowaną runiczną zagadkę i znalazł ów bajeczny miecz? I może jeszcze bardziej bajeczną koronę? W takim razie jego prestiż wzrastał niepomierne. No i w takim razie musi on być bardziej utalentowany, niż sądzili.

Jeden z wysoko postawionych gości zapytał z rezerwą:

- Niech mi pan powie, Parkinson, czy pan tu trochę nie przekroczył zasad? Czy badania archeologiczne przeprowadza się w ten sposób, potajemnie, bez informowania władz konserwatorskich?

- To studenci - odparł Parkinson trochę bez zastanowienia. - To oni wmówili mi, że stanowimy w pełni naukową ekspedycję. Bo *był wśród* nas magister archeologii i etnografii, a dwoje młodszych studiuje języki celtyckie. Jeden zdał już nawet egzaminy końcowe. No i wreszcie ja sam, jestem przecież doktorem i mogę być uważany za autorytet w kwestiach celtyckich - bronił się.

Najwyższa osobistość, która wiedziała, że Parkinson często formułuje bardzo kategoryczne i pospieszne wnioski w dziedzinie celtologii, westchnęła:

- Zbadamy, oczywiście, całą sprawę, pošlemy ekipę badawczą do Steinheia, no i musimy porozmawiać z tymi studentami...

- To chyba na razie nie będzie możliwe - powiedział Parkinson, który chciał zyskać na czasie i najpierw zdobyć koronę. - Oni jeszcze nie wrócili do domu, mieli gdzieś jechać...

Atmosfera w pokoju przesycona była podejrzliwością.

Parkinson mówił i mówił...

Czworo studentów natomiast nie nadużywało słów. Wszyscy poszli po prostu do domów i czekali na Rona.

Annika, blada i milcząca, chodziła z kąta w kąt w mieszkaniu, które zajmowały z Tone. Nie chciała nigdzie wyjść, bo może Ron się pokaże. Wiele razy w ciągu dnia telefonowała do Martina, by zapytać, czy Ron się przypadkiem nie odezwał. Ale odpowiedź była niezmiennie przecząca.

W nocy dręczyły ją koszmarne sny. Tone musiała ją budzić i pytać, dlaczego krzyczy tak strasznie. Wtedy ona spoglądała na Tone z bezdenną rozpaczą w oczach i szeptała:

- Ron... śnił mi się Ron. To było straszne!

Ron jednak nie przychodził.

Martin miał do załatwienia honorową sprawę. Pewnego wieczora poszedł więc do studenckiego klubu, gdzie zwykle zbierała się jego paczka. Koledzy dosłownie rzucili się na niego, domagając się odpowiedzi w sprawie zakładu.

Martin spoglądał na nich z niesmakiem.

- Ile wam się należy?

- Co? - rozległy się szydercze chichoty. - Przegrałeś?

- To nie jest kwestia przegranej czy wygranej - odparł Martin sucho. - W pewnym sensie oczywiście przegrałem, ale cała ta sprawa mnie po prostu brzydzi. To wspaniała dziewczyna, za dobra na takie podle żarty.

Przy stoliku zaległa cisza.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że Martin Øyen po raz pierwszy w swoim grzesznym życiu dostrzegł w dziewczynie inne wartości. Ona jest jedyną istotą, którą chciałbym zdobyć, ale, niestety, nie zdobyłem. A zatem, tu są wasze pieniądze.

- No nie! - powiedział ktoś po dłuższej chwili - Jeśli ty, Martin, zakochałeś się w dziewczynie, to jest to takie wydarzenie, że ja nie chcę żadnych pieniędzy!

- Ani ja - poparł go ktoś inny. - Możesz je zatrzymać!

Tylko dwóch, a i to tylko z potrzeby, odebrało wygraną. Martin był wszystkim szczerze wdzięczny, bo akurat z pieniędzmi u niego było też krucho.

Po kilku dniach czworo studentów zostało wezwanych do rektoratu. Spotkali tam wiele innych osób, wśród nich Parkinsona, który zdaje się przybył wbrew własnej woli. Przedstawiciele uniwersyteckich władz zadawali mnóstwo pytań, ale młodzi odpowiadali na nie spokojnie i rzeczowo.

- Tak więc mamy dwa wykluczające się twierdzenia - rzekł rektor cierpko, kiedy Martin przedstawił swoją wersję wydarzeń. - Oskarżacie swego wykładowcę, że podstępnie wtargnął do waszej grupy, próbował przywłaszczyć sobie wasze tłumaczenie ogamicznej inskrypcji i wreszcie oskarżacie go o niebywale cyniczną kradzież. Czy w takiej sytuacji doktor Parkinson odważyłby się przyjść do władz uniwersytetu ze swoją opowieścią wiedząc, że będzie miał przeciwko sobie czworo świadków? Muszę powiedzieć, że jakkolwiek paradoksalnie to brzmi, fakt ten przemawia na jego korzyść! Uważam mianowicie, że nikt nie zachowałby się tak głupio, gdyby nie mówił prawdy. Wy powiadacie jednak, że znaleźliście jeszcze jeden miecz? Nic o drugim mieczu dotychczas nie słyszałem.

- To zmyślona historia - powiedział Parkinson. - Tam, na zachodnim wybrzeżu, nigdy o żadnym mieczu nie wspominali.

Jørgen wyszedł do szatni, skąd przyniósł zabytek, by go przedstawić rektorowi.

Miecz Feornina nie był specjalnie imponujący, poza tym rdza zniszczyła go tak, że zostało tylko coś, co przypominało szkielec. Eksperci jednak nie mieli wątpliwości, że jest równie prawdziwy jak miecz królewski.

Parkinson wyraźnie pobladł, ale opanował się bardzo szybko.

- A zatem wszyscy panowie widzą, że studenci intrygowali za moimi plecami, że zataili przede mną informację o tym mieczu. Po prostu nic mi nie powiedzieli.

- Kto znalazł ten miecz?

- Ron - odparł Jørgen.

- A, Ron - mruknął rektor pod nosem. - Ten, który „zaopiekował się” koroną.

- Och, jak ty mogłaś zrobić coś równie głupiego? - krzyknął Parkinson do Anniki.

Dziewczyna odwróciła się do niego.

- Bo ufałam mu bardziej niż tobie - powiedziała stanowczo.

- Głupstwa! Cała ta historia to absurd, wymysły! To wy ukradliście mi koronę!

Rektor poprosił o ciszę.

- Doktor Parkinson uważa, że ów Ronald Fletcher jest szpiegiem. A co wy o tym sądzicie?

Martin popatrzył na Annikę i przeraził się widząc jaka jest zgnębiona, jak niewiele pojmował z tego oskarżenia rzucanego na Rona.

- Ron jest naszym przyjacielem - odparł. - I może zaświadczyć, że mówimy prawdę. On wkrótce tu przyjedzie.

Twarz Anniki się rozjaśniła.

- Powinien przyjechać - mruknął rektor. - Bo doktor Parkinson złożył na was doniesienie w policji. A jutro rano cała sprawa będzie w gazetach.

Jeden z profesorów uczestniczących w rozmowie powiedział złośliwie:

- Złożył w policji doniesienie w sprawie kradzieży korony, której nikt nie widział?

Parkinson udał, że nie słyszy.

Następnego dnia gazety krzyczały wielkimi tytułami: „Sensacyjne odkrycie na zachodnim wybrzeżu”. „Pracownik nauki oskarża studentów o kradzież”. „Niezwyczajnej wartości zabytek zaginął. Gdzie znajduje się korona króla Cadallana?” „Czy historia królewskiej korony okaże się blefem?” I tak dalej.

Studenci zostali wezwani do komisariatu na pierwsze przesłuchania. Złożyli odpowiednie oświadczenia, przedstawili, co mieli do powiedzenia, i zostali zwolnieni. Poproszono ich tylko, by nie opuszczali miasta.

Wracali do domu w milczeniu ze zwieszonymi głowami, z rękami w kieszeniach. Przez dłuższy czas żadne nie było w stanie nic powiedzieć.

W końcu Tone wybuchnęła:

- On chyba oszalał! Co on chce osiągnąć?

- Mnie ciekawi co innego - powiedział Martin. - Ja chciałbym wiedzieć, jak on się z tego wszystkiego wykaraska?

- On po prostu wygrywa bezczelnością - stwierdził Jørgen. - Bardzo bym chciał, żeby oni przeprowadzili próbę, dali mu do odczytania podobny tekst, zapisany tego samego rodzaju runami. Nie odczytałby ani słowa! Słyszeliście, co on powiedział rektorowi o nas? „Kompletnie się we wszystkim pogubili. Ja musiałem nimi pokierować, rzecz jasna, a oni korzystali z mojej wiedzy fachowej jak małe dzieci. Z trudem nadążali za moimi objaśnieniami”. Widział kto kiedy podobną bezczelność!

- Kiedy tylko przyjedzie Ron, Parkinson będzie skończony - pocieszała ich Annika.

- On nie wierzy, że Ron się jeszcze pokaże! I właśnie na to liczy - powiedział Jørgen, nie zdając sobie sprawy, jak bezlitośnie gasi nadzieję Anniki.

Nagle na rogu ulicy zderzyli się z jakimś młodym człowiekiem.

- Czy to naprawdę wy? - rozległ się znajomy głos. - A ja wydzwaniam do was przez całe przedpołudnie. Już zacząłem myśleć, że wciąż jeszcze siedzicie w Steinheia.

- Knut! - wołali jedno przez drugie uradowani. Ściskali go i obejmowali.

Wkrótce potem, w pobliskiej kawiarni, Knut wysłuchiwał ich gorączkowych pytań. Rozpoczął Martin.

- Powinniśmy wszystko rozważyć spokojnie i po kolei - rzekł. - Po pierwsze: Czy Ron jest draniem?

- Ron draniem? Nic podobnego! To najbardziej godny zaufania człowiek na świecie!

Annika jaśniała jak słońce.

- Powiedz mi jednak... - pytał dalej Martin. - Czy on naprawdę jest taki chory?

- Oczywiście, że jest! Stary, ty nie masz pojęcia, ile czasu on spędził w różnych szpitalach!

Martin i Annika wymienili spojrzenia. Martin już chciał zapytać o zdrowie psychiczne, gdy Knut oświadczył:

- Zresztą on w tym roku nie przyjedzie do Steinheia.

- Wiemy o tym - potwierdził Jørgen. - Już tam był.

Knut zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że był w Steinheia razem z nami, i to przez cały czas.

Zaległa bardzo długa cisza.

- Nie bardzo to rozumiem - westchnął Knut. - Ron nie mógł być w Steinheia! Ciotka mi dopiero co opowiadała, że dostała od niego list. Z Hiszpanii. Poczul się na tyle dobrze, że mógł tam pojechać, i ciepły klimat działał podobno cuda!

- Ależ on był w Steinheia! - upierała się Tone. - Musiałby mieć zdolność bardzo szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Martin stwierdził, że twarz Anniki zrobiła się biała. Dziewczyna w zamyśleniu pocierała nadgarstek.

- Knut - rzekł zdławionym głosem. - Jak wygląda Ron? On się nazywa Ronald Fletcher, prawda?

- Oczywiście, Ronald Fletcher. I pochodzi z Edynburga. Nie widziałem go wprawdzie od kilku lat, ale jest wysoki, chudy...

- Wysoki? - spytała Tone sceptycznie. - Mnie się zdawało, że raczej niski, nawet dość niski. Mniej więcej taki jak ja. Szczerze mówiąc tylko Annika musiała na niego patrzeć pod górę. Choć ona czyniła to z tym większą radością.

- Ron może mieć teraz jakieś sześćdziesiąt pięć lat - mówił dalej Knut. - Szpakowate włosy. Sprawia wrażenie trochę roztargnionego, nosi okulary. A poza tym ma długie, wąskie nos i niebieskie oczy krótkowidza.

Nagle Knut stwierdził, że przy stoliku zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Annika podniosła talerzyk z drożdżowym ciastkiem, była nienaturalnie blada.

- I chętnie mówi po galijsku? - zapytał Martin.

- Owszem.

- Takim dziwnym, trudno zrozumiałym dialektem?

- Trudno mi to ocenić. Nie jestem celtologiem. Z nami rozmawia wyłącznie po norwesku. Angielskiego nie chce używać. Annika, nie masz chyba zamiaru zemdleć?

Martin podał jej pospiesznie szklankę wody. Przerazona spojrzała mu w oczy.

- Może miałaś rację, Martin - szepnęła pobladłymi wargami. - Może on naprawdę był poszuki...

Mówiła tak, jakby o coś Martina prosiła w nadziei, że potwierdzi jej przypuszczenia. Nie mógł nie zauważyć wyrazu desperacji w jej wzroku.

Jørgen najwyraźniej postanowił chwycić byka za rogi.

- Knut, ten człowiek, który był z nami w Steinheia, to nie jest twój Ron. To był młody mężczyzna o zielonych oczach i miedzianorudych włosach. Ale kazał się nazywać Ron, mówił po galijsku i raczej nie należał do zdrowych. Kim, na miłość boską, mógł on być?

- A może twój Ron ma jakichś przyjaciół, których przywiózł kiedyś do Steinheia?

Knut wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale możemy zapytać ciotkę.

- Teraz pytanie dotyczy przede wszystkim tego, co on zrobił z naszą królewską koroną? - wtrąciła Tone.

Martin poprawił się na krześle.

- Przyszła mi do głowy pewna myśl.

- Naprawdę? - mruknął złośliwie Jørgen.

- Posłuchajcie mnie! Kto dawał nam nieoczekiwane dobre rady za każdym razem, kiedy znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia?

- Ron - odparła Tone.

- Kto powoli, ale konsekwentnie kierował nasze kroki ku kamieniowi, pod którym została ukryta korona?

- Ron.

- Co my w ogóle wiemy o tej koronie? Czy historia jest w stanie wyjaśnić, skąd ona pochodzi? Ze Szkocji czy skądinąd?

- My nie wiemy nic, ale nasz przyjaciel, Ron, miałby nam z pewnością co nieco do powiedzenia.

- Tak Równie dobrze może istnieć jakaś powszechnie znana saga, która wskazuje na Steinheia. Tylko trzeba to zrozumieć.

- Jesteś geniuszem, Martin! - zawołał Jørgen. - A ten Ron, którego spotkaliśmy, choć oczywiście nazywał się zupełnie inaczej, ale chory to jest naprawdę. Nie wiem, co mu jest, może to narkomania albo coś w tym rodzaju. W każdym razie jest osłabiony i nie mógł sam podnieść głazu. No i oto pojawiliśmy się my, głupie dzieci we mgle. Nic dziwnego, że stanął po naszej stronie i nienawidził Parkinsona, który tylko sprawiał kłopoty.

- No, tośmy nieźle wpadli - mruknęła Tone.

- Żegnaj, żegnaj, moja piękna korono! - westchnął Martin.

Annika wciąż widziała przed sobą twarz Rona w chwili, gdy oddawała mu królewski klejnot. Ten cudowny uśmiech i gorejące oczy. I aureolę słonecznego blasku, która go otaczała, gdy odwrócił się do niej po raz ostatni.

„Chciałem cię tylko zobaczyć jeszcze raz...”

- Zdaje się, że się wygłupiłam - powiedziała cicho.

- Na to wygląda - mruknęła Tone.

ROZDZIAŁ XXV

Minęły dwa dni.

Parkinson fotografował się dla gazet, przeważnie z królewskim mieczem. Musiał go trzymać oburącz, a i tak widać było wysiłek na jego twarzy. Wypowiadał się na prawo i lewo z coraz większą pewnością siebie, zwłaszcza kiedy wyszło na jaw, że ów Ron, przyjaciel studentów, jest oszustem. Teraz Parkinson był niemal pewien swego zwycięstwa i zaczynał już nawet przebąkiwać o najmłodszym profesorze w kraju.

Czwórka studentów złożyła razem z Knutem wizytę rektorowi oraz komisarzowi policji. Opowiedzieli o tym, że sprawy przybrały nowy, całkiem niespodziewany obrót, zaś Knut potwierdził prawdziwość ich wersji wydarzeń, które miały miejsce podczas jego pobytu w Steinheia. Swych przyjaciół natomiast zapewnił, że nikt z rodziny nigdy nie widział w towarzystwie prawdziwego Ronalda Fletchera nikogo, kto by odpowiadał rysopisowi ich „Rona”. Nikt taki sam też tam nie przyjeżdżał.

W ciągu tych dwóch dni Annika prawie się nie odzywała. Chętnie przebywała w towarzystwie Martina, który robił wszystko, by stanowić dla niej oparcie. Ale nawet on nie rozumiał do końca tego lęku, który wyrażały jej oczy. Ona sama też nie umiała wyjaśnić, co ją tak dręczy, a to Martinowi życia nie ułatwiało.

Nawet nie zauważyli, że stali się sobie bardzo bliscy w tym okresie. Annika odnosiła się do niego z większą otwartością, mniej była czujna w jego obecności, a czasami nawet przytulała się do jego męskiego ramienia.

Martin czekał. Wiedział, że ona go naprawdę potrzebuje. Mógłby teraz odczuwać triumf, że Ron okazał się oszustem, ale sam też był tym zdeprymowany. Lubił przecież Rona, choć miał w nim rywala. Martin wiedział jednak, że czas działa na jego korzyść. Annika żywiła teraz do niego pełne zaufanie i pewnie w końcu nadejdzie dzień, kiedy zapomni o niezwykłej sile Rona, a jego władza nad nią ustanie.

Może...

Na trzeci dzień nieoczekiwanie zostali wezwani do rektora. Knut także. No to Parkinson wygrał, myślał Martin zgnębiony. Wpadł pewnie na jakiś nowy lisi podstęp, któremu nie będziemy mogli się przeciwstawić. A na nas spadnie wstyd i wszelkie możliwe pomówienia.

Także i tym razem rozmowy odbywały się w obecności licznych uniwersyteckich osobistości. Przyszedł komisarz policji i jego zastępca, a Parkinsonowi towarzyszyła Lisbeth.

Obok rektora siedział jakiś obcy mężczyzna, sprawiający wrażenie kogoś ważnego. Rektor powitał przybyłych, po czym powiedział:

- Interesująca nas sprawa przybrała dzisiaj nowy, zaskakujący obrót. Chciałbym teraz, aby głos zabrał nasz gość, profesor i kustosz muzeum, Charles White z Erin. Ma on nam do opowiedzenia niezwykłą historię, którą ja też znam tylko we fragmentach. Wszyscy obecni mówią po angielsku, więc możemy zaczynać. Bardzo proszę, profesorze White.

Czwórka przyjaciół spoglądała po sobie. Erin? Irlandia?

- W miejscowości Meath pod Dublinem znajduje się niewielkie wzgórze zwane Tara - zaczął profesor White. - W czasach prahistorycznych znajdowało się tam miejsce kultu i cmentarz, gdzie chowano zmarłych królów. Miejsce zostało dokładnie opisane w staroiryjskiej literaturze. Znajdują się tam groby datowane na około dwa tysiące lat przed Chrystusem. A o znaczeniu nekropolii świadczy fakt, że dopiero w piątym wie - ku naszej ery, za panowania królów Ui Néill przestano tam grzebać zmarłych. Często bywam w tamtych stronach, po części dlatego, że Tara jest pod opieką mojego muzeum, lecz także dlatego, że bardzo to miejsce lubię. Spaceruję tam i rozmyślam o dawnych czasach. Kilka dni temu znowu odwiedziłem Tara. Był wieczór. Młody księżyc świecił nad królewskimi kurhanami, a także nad Lia Fail, gdzie koronowano iryjskich władców. I wtedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna. W blasku księżyca dostrzegłem, że ma bardzo ładne, choć z jakimś, jakby to powiedzieć, delikatnym odcieniem okrucieństwa rysy oraz ciemne, połyskujące miedzianym blaskiem włosy.

- Ron - szepnęła Tone.

- Człowiek ów przywitał się w osobliwym galijskim dialekcie i wyglądał na uradowanego, gdy mu odpowiedziałem również po galijsku. I wtedy, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, podał mi absolutnie fantastyczną koronę, prosząc, bym się nią zaopiekował najlepiej jak potrafię. „Bo jej miejsce jest właśnie tu, w Temair” - powiedział. Temair to staroiryjska nazwa Tara. „Szukałem jej przez wiele lat” - mówił dalej nieznajomy. - „Nie dawałem za wygraną i oto teraz znalazłem”.

- Królewska korona! - wykrzyknął Martin. - Wróciła na właściwe miejsce!

- Cóż za głupstwa! - oburzył się Parkinson. - Korona jest moja, a jej miejsce jest tutaj, gdzie została znaleziona. Czy pan ją przywiózł?

- Nie - odparł White łagodnie. - Nie możemy jej oddać!

I ciągnął dalej swoją opowieść.

- Długo chodziliśmy tego wieczora po starym cmentarzu i ów młody człowiek opowiedział mi niezwykłą historię. Mówił o tym, co się stało na norweskim zachodnim

wybrzeżu. Spisałem jego wyjaśnienia i kopię przekazuję teraz panu komisarzowi. Proszę bardzo. Ten mężczyzna podkreślał wielokrotnie, że to czworo młodych przyjaciół: Annika, Tone, Jørgen i Martin, dzięki swemu koledze Knutowi odnalazła i odczytała ogamiczną inskrypcję, a także znalazła oba miecze i koronę. Szczególnie podkreślał niezwykły wkład i inteligencję Martina...

- Aha - wtrącił rektor. - To bardzo interesujące, bo właśnie dzisiaj dostałem list od waszego profesora, Martinie. Dowiedział się z gazet o znaleziskach i o całej tej nieprzyjemnej aferze, otóż on również pisze mi o swoim wielkim zaufaniu do zawodowych umiejętności Martina Øyena. Jeśli komuś udało się odczytać te niebywale stare runy, to tylko Martinowi. Zdolności Parkinsona profesor nie ocenia specjalnie wysoko.

- O, mogę sobie wyobrazić - syknął Parkinson złośliwie. - Profesor mnie oczywiście nie cierpi, bo miałem odwagę krytykować jego teorie.

White podjął przerwany wątek.

- Ów młody człowiek przekazał mi też kartkę z adresem dwojga z tej czwórki przyjaciół.

Martin skinął głową.

- Tak. To ja dałem mu adres swój i Anniki, by mógł się z nami skontaktować.

- Rozumiem. Powiedział też, że powinniśmy się wystrzegać pewnej pary, to znaczy Parkinsona i panny Lisbeth. Słyszał, jak mówili, że muszą za wszelką cenę zdobyć tekst inskrypcji. Nieznajomy twierdził jednak, że Parkinson nigdy sam żadnej inskrypcji nie odczytał i dlatego raz po raz próbował wykraść młodym rezultaty ich dociekań. Miało to dla niego wielkie znaczenie, bo dzięki temu mógł zostać profesorem. A jemu szczególnie zależy na tym, by być najmłodszym profesorem w kraju.

- To kłamstwo! - krzyknął Parkinson. - Panie rektorze, proszę zrozumieć, że ów tak zwany dowód jest kompletnie bezwartościowy. Ten cały Ron był tam razem ze studentami i ukartowali podstępny plan! To sprzysiężenie przeciwko mnie! Zwyczajna zazdrość! Ten człowiek to szpieg, niebezpieczny dla kraju...

Z Parkinsonem, jak widać, dyskusja nie była prosta. On miał odpowiedź na wszystko. Tone przyglądała mu się badawczo. Powiedział kiedyś w złości, że Ron jest psychopata. Nie powinno się rzucać kamieniami, kiedy siedzi się w budynku ze szkła, pomyślała.

Wtedy Martin wpadł na pewien pomysł. Było to w gruncie rzeczy śmiesznie proste rozwiązanie i sam się dziwił, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Tylko że przedtem nikt postronny nie widział jeszcze korony, tylko oni. Teraz to się zmieniło...

- Parkinson, twierdzisz zatem, że ty znalazłeś koronę?

- Oczywiście!

- I że my ci ją ukradliśmy?

- Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Więc nie stój tu z miną niewiniątka.

- Profesorze White - zwrócił się Martin do Irlandczyka, puszczał mimo uszu docinki Parkinsona. - Pan widział koronę, prawda?

- Oczywiście, i mam nawet ze sobą kilka fotografii.

Sięgnął do kieszeni, ale Martin powstrzymał go gestem ręki.

- Chwileczkę! Chciałbym zaproponować, żeby wszyscy, którzy byli w Steinheia - z wyjątkiem Knuta, oczywiście - narysowali teraz tę koronę. A potem obejrzymy fotografie.

W ciszy, która zaległa po tych słowach, słychać było tylko ciężki oddech Parkinsona. Doktor nerwowo oblizywał wargi.

- Zgadzą się. Chciałbym tylko, żeby koronę narysowała moja narzeczona, bo mam zwichnięty prawy kciuk. Poza tym ona lepiej rysuje.

Parkinson wołał, by Lisbeth narysowała koronę, bo to ona stała pod oknem domu w Steinheia i podglądała, kiedy czyścili zabytki.

- Oboje państwo będą łaskawi narysować - powiedział komisarz. Każde za siebie!

- Muszę zaprotestować. Mój kciuk...

- No to rysujcie razem - syknął komisarz, który zaczynał już tracić cierpliwość.

- A pod spodem proszę napisać, z jakiego metalu korona została wykonana - dodał profesor White.

Po dziesięciu minutach rysunki znalazły się na biurku rektora. Cztery rysunki studentów były identyczne. Piąty natomiast, autorstwa Parkinsona i Lisbeth, wykonany został bardzo niepewnie. Wykazywał pewne podobieństwo do tamtych, ale znacznie większe do powszechnie znanej korony burgundzkiej. Narzeczeni dyskutowali zawzięcie podczas pracy. Raz nawet ciszę przeciął zirytowany szept Lisbeth: „Myślisz, że tak łatwo było coś zobaczyć...” Parkinson uciszył ją ze złością.

- Aha - zaczął rektor. - Widzę, doktorze Parkinson, że pańska korona jest z żelaza. Tak pan napisał.

- Oczywiście!

- Studenci napisali jednak co innego. Profesorze White, czy możemy teraz obejrzieć fotografie?

Irlandczyk rozłożył zdjęcia na stole i wszyscy pochylili głowy. W oszklonej gablocie wyłożonej błękitnym aksamitem spoczywała korona Cadallana. Rektor i wszyscy wysoko postawieni panowie wstrzymali dech na jej widok.

- Czy to jest korona z żelaza, doktorze Parkinson? - zapytał komisarz słodkim głosem.

ROZDZIAŁ XXVI

Komisarz zabrał oboje oszustów i zniknął.

Nareszcie Annika mogła zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju od początku.

- Panie profesorze White, ten młody człowiek...? Czy on przyjechał z panem do Norwegii?

White uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Ty jesteś Annika, prawda? Nie, on nie przyjedzie. Prosił jednak, bym wam wszystkim czworgu przekazał najlepsze pozdrowienia, a szczególnie tobie, Anniko! „Poproś ją, by nigdy nie zapomniała mojej miłości do niej” - mówił mi przed odjazdem. - „I poproś ją, by mi wybaczyła!”

Annika ukradkiem otarła oczy.

- Nie rozumiem, dlaczego on cię tak ciągle przeprasza! - zawołała Tone, ale młodsza siostra zbyła to milczeniem.

- Ja go, oczywiście, prosiłem, by mi towarzyszył - mówił dalej White. - Ale on uśmiechnął się tylko. „Mój czas minął” - powiedział. „Teraz nareszcie odpocznę i uczynię to z wielką radością”. On nie jest zdrowy, jak wiecie. I to jest takie smutne! Tak bardzo smutne!

Annika chwyciła Martina mocno za rękę i trzymała, dopóki nie odzyskała równowagi.

- Proszę mi jednak powiedzieć - pytał rektor z wielkim zainteresowaniem. - Właściwie jak stara jest ta korona? Czy ona należy do tych zaginionych irlandzkich regaliów?

- Nie, nie! Ta korona jest znacznie starsza. Naukowcy w Dublinie poszukują teraz bardzo intensywnie jakichś przekazów na temat owego króla imieniem Catallain, czy też CATUVEL - LANOS, o którym jest mowa w inskrypcji. Za jakiś czas korona zostanie uroczysto wystawiona, udostępniona w muzeum publiczności. I na tę uroczystość chcielibyśmy zaprosić czworo młodych odkrywców, którzy przyczynili się do rozwiązania zagadki. Bilety lotnicze i pobyt na nasz koszt, naturalnie. Co wy na to, przyjaciele?

- Bardzo dziękujemy! Przyjedziemy, oczywiście - zapewnił Martin. - Z największą radością.

- Ja bym bardzo chciała odwiedzić Tara - dodała Annika w rozmarzeniu.

White zwrócił się do rektora:

- Miecz Feornina może pozostać tu, w Norwegii. Królewski miecz natomiast bardzo byśmy chcieli mieć w Irlandii, jeśli to możliwe.

Rektor nie umiał odpowiedzieć.

- W tej sprawie decyzja należy do władz. Ale, to oczywiste... miecz przynależy do korony... Co tam, niech się władze tym martwią! A teraz, profesorze White, może miałby pan ochotę pójść do naszego muzeum i zobaczyć kamień z ogamiczną inskrypcją? Przekonamy się, od czego to zaczynali nasi młodzi badacze. Muszę powiedzieć, że podstawa jest dość wątpliwa. Tym bardziej imponujące jest to, co zrobili.

Inni uczestnicy spotkania zaczęli się żegnać. Studenci natomiast towarzyszyli irlandzkiemu gościowi do muzeum, wyjaśniali, jak doszli do rozwiązania zagadki, mówili o nie zauważonych przedtem detalach. Potem uzgodnili, że wieczorem zjedzą wspólnie kolację w hotelu, gdzie zatrzymał się profesor, i poszli do domu.

Zaczynało się już lato, postanowili więc zrobić mały spacer do podmiejskiego lasu, gdzie nie ma ludzi. Wolno i w zamyśleniu wędrowali pośród młodziutkiej jeszcze zieleni.

- Gdybym był Parkinsonem, to bym jutro nawet nie spojrzął na gazety - powiedział Jørgen. - Po tych wszystkich triumfalnych oświadczeniach, po tych dumnych minach prezentowanych na zdjęciach!

Tone go nie słuchała.

- Jedyne, czego nie rozumiem, to kim właściwie jest nasz drogi Ron.

- Ech, może sobie być kim chce - odparł Jørgen, który nigdy się specjalnie nie zagłębiał w stany psychiczne ludzi.

- Nie, on nie może być kim chce - upierała się Tone. - To prawda, co powiedzieliśmy rektorowi. On przez cały czas wiedział zdumiewająco dużo. To przecież on odnalazł miecz Feornina. Musiał znać jakieś podanie o koronie króla Cadallana.

- No właśnie - zgodził się z nią Martin. - Tamtej nocy, kiedy włóczył się po skałach, wtedy, kiedy wichura tak wyła we wszystkich szczelinach, to on właśnie chodził do tego kamienia w kształcie głowy.

- Pewnie sprawdzał, czy sam zdoła podnieść głaz - powiedział Jørgen. - Ale znalazł sobie nas, idiotów, którzy to za niego zrobili.

- Wcale nie uważam, że to było z naszej strony idiotyczne - zaprotestowała Tone. - Ja natomiast myślę o tych okropnych bandażach, które on miał pod kurtką, a może nawet pod całym ubraniem. Myślę, że to nie był zwykły bandaż. To coś innego, dużo twardsze i sztywniejsze...

Annika nieoczekiwanie rzuciła się jak do ucieczki.

- Nie chcę tego więcej słuchać! - krzychała. - Nie chcę!

Martin pobiegł za nią. Wkrótce oboje zniknęli pośród drzew.

- Co jej jest? - zapytał Jørgen, niczego nie pojmując.

Tone przystanęła. Była bardzo blada.

- Przyszła mi do głowy taka myśl...

- Co takiego? - zapytał Knut.

- Nie, to niemożliwe! To niemożliwe!

- Jezu, czy ty też masz zamiar zemdleć? - jęknął Jørgen. - Co się dzisiaj z wami dzieje, dziewczyny?

- Myślę, że Martin też ma różne podejrzenia - mruknęła Tone. - Wczoraj tyle mi opowiadał o tym opuszczonym mieszkaniu. O mieszkaniu Rona. Że takie było okropnie puste i zimne.

- No i co z tego? - nie przestawał się dziwić Jørgen.

Tone mówiła dalej jak w transie:

- Ja w jego obecności zawsze okropnie marłam.

- W czyjej obecności? Martina?

- Nie, nie!

Jørgen zmarszczył czoło.

- No. Teraz, kiedy to mówisz, mnie też zaczyna się wydawać... Zawsze, kiedy do nas przychodził, musieliśmy palić w kominku.

- Wiem, że Annika nie może się pozbyć pewnej natrętnej myśli - dodała Tone. - A teraz to ona wygląda na chorą. - Ron rzadko bywał w domu, większość czasu spędzał na wrzosowisku. I tej pierwszej nocy, kiedy Annika widziała go w blasku księżyca, też wyłonił się z lasu. Bardzo często tam chodził.

- Może lubi sypiać pod gołym niebem - roześmiał się Jørgen.

Knut jednak przyglądał się Tone.

- Jest coś nie w porządku z ręką Anniki.

Tone skinęła głową.

- Nigdy nie chciał być blisko nas. W żadnych okolicznościach. I czytać umiał tylko pismo ogamiczne. A ten wyraz okrucieństwa...

- No a to, co Annika opowiadała o ogniach świętego Elma! - zawołał Knut. - Ron twierdził podobno, że wokół jej postaci też unoszą się niebieskie płomyki, prawda? Ona sama nie mogła tego widzieć.

- Ja też zwróciłem na to uwagę - wtrącił Jørgen, nie do końca zdając sobie sprawę, o czym właściwie rozmawiają. - Ognie świętego Elma nie pojawiają się nad ludźmi. Myślę, że to musiało być jakieś inne zjawisko elektryczne.

Tone popatrzyła na niego spod oka.

- Cokolwiek to było, to ogniki unosiły się tylko nad nim, mogłabym się założyć - mruknęła Tone. - Annika wie więcej niż my. Dużo więcej.

- Tak - zgodził się Knut. - Ale pytać jej nie powinniśmy.

- Co z wami? - irytował się Jørgen. - O czym wy rozmawiacie? Ja niczego nie rozumiem!

Nagle Tone podskoczyła.

- Nie, oczywiście, że to nieprawda! Zapomnij o wszystkim, Jørgen! Byliśmy głupi! Puściliśmy wodze fantazji. Ale co z tamtymi?

Martin trzymał w ramionach histerycznie szlochającą Annikę.

- No, no - szeptał. - Nie myśl o tym w ten sposób! Pamiętaj, że Ron cię kochał! Pamiętaj, że tamtej nocy w lesie uratował ci życie!

- Nie, on mi życia nie uratował. To ty mnie uratowałeś, bo przyszedłeś w odpowiednim czasie!

- Możliwe, ale on był mi za to wdzięczny, bo nie chciał zrobić ci nic złego. Ale trudno się dziwić, że chciał cię zatrzymać przy sobie na zawsze. On był taki samotny, Anniko! Musisz zrozumieć, ile ty dla niego znaczyłaś! A tamto, to była tylko chwila słabości, której potem gorzko żałował.

- Ale moja ręka...

- Nie przejmuj się tym! To przejdzie wkrótce.

- Nie przejdzie! To nigdy nie zniknie - szlochała.

- Zniknie!

Ujął jej rękę i wargami delikatnie pieścił wyraźnie widoczne piętno przy nadgarstku.

- Musisz o tym zapomnieć, Anniko! Za pięćdziesiąt lat, kiedy oboje będziemy siedzieli przed telewizorem i prosili nasze wnuki, żeby zachowywały się trochę ciszej, pomyślisz o Ronie... jako o smutnym wspomnieniu z młodości Przypomnisz sobie wtedy wiatr i szum morskich fal, i księżyc, i miłość Rona! Jego czułość i troskliwość wobec ciebie...

Annika szlochała rozdzierająco, kryjąc twarz w swetrze Martina. Potem uniosła głowę.

- Pewnego razu widziałam jego profil... wokół nas unosiła się mgła... I wtedy wydawało mi się, że patrzę wprost w jego twarz. A tamtej nocy w zagajniku, kiedy znalazłam się bardzo blisko niego, wtedy w ogóle nie widziałam jego twarzy!

Tone i chłopcy ukazali się pod drzewami. Martin machnął dyskretnie ręką, żeby im nie przeszkadzali, a oni wycofali się bez słowa.

- Ale wtedy, kiedy chwycił cię za rękę... wtedy byliście naprawdę blisko siebie, tak blisko jak nigdy przedtem?

Annika drgnęła gwałtownie.

- I właśnie wtedy miałam to przeczucie... To była ta chwila prawdy! Choć nie mogłam tego zaakceptować. A kiedy oddawałam mu koronę... Uklękałam i mimo woli podawałam mu ją tak, jakby on był... Och, Martin, to nie może być prawda!

- Nie, ja też w to nie wierzę. Ja myślę po prostu, że Ron to młody idealista, taki jak my, słyszał historię tej celtyckiej korony, która powinna wrócić do Irlandii, by lud irlandzki mógł zaznać spokoju! A my wymyśliliśmy mnóstwo niedorzecznych teorii!

Roześmiała się niepewnie.

- Naprawdę myślisz, że to tak jest?

- Oczywiście! A jak inaczej to wytłumaczysz?

- Nie, oczywiście, masz rację! Boże, człowiek bywa taki głupi!

Wstali oboje. Martin był teraz bardzo poważny.

- Annika, czy mogłabyś zastanowić się bliżej nad tym, co powiedziałem o naszych wnukach?

Ona znowu roześmiała się speszona.

- Ja cię bardzo lubię, Martin. Naprawdę bardzo! Nie wiem, co inne dziewczyny by powiedziały na moim miejscu, ale mnie jest... dosyć trudno potraktować to wszystko poważnie. Albo że... mógłbyś... Jak mogę się wiązać z chłopakiem, którego zna prawie każda dziewczyna w tym mieście? Jesteś dosyć... przechodzony, Martinie. - Kiedy stwierdziła, że posmutniał, dodała pospiesznie: - Musiałabym pobyć jakiś czas z tobą, poznać cię lepiej. I ty musisz poznać mnie. Wiem, że wspomnienie Rona z czasem przyblednie, że przestanie tak bardzo boleć, ale akurat teraz wszystko wydaje mi się okropnie skomplikowane i trudne. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście, że rozumiem.

Annika znowu pogrzyżała się w myślach.

- Sądysz, że zobaczymy go jeszcze w Tara?

Martin przyglądał jej się uważnie, kiedy patrzyła przed siebie, ale zdawała się niczego nie widzieć.

- Nie - powiedział ciepło. - Nie, sądzę, że go nie spotkamy. Może jednak tobie przypomni go delikatne muśnięcie wiatru w policzek. Myśl wtedy o nim! Przyjmij jego miłość!

Skinęła głową.

- Chyba powinniśmy wracać - powiedziała.

Martin zatrzymał ją jeszcze.

- Annika... Ron nigdy nie mógł cię pocałować. Ja wiem, że jego zdaniem my oboje pasujemy do siebie. I wiem, że nie miałby nic przeciwko temu, żebym to ja cię pocałował.

Zamiast niego.

Patrzyła, jakby się zastanawiała.

- Zamknij oczy i myśl o Ronie!

- Nie, Martin!

- Rób, jak mówię!

Posłuchała. Poczła jego wargi na swoich. Bardzo delikatne, czułe... Ron, myślała.

Ron...

Ale zupełnie inne imię przychodziło jej do głowy. Jakby wypływało z mrocznego świata sag...

Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Myśli kłębiły się w dziewczęcej głowie.

Odwróciła twarz.

- Ty jesteś Martin i nic tego nie zmieni! Ale to wcale nie jest takie głupie! Spróbuj jeszcze raz. Tylko teraz już jako Martin!

Kiedys przecież marzenia muszą zacząć się spełniać!